

**Nominacje do Nagrody
Fandomu Polskiego
im. Janusza A. Zajdla
Edycja 2016**



Fot. Michał Dagajew, Mirosław Stelmach

Utwory nominowane do Nagrody Zajdla za rok 2015

W kategorii OPOWIADANIE Nominacje otrzymują:

• *Nihil fit sine causa* – Dorota Dziedzic-Chojnacka, (*Fantazje Zielonogórskie*. Tom 5) • *Koziorożec i Smok* – Magdalena Kucenty, (*Smokopolitan* (3)) • *Simon* – Marcin Sergiusz Przybyłek, (*Wolsung* Antologia tom 2) • *Pajęczarka* – Przemysław Zańko, („Fantastyka”. Wydanie Specjalne 4/2015 (49)) • *Milczenie owcy* – Robert M. Wegner, (*Legendy polskie*, Allegro)

W kategorii POWIEŚĆ Nominacje otrzymują :

• *2049* – Rafał Cichowski, (Novae Res) • *Starość aksolotla* – Jacek Dukaj, (Allegro) • *Łzy diabła* – Magdalena Kozak, (Insignis) • *Niebiańskie pastwiska* – Paweł Majka, (REBIS) • *Gamedec*. *Obrazki z imperium cz.1* – Marcin Sergiusz Przybyłek, (REBIS) • *Pamięć wszystkich słów*. *Opowieści z meekhańskiego pogranicza* – Robert M. Wegner, (Powergraph)

Spis treści

Nihil fit sine causa - Dorota Dziedzic-Chojnacka

Koziorożec i Smok - Magdalena Kucenty

Simon - Marcin Sergiusz Przybyłek

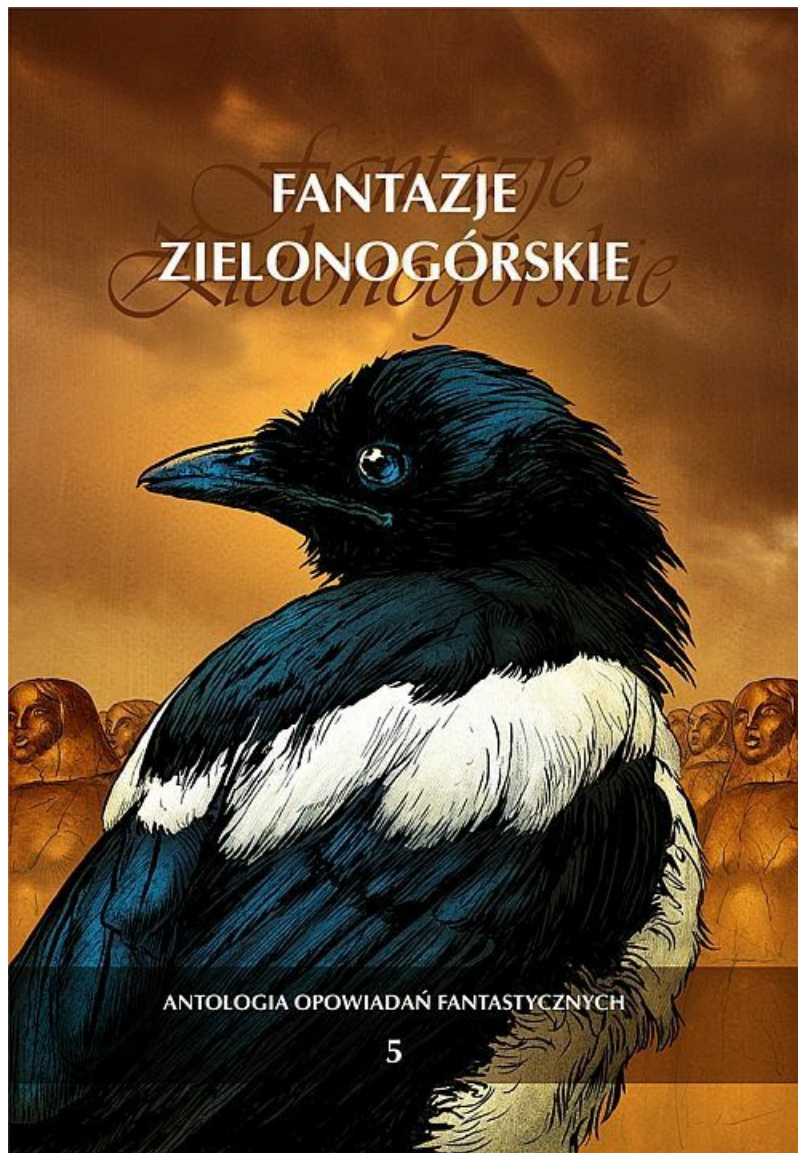
Pajęczarka - Przemysław Zańko

Milczenie owcy - Robert M. Wegner

Dorota Dziedzic-Chojnacka

Nihil fit sine causa

Opowiadanie ukazało się w *Fantazjach Zielonogórskich*. Tom 5



Mogłabym zacząć niczym w Lemie, rozbuchane, kunsztowne zdania, gramatyczna ewolucja płci poprzez zamianę „a” w „o”, a potem na odwrót, przy tym utożsamie stworzenie siebie ze światem, udając, że nic przede mną nie istniało, a po mnie – kogóż to obchodzi? A potem wrzucić zniecka przebudzenie na współczesnej wersji balu królewskiego – pewnie byłaby to impreza z okazji nowej ramówki TVN z dywagacjami gawiedzi, czy tamta blondi miała gacie

pod sukienką, a pan Xowski na pewno jest gejem, bo miał na sobie różową koszulkę w serek – i doprawić to swoimi świątłymi uwagami nad istotą człowieczeństwa zawartą w niezdecydowaniu.

Mogłabym. Ale po co?

Jeśli się leży - jak ja teraz - w tym brudnym bajorze, przykryta szczelnie kilkumetrową warstwą zimnej, gloniasto-brunatnej wody, gdy twoim jedynym zajęciem jest dojrzewanie, to ostatnią rzeczą, o której marzysz, jest koronkowa konstrukcja wypowiedzi i wahnienia celów czy nastrojów. Ja zadanie mam proste – jest nim namnażanie wewnętrzne, skutkujące spokojnym, stopniowym rozrostem. Cisza to moje błogosławieństwo – nie chcę, aby ktoś zakłócił mój rozwój, nie teraz, gdym skupiona tak na sobie jak rasowy polityk lub inny człowiek o mentalności dwulatka.

Wróćmy jednak do początku świata – bo ja wiem, że on powstał wcześniej, że istniał tu przede mną, poznałam już strukturę gleby, do której przywieram połową swojego ciała, zrobiłam stosowne badania, z których wyszły miliony lat historii, a moja – jak wynika ze składu chemicznego komórek – to zaledwie kilka miesięcy, i to w dodatku wszystkie zimne, mętne i paskudne jak ta woda nade mną.

Leżę i chłonę. Leżę i rosnę. Leżę i myślę. W głowie, której nie mam i jako wyodrębnionej części mieć nigdy nie będę, rysuję swoje historie, od których jeży się włos na... no właśnie, na czym, skoro nie na łbie?

*

- Krzyyychuuu...

Ten głos przeciągający spółgłoski, kiedyś tak uwielbiany, a teraz świdrujący niemiłosiernie w tyle głowy. Młot pneumatyczny to przy nim trele skowronka.

- Krzyyychuuuuuu...

I znowu, jakbym był głuchy, nie słyszał, co niby ma mi takiego ważnego do powiedzenia. A przecież dotarło, tylko czy jej może zaświtać myśl, że ja nie chcę z nią rozmawiać?

Złapała mnie w wiatrolapie, nie zdążyłem zawiązać butów.

- Słuchaj, pamiętaj odebrać Helę z przedszkola, ja dziś mam zumbę o piątej, umówiłam się już z koleżankami, nie wyrobię wrócić i pojechać, musisz to sam załatwić – wyrzucała słowa niczym automat.

- Gdzie ta zumba? – pytam, bo wiem, że ona chce, żebym okazał zainteresowanie, choć naprawdę mam to gdzieś. Dla mnie może tańczyć choćby na Marsie, nawet lepiej, bo z dala ode mnie.

- Moniuszki. Sam widzisz, nie zdążę.

Dobra, dobra, kiwam głową na zgodę, żeby tylko móc wyjść, opuścić jak najszybciej to miejsce, jej towarzystwo, ten zapach zawilgoconego domu zmieszany z proszkiem do prania i tanimi perfumami z letniej wyprzedaży.

*

Po raz pierwszy poznałam go, gdy przyszedł nad zbiornik późną jesienią. Opadły już ostatnie liście, ale jeszcze śnieg nie sypnął, wszystko taplało się w błocie i beznadziei. Nie był sam. Obok niego kręciła się kobieta o całkiem niebrzydkiej twarzy otoczonej kapturem z szarym, lekko liniejącym futerkiem. Jej usta nie przestawały się poruszać – cały czas bzyczała w jednolitej

tonacji. Wokół ich dwojga podskakiwała niczym szczeniak mała dziewczyna, lat około trzech, z figury i ruchów przypominająca kobietę, która najwidoczniej była jej matką. On szedł milcząco, przygarbiony, ramiona do przodu, z wzrokiem wbitym w nierówno ułożoną kostkę Bauma. Jakby mógł, pewnie by spojrzeniem przekłuł soczewki w swoich okularach, tak intensywnie wpatrywał się w ziemię, byleby tylko nie widzieć tej starszej.

A ona włożyła mu cały czas pod rękę. „Słuchasz mnie, Krzychu?“, „Co nie? Co nie?“ i „Mówiłam ci przecież sto razy“. I co z tego, że mówiła? Z jej trajkotania niewiele można byłoby i na trzeźwo zrozumieć, a on na pewno był wczorajszy, czułam to wręcz fizycznie, gdy od jego oddechu zafalowało procentami powietrze.

Tak doszli do zbiornika, Mojego Schronienia, rzecz nawet można, że Mojego Domu. On przerzucił się w międzyczasie z gapienia się na nierówne błotko na wypatrywanie ruchu w płaskiej tafli wody. Czerwone z przepicia białka na pewno doznały ulgi, szarość cieczy Mojego Pałacu łagodziła bowiem wszelkie doznania i nie trzeba było tak często przymykać opuchniętych do bólu powiek.

To była chwila. Tak zawsze mówią po fakcie ci wszyscy winni przestępstwa zaniechania, ale teraz to naprawdę był moment krótki jak rzut noża. Dziewczynka ukucnęła pod barierką, wygięła się w kierunku ładnego prążkowanego kamienia, który leżał poza zasięgiem jej grubiutkich rączek i bach! Już leciała w kierunku wody.

Przeraziłam się nie na żarty - mój wewnętrzny spokój, który był tak konieczny do równomiernego rozrostu, został bowiem solidnie zakłócony. Miałam dzielić ciecz z małą istotą, coś z tego, że zapewne za chwilę martwą, wcześniej poszamocze się zdrowo, pewnie któreś z rodziców zechce ratować brzdąca i rzucić się do jeziora, naruszając granice Mojego Królestwa. Wtedy też poczułam gwałtowne swędzenie w okolicy twarzy, której nie mam i mieć nigdy nie będę i sama nie wiedziałam, czego to zwiastun.

On ją złapał kilka centymetrów nad wodą. Został nagrodzony kilkoma sekundami ciszy, bo w końcu jego szanowna towarzysząca, nie wiem, żona czy konkubina, zamknęła usta. Potem jednak zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego.

On nie patrzył na dziecko. On ujrzał mnie. Wiem, że to teoretycznie niemożliwe, że przez tyle metrów wody awykonalne, ale tak po prostu się stało. Od tego momentu wiedziałam, że moja tajemnica została naruszona, a także, że nie jestem sama.

*

To na pewno nie może być normalne uczucie, gdy ojciec dziecka żałuje z tysiąc razy, że uratował je przed śmiercią. Jestem tego świadom i wstyd mi za to, ale nie mogę nic na to poradzić. Helenka jest ostatnim spoiwem łączącym mnie obecnie z moją żoną, niestety zbyt mocnym i znaczącym, aby ot, tak go rozerwać albo udawać, że nie istnieje.

Doskonale pamiętam tamten dzień. Nie ma co ukrywać, czułem się tragicznie, w pracy postępująca tragedia grecka, zresztą każdy pretekst jest dobry... Kac rozrywał mi głowę na strzępy, w uszach ciągle terkotał mi głos Aliny, w domu było znowu duszno takim mokrym gorącym wprost z rozgrzanych kaloryferów, na których wisiały wszędzie jej bazarowe staniki i majtki ze sztucznego jedwabiu, o których na głos nie mogę powiedzieć złego słowa, bo mi odparuje, że nie zarabiam tyle, by kupowała sobie coś eleganckiego. W każdym razie klimat panował taki, że z radością przyjąłem propozycję wyjścia na spacer. Tak, może być tu blisko, nad zbiornik po wyrobisku gliny.

Ubraliśmy się w try miga i wyszliśmy z domu. Minęliśmy Piec Hoffmanna, skręciliśmy w Ceramiczną, potem w lewą i Fajansową do samych glinianek. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo, ludzkiej duszy ani widu, ani słyhu, aż się sam zdziwiłem, bo w końcu był weekend.

Alina niestety nie zaprzestała swojego brzękolenia, trzeszczała mi cały czas nad głową, to – tamto, to – tamto, Krzychu, to – tamto, to – tamto. Jakby w takt stukotu kół starej lokomotywy, takiej, jaką mamy na osiedlu. Nie dało się tego wytrzymać, momentalnie się wyłączyłem. Kątem oka obserwowałem tylko Helenkę, kręciła się wszędzie jak mała fryga, od patrzenia na nią swędziały mnie spojówki, tak była ruchliwa.

Kilka razy po drodze rzuciłem do Aliny, że jestem nie do końca dysponowany, żeby patrzyła na małą, bo może jakieś auto wyjechać czy co. No ale ona jak zwykle mnie zbyła, ale Krzychu, nieważne, posłuchaj, to – tamto, to – tamto. Na nasze szczęście - nieszczęście po drodze nie wydarzyło się nic złego, nic, co mogłoby wyostrzyć naszą czujność, jak mówiłem, żywego ducha. Wszystko w rytmie jednostajnego altu: tarara, to – tamto, to – tamto, tarara, to – tamto, to – tamto.

Ta scena wydarzyła się nad samym wyrobiskiem. Sam nie wiem, jak to się stało, ale Helenka zachwiała się, straciła równowagę, jej ciało ugięło się w stronę wody, już dotykała kurteczką mokrego, gdy obiektywnie szybkim, a zważywszy mój stan – ultramegaszybkim ruchem ręki chwyciłem ją za poły i podciągnąłem do góry. Przez chwilę zapanowała błogosławiona cisza – Helenka była zbyt przestraszona, żeby cokolwiek powiedzieć, co dopiero rozplakać się, a Alina chyba właśnie nabierała zimnego powietrza do płuc.

Zresztą nieważne. Wtedy właśnie po raz pierwszy poparzyłem w głęb jeziora i ujrzałem to. Po prostu niezemskie zjawisko, po którym moje życie nie wróciło już do normy.

(Ha! Zabrzmiało to tragicznie, może trochę pompatycznie, prawda? Ale jak lepiej opisać wynurzenie z codziennej szarej beznadziei w kierunku obezwładniającego pięknem słońca? Nawet jeśli znajduje się ono ukryte kilka metrów pod syfiastą wodą?)

*

Jedną z większych głupot, jakie słyszałam od ludzi, była ta, że liczy się jakość, nie ilość. To nawet gorsze od stwierdzeń, że rozmiar nie ma niby znaczenia, a prawdziwa miłość wszystko wybaczy.

Kiedy patrzę z podziwem na siebie, jak pięknie rozwijam się na dnie tego zapomnianego na końcu świata jeziora, jak wdzięcznie rozkładają się moje kolejne odnoża i cudownie oddycha każda nowa komórka mojego ciała, głęboko chłonąc nowe życie i pomijając ból, który temu towarzyszy, myślę sobie, że nierozumne ziemskie dwunogi muszą wcześniej czy później wyginać. No bo jaka przyszłość może czekać głupiutkie istoty jawnie głoszące tak straszliwe herezje?

*

Alina zawsze nazywała Helenkę Helą, nie mogliśmy dojść do porozumienia nawet w tak prostej sprawie jak imię dziecka.

Hela, Helcia – czy to jest ładne? Helenka brzmi tak jakoś szlachetniej. A zresztą, teraz nawet gdyby Alina zaczęła deklamować mi strofy Miłosa, uznałbym to ostatnią grafomanię. Jak bardzo można kogoś nie cenić, nie liczyć się z jego zdaniem, ze wszystkich sił pragnąć mu

zrobić na opak – to wie tylko mąż z odpowiednim stażem. I z kompletem zapasowych noży kuchennych naostrzonych niczym włócznie przed ostatnią bitwą. Tak na wszelki wypadek.

*

Nie jestem może wybitnym psychologiem, ale jak tak się leży, rozplaszcza i czeka, to naprawdę nie ma zbyt wiele do roboty, jest czas na obserwację i refleksję.

Weźmy na przykład taką panią z szyją szczelnie omotaną zielonym szalikiem. Ze wszystkich sił stara się uchodzić za światową i kulturalną, sama słyszałam, jak strofuje dziecko sąsiadów, że niby za głośne na ulicy. Ta sama pani wypuszcza swojego psa luzem, żeby się załatwił pod domkiem sąsiadów, oczywiście nie sprząając po nim, bo nie chce jej się codziennie odchodzić nieco dalej od siedzib ludzkich. Ot, poziom psich odchodów!

Albo pan z czarnym niby-terenowym BMW, który co tydzień pucuje swój samochód na podjeździe, zdejmując mu nawet alufelgi do mycia, bo opony też muszą być czyste. W tym panu jest tak wielkie pragnienie zmanifestowania swojego dobrobytu, że zabronił (sama słyszałam!) swojej córce pokazywania się w czapce z Tesco, bo to, cytuję, „obciach i żenada”. Ten oto człowiek pakuje codziennie worki ze śmieciami do bagażnika swojego ekskluzywnego samochodu po to, żeby podrzucić je w mieście do publicznych koszy na odpadki. Nawet się tym chwalił swojemu kuzynowi, ale tak szeptem, jak przyszli nad brzeg jeziora strzelić sobie jednego.

A propos śmieci – pozwólcie, że wspomnę moich ukochanych robotników budowlanych, odwiedzających mnie w cieplejsze dni niemal codziennie, przynoszących mi dary w postaci puszek aluminiowych po „pyfku”, które rzucali prosto we mnie, hej, kto dalej trafi!!!

Najbardziej jednak lubię patrzeć na mojego faworyta – mówiłam już o nim, to ten złamany życiem, w średnim wieku dobrze zapowiadający się alkoholik, którego los obdarzył okrągłą córeczką i żoną z ustami mielącymi powietrze niczym drzwi obrotowe. To najbardziej stały z moich adoratorów – od czasu niedosłego wypadku z dzieckiem przychodzi tu do mnie co wieczór. Nie mogę, co prawda, powiedzieć, aby zza jego „szkieł okrągłych patrzył we mnie wzrok niezmiernie głęboki”, to nie ten poziom, czasy, a przede wszystkim narracja. Ale przyznać mu trzeba, iż za każdym razem wpatruje się z takim natężeniem w toń jeziora, że staram się jeszcze bardziej rozplaszczyć – do pojedynczej warstwy komórek, schować – pod każdym napotkanym ziarnkiem piasku, utonąć - nawet w kroplach zamarznętej wody. Potem on wstaje, wyciąga ze spodni kawałek bawełnianej podkoszulki, którą wyciera wiecznie zatłuszczone okulary, zakłada je z powrotem na nos, wpycha niedbale bieliznę pod pasek i znowu spogląda tak, że cierpłby mi do bólu każdy kawałek skóry, gdybym tylko ją miała.

Bawimy się w nasze tajne zaloty, miłosne przedstawienia chowanego – on udaje, że mnie szuka, choć już znalazł, ja pozoruję chęć ukrycia na dnie.

Nie teraz, miły, dam ci się zobaczyć w pełni. Jeszcze nie teraz.

*

Czasami przychodziłem do niej z Helenką. Trochę to był pretekst. Brałem małą za rączkę, Alinie mówiłem, że idziemy na spacer, żona zazwyczaj machała ręką i dalej mieszała jakąś zupę (zawsze musiała być zupa), a my wychodziliśmy na dwór.

W głębi ducha cieszyłem się wtedy, że u Helenki tak słabo z mówieniem, że nie może

zadawać mi kłopotliwych pytań, dlaczego ciągle chodzimy w to samo miejsce, tym bardziej, że na gliniance nie za wiele jest dla dzieci atrakcji, a w zimę to w zasadzie wcale.

Trochę pokazywałem jej ptaki, lepiliśmy nawet, jak pogoda pozwalała, jakiegoś bałwana, ale tak naprawdę cel wizyty był osiągnięty, gdy udało mi się ujrzeć jakiś Jej skrawek. Ułamek ciała. Kawalek odnóża. Cokolwiek.

Byle Jej.

*

Jego dziecko wyglądało nawet sympatycznie. Spokojne, małomówne, jakby charakter odziedziczyło po ojcu. Po pewnym czasie zaakceptowałam to towarzystwo.

Z rzadka się do niej odzywał, a jego komentarze dotyczyły zazwyczaj jej terażniejszości. Zimno ci może, Helenko? Patrz, kaczką! Oj, ładny znalazłaś patyk! Niczego nie można było się z nich o nim dowiedzieć, poza tym, że stara się być poprawnym rodzicem. Aż i tylko. Nikim więcej.

*

- Panie Krzysztofie.

O Jezu. Los pokarał mnie nie tylko kobietą, która nie zna słowa przerwa. Gratis dostałem także w komplecie szefową o podobnym podejściu do życia.

Odwracam jednak do niej grzecznie uśmiechniętą twarz, zgodną ze wszystkimi wewnętrznymi procedurami i standardami. Groźba bezrobocia w Zielonej Górze, mimo że niższa niż w reszcie Polski, jednak istnieje i właśnie szczerzy w moim kierunku swoje obite w śnieżne porcelanki kły.

- Panie Krzysztofie...

Zacięła jej się płyta czy co? Przecież jestem, siedzę tu przed nią i słucham. Ach, już czaję bazę, to taka cisza przed...

- Panie Krzysztofie, co to, kurna, jest?

Ten palec owinięty megagrubym pierścieniem z białego złota, najnowsza kolekcja Kruka, widziałem w Focus Parku, bo Alina zaciągnęła mnie tam, żeby pokazać, co chce na urodziny. Upragniona biżuteria kosztowała więcej niż moje miesięczne pobory, więc jeszcze-zona musiała się zadowolić płytą CD z jej ukochanym - przepraszam, poprawka – PRAWDZIWIE UKOCHANYM Rubikiem.

No więc patrzę teraz na ten pierścień, na który mnie nie stać i w tym stuleciu się to nie zmieni, paluch Bossicy nim przyozdobiony wskazuje na moją ostatnią analizę, w zasadzie na jej końcowe wnioski.

- Ja pani mówiłem – zaczynam grzecznie i spokojnie, bo może da się to po ludzku odkręcić. – Byłem z tym u pani w zeszłym miesiącu, ostrzegałem, że nasza dotychczasowa praktyka jest niezgodna z przepisami po ubiegłorocznej nowelizacji.

- Cooo?

Będzie źle. Podskórnice czuję, że będzie bardzo źle.

- Chyba pan za... Panza... Pan zar... - Potem długi charkot.

Wyskakuję zza biurka, biegnę na korytarz do wodopoju, jak nazywamy firmowe źródółko z wodą destylowaną, bo na uczciwą mineralną pracodawcy nie stać, łapię jakiś plastikowy

kubeczek, nalewam do połowy i wracam szybko do swojego pokoju. Podaję naczynko babsztylowi, który się najwyraźniej zadyszał, zrobił się cały buraczkowy na twarzy i jeszcze bardziej okrągły niż bożonarodzeniowa bombka.

Babsztyl łyka wodę jednym haustem, odkasłuje i oddaje kubeczek. Uznaję, że chce więcej, wracam więc na korytarz, powtarzam procedurę.

Szefowa siedzi już, wróć!, ona nie siedzi, babsko spoczywa, pokłada się, niemal leży na krześle Asi, która była tak miła, że nie przyszła dziś do pracy.

Gdy babsko nabiera jakiś normalnych kolorów na facjacie i jej oddech nie przypomina już rozruchu silnika wartburga, czuję, jak wszystkie pracowe złe moce zbierają się nade mną, by wisieć tuż nad moją głową.

A szefowa tylko kręci głową. Jej oczy, w kącikach załamane, a frontalnie ciskające na mnie gromy, nie próbują nawet udawać litości, w przeciwieństwie do języka, który pozoruje lekkie zakłopotanie.

- Nie możemy tak dalej pracować, szanowny panie – stęka Bossica. – Pan się męczy, ja się męczę. No, nie możemy.

Po tym krótkim podsumowaniu opuszcza mój pokój. Ja stoję, trzymając w łapach sporządzoną przeze mnie analizę, z którą ona przyszła. Mój wzrok tłuką pastelowe kolory markerów, zakreśliwszy obutym w pierścień paluchem najcelniejsze ze sformułowanych wniosków.

*

- Co zrobiłeś?

Czasami tak się zdarza. Dzień zapowiada się wybornie. Spadł już śnieg, jest mroźne, przejrzyste powietrze. Niebiański spokój.

- Co zrobiłeś?

W taką pogodę nawet ludzie powinni być dla siebie lepsi. W końcu chłodne macki aury też powinny ich dotykać, zbliżać do siebie spragnionych uczucia, prawych, stałocieplnych.

- Co zrobiłeś?

I znajdzie się taka menda nad mendami, choć kobieta, z wyleniałym futerkiem zamiast włosów na górze czerepu, za to z otwartą rurą z przodu... Znajdzie się, bo zawsze się znajduje. Biegnie za nim, dogoniła go nawet, pomimo że on przecież chciał być sam. Ale ona zwiesza się na nim. I głądzi.

- Dobrze, ja już nie pytam co. Ja wiem.

Uff... nawet ja zdążyłam już usłyszeć.

- Ja chcę tylko, żebyś mi jedno powiedział. Dlaczego. Dlaczego? Dlaczego!

To ostatnie to na wrzasku przeraźliwym w nieznaną mi tonacji.

Potem ulga, bo jednak cisza. Po co ta zołza go męczy? Przecież wystarczy na niego spojrzeć i cała jego przygarbiona sylwetka, znoszone buty, zabrudzone okulary, ręce ze spierzchniętą skórą, którą widać, bo nie założył rękawiczek, a teraz upycha te dłonie takim słodkim gestem po kieszeniach kurtki, no, cała jego marna fizjonomia mówi jej DLATEGO. Czy ona tego nie widzi? Czy ich kobiety z wiekiem ślepną? Kiedy wreszcie przestanę zadawać nieprowadzące do nikąd pytania i skupię się tylko na sobie?

Spokój. Wzrost. Spokój. Wzrost.

Ja. Najważniejsza Ja.

*

Niby powinienem się tego wszystkiego spodziewać. W zasadzie nie wiem, czego oczekiwałem – to, co się zdarzyło, było logiczną konsekwencją poprzednich zdarzeń.

Alina się wściekła. To najpierw, pierwsza faza. Krzyk, gdzie postradałem rozumy, czy ja jestem odpowiedzialny i takie tam. Wszystko nad głową Helenki, która pętała się gdzieś dookoła, ciągnąc na zmianę za rękę to mnie, to Alinę. Mały przeszkadzasz, niby słodki, ale dziś jeszcze bardziej wytrącał mnie z równowagi.

Druga faza to cisza. Nawet miły fragment, szkoda tylko, że nie trwał zbyt długo. Zbyt szybko przyszedł trzeci etap, te namolne pytania, a opowiedz dokładnie, jak, czemu, w jakim celu i – najgorsze - jak ja sobie to dalej wyobrażam. Ona przecież nie będzie pracować za dwoje, a Hela, co z nią, jej rosnące potrzeby, coś jeszcze o utrzymaniu darmozjada (czyli mnie) przez strudzoną kobietę (czyli nią) gratis. Boże, przecież ani razu w życiu nie poprosiłem jej o złotówkę, o co więc chodzi tej jędry. Nie wytrzymałem, wyszedłem z domu, uciekłem nad gliniankę, popatrzyć na Nią.

Nie wiem, co takiego w Niej jest, ale sam Jej widok mnie uspakaja. Czuję, że w wodzie ukryta jest kobieta, choć pewnie bezpieczniej byłoby mówić o Niej samica. W każdym razie coś z żeńskim pierwiastkiem, ale bardziej wyrozumiałego niż Alina, Helenka czy Bossica z osobna i razem wzięte.

Alina dobiegła do mnie nad jeziorko, nadal w fazie pytającej. Była sama, najwyraźniej Helenkę podrzuciła którejs sąsiadce. Albo młoda została sama w domu, teraz to naprawdę mi zwisa. Skoro i tak będzie, co...

*

... ma być.

Chyba za długo toczyliśmy ten bezowocny dialog, w końcu coś się musiało wydarzyć. Emocje między nami napięły się niczym mięśnie olimpijskiej sztangistki, nie dziwne, że jedno z nas przygniótł ten ciężar, powodując marny upadek na podest.

Na razie jednak trwa scena zanurzania palców w mące, podczas której zabieram głos:

- Gdybym kiedykolwiek miała wybierać coś wspianiałego, co nie jest mną, to rzeczą tą byłbyś ty.

*

- Dziękuję.

Alina mrugająca ze zdziwienia oczami z częstotliwością dziesięć na sekundę wygląda jeszcze bardziej niż zwykle jak żalсна karykatura człowieka. Jak kiedyś ja nie mogłem pojąć bezwymiarnego nieskończoności, tak teraz ona nic a nic nie rozumie z tej sceny.

- Kurde, Krzychu, za co mi dziękujesz? – dyszy. A potem po raz pierwszy po ludzku, z niepokojem:

- Dobrze się czujesz? Może umówić na jutro lekarza?

- Gdybym kiedykolwiek miał odejść od córki, to tylko do ciebie – szepczę Jej, ale wiem, i Ona też widzi, że mamy w tym wyznaniu świadka jedynie przez chwilę niemego.

*

Ta żalosna kobieta oczywiście nic nie pojęła. Wątpię, aby w ogóle zauważyła, że on nie mówił do niej, tylko patrzył przez nią na mnie.

- Ale o czym ty mówisz, Krzychu?

I drży na całym ciele, widać to nawet przez jej kurtkę.

- Przecież ja i Hela... i ty... - dodaje szybko, ale jednak po przerwie, którą zauważa cała nasza trójka. – My jesteśmy rodzina. Kto ma od kogo odchodzić?

- Helenka, nie Hela – on poprawia, ale tak jakoś dziwnie, z naciskiem na „nie”. – Mówiłem ci tysiąc razy.

- A co to za różnica? – ona dyskutuje bez sensu.

- Duża – on szepcze, obejmując ją w pół.

Ściska ją mocno, trzyma coraz bliżej.

Po chwili ona zaczyna krzyczeć.

*

To nie był czysty krzyk, tylko charkot. Nawet się specjalnie nie broniła.

*

Patrzyliśmy sobie potem długo w oczy. W pewnym momencie on nawet zdjął okulary, odruchowo je przetarł, ale nie włożył ich z powrotem na nos. Nasze spojrzenia pozostały niezłamane przez żadną warstwę brudno-przezroczystego śmiecia. Z wyjątkiem Mojego Bajorka w Cegielni.

*

Ktoś może uznać to za zbędne tłumaczenia, ale muszę powiedzieć, że oczywiście wcześniej tego nie planowałem. Scenariusz wynikał sam z okoliczności, na które nie do końca miałem wpływ. Każde uczucie potrzebuje ofiary, wiadomo zaś, iż tak Wielka Miłość do Niej nie zaspokoi się byle czym. Nagle poczułem, że rozwiązaniem wszystkiego będzie ten akt rozegrany na Jej oczach, na Jej terenie, na Jej warunkach – tylko dla Niej.

Nie udusiłem Aliny, przynajmniej nie całkowicie. Jeszcze wyczuwałem delikatny puls, gdy odejmowałem swoje dłonie od jej szyi, a podkreślić należy, że zawsze miała ją piękną – długą i jasną jak marmurowa kolumna. Wtedy po raz pierwszy i jedyny poczułem żal.

*

Ale potem spojrział na mnie i już się nie wahał. Jej jeszcze żyjące ciało podarował mi możliwie delikatnie – najpierw ułożył je starannie, a potem spuścił na wodę. Schodziła na dno powoli, z godnością i, co najważniejsze, w ciszy. Widać poprzednie szamotanie musiało osłabić ją znacznie.

Przyjęłam ten prezent ze zrozumieniem, choć nie był to oczywiście szczyt moich marzeń.

*

W zasadzie już przy układaniu Aliny zrozumiałem, że ta ofiara nie wystarczy. Absolut żądał

więcej, choć chyba nawet nie można było nazwać tego rozkazem, bo czy istnieje takowy niewypowiedziany?

Długo odwlekałem ten moment, wieki chyba trwało, a co najmniej kwadrans, abym wiotkie ręce konającej Aliny splótł prawidłowo na krzyż na jej klatce piersiowej, okutej w grubą kurtkę, wsuwając długie palce jej wypielęgowanych dłoni pod pachy. Pomogłem sobie praktycznie jej szafirowym szalikiem, który zacisnąłem jeszcze bardziej na szyi, a gdy ta przyklejona do zaśnieżonego brzegu wyglądała już jak rasowy pilaster ze żłobkami wzbierających niebieskich żył, wełnianymi frędzelkami wieńczącymi szmatkę opotłem opuszki delikatnych palców mojej żony. Potem oczyściłem jej twarz z krwi i niepotrzebnej śliny, gładząc jej zmierzwiłone kosmyki włosów, które uciekły spod kaptura.

Muszę przyznać, że ułożona symetrycznie, z zamkniętymi oczami i przede wszystkim nieruchomymi ustami, Alina wyglądała teraz najpiękniej w swoim trzydziestopięcioletnim życiu. Tysiąc razy dostojniej niż na swoim ślubie, kiedy to świeżo zakręcone loczki wizytowały każdy napotkany po drodze drink znajdujący się w rękach naszych gości, których wzrok był wcześniej przekłuty nadmiernie wypolerowanym tipsami z manicure typu French z wtopionymi pseudominibrylancikami.

Moja milcząca żona leżała spokojnie półmartwa otoczona dookoła mlecznym puchem, jakieś dziesięć metrów od naszego ostatniego uścisku. W tym momencie była kompletnym przeciwieństwem siebie całkowicie żywej. Poświęciwszy jej kilka sekund kontemplacji, powolnym, jednostajnym ruchem zacząłem przesuwając jej ciało w kierunku wody.

Skupiony całym sobą na poprawnym wykonaniu zadania, nie zauważyłem pasiastego kamienia leżącego na brzegu. Kamień okazał się być nadzwyczaj śliski, moja stopa skręciła się na nim pod niesamowitym kątem, a ja sam zacząłem zjeżdżać wraz z Aliną do wody.

*

Czekałam na niego.

Specjalnie wystawiłam tę samą przynętę, na którą kiedyś niemal nabrała się jego córka.

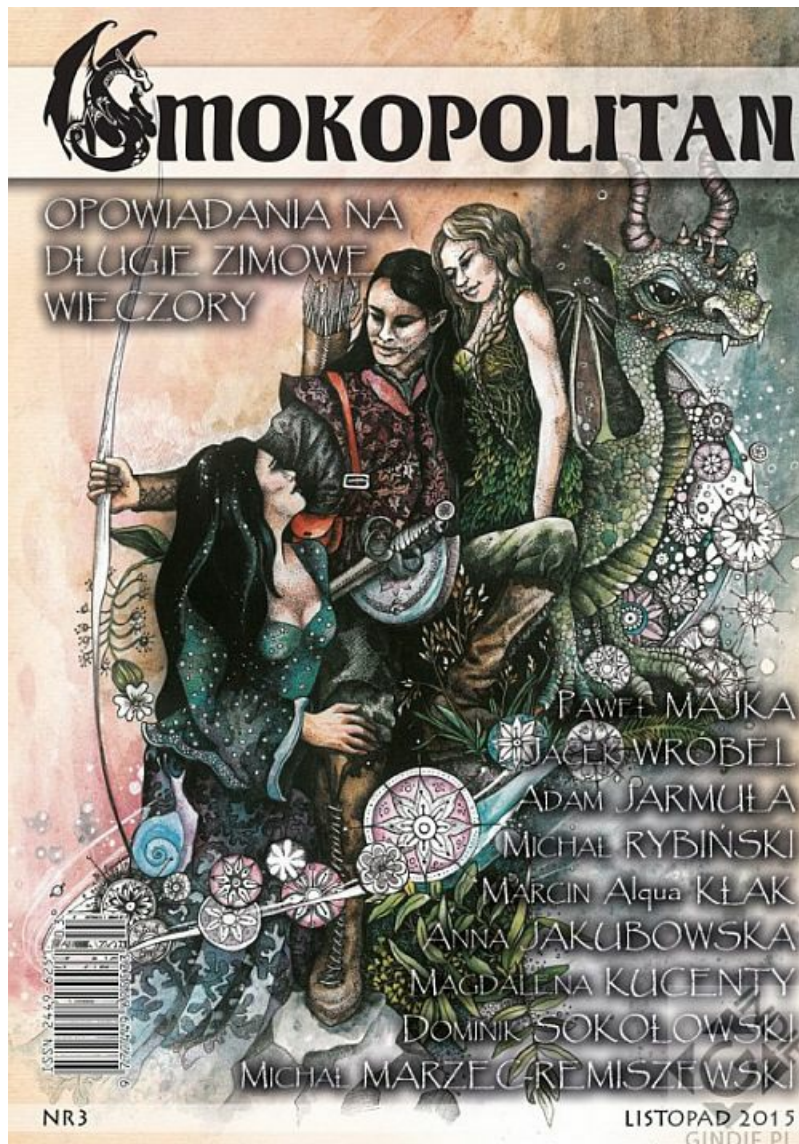
Zbliżał się do tafli Mojego Jeziora z miną wykrzywioną bólem, ale nie zważałam na to. Byłam tak pewna swego, tak przekonana, że już nadszedł czas.

Mój Czas Zrzucenia Maski.

Magdalena Kucenty

Koziorożec i Smok

Opowiadanie ukazało się w *Smokopolitanie* (3).



Capricorn śledził ruchy formującej się na nowo skalnej ściany. Kamienne bloki ocierały się o siebie, przekręcały na boki, po czym z cichym zgrzytem wskakiwały na wyznaczone miejsca. Kępy mchu wykwitwały ze szczelin i skrywały pod zielonym kożuchem kolejne fragmenty urwiska, niosąc charakterystyczny zapach leśnego runa. Wartki strumień spływał wyżłobionym lejem i rozgałęział się na kilka srebrzystych pasm, które dalej niknęły między skałami.

Wilgotny chłód przenikał skórę, zjonizowane powietrze wypełniało nozdrza, ale zmysły nie dawały się oszukać. Alarmowały, że urwisko nie jest dziełem natury.

W rzeczy samej przed Caprim ukształtowało się drobiazgowo zaprojektowane pole treningowe. Chłopak nabrał talku z przytroczonego do pasa woreczka i wtarł go w dłoń, potem wybadał stopą ziemię. Ta w kilku miejscach zapadła się lekko. Capri nie chciał nawet sprawdzać, co za pułapka kryje się pod spodem, więc spróbował ponownie parę kroków dalej. Tutaj podłoże sprawiało wrażenie stabilnego, zatem rozpoczął wspinaczkę.

Wcisnął palce w plujące wodą zagłębienia, które niczym broczące rany znaczyły cały sześćdziesięciometrowy klif. Stawiał stopy na zachęcająco wyglądających ustępach skalnych, by nieraz przekonać się, że nie dawały one odpowiedniego oparcia. Wreszcie, gdzieś w połowie wysokości ściany, w ostro nachylonym miejscu, poślizgnął się na wilgotnym kamieniu. A próbując odzyskać równowagę, odkrył, że pod najbliższym mchem chował się pęcherz powietrza. I nic więcej.

Pomyłkę opłacił dosyć niefortunnym upadkiem, podczas lotu bowiem zderzył się głową z wyjątkowo okazałym głazem, na którym jeszcze chwilę temu odpoczywał. Niestety, moment słabości skończył się dla chłopaka złamanym karkiem.

Wpatrując się pustymi oczami w hologramowe niebo, ze strużkami czerwieni ściekającymi po twarzy, ułożył zranione usta w jedno tylko słowo:

– Cofnij.

Wodospad zmienił swój bieg, srebrne nitki łączyły się w grubsze pasma, aż tuż przy szczycie trafiły do wspólnego koryta. W tym czasie kręgi szyjne Capriego wskakiwały na miejsca, krwiaki na czole szybko malały. Jak na puszczoneym od tyłu filmie chłopak wystrzelił w powietrze, przykleił się do skał i zszedł z urwiska.

Potem uniósł głowę i rozpoczął wspinaczkę na nowo.

*

Pisces z rosnącym podnieceniem obserwowała brata. Lubiała, gdy ćwiczył, bo zawsze wtedy zdejmował koszulkę, do woli mogła więc podziwiać jego atletyczną sylwetkę, twarde sploty mięśni i silne ramiona. Capricorn był szczupły, miał chłopięce, pozbawione zarostu policzki oraz sięgające za uszy blond włosy. Nikt jednak nie nazwałby go zniewieściałym chuderlakiem. Nie, Capri był piękny.

Pisces rzuciłaby mu się w ramiona, gdyby ujrzała w szarych oczach chociaż cień przyzwolenia. Ale one zawsze pozostawały zasnuwane mgłą i niedostępne, skrywając szeregi błyskawicznych kalkulacji zachodzących w umyśle chłopaka.

Capri w ogóle jej nie dostrzegął, kiedy tak stał wpatrzony w te głupie kamienie i co ułamek sekundy mrucał pod nosem:

– Cofnij. Cofnij. Cofnij...

Nie zwrócił na Pisces uwagi, nawet gdy skończył już mamrotać. Bez wahania ruszył ku szczytowi ściany, palcami odnajdując niewidoczne dla oka szczeliny i bezbłędnie stawiając stopy. Jak zawsze dotarł na sam szczyt szybciej, niż się tego spodziewała. A gdy tylko otrząpął ręce, wydał rozkaz rekonfiguracji i urwisko pod nim ożyło.

Pisces przyłożyła zwinięte dłonie do ust i przekrzykując szum pracujących mechanizmów, spytała:

– Przelecisz mnie w końcu czy nie, Capri?

Chłopak spojrział na nią i z irytacją zauważyła, że zamiast odpowiedzieć, zaczął kalkulować, na ile jest to możliwe.

1. UMYSŁ KOZIOROŻCA

Capri popijał ciastka niesłodzoną herbatą i czekał, dla zabicia czasu ćwicząc specyficzne możliwości swojego umysłu na klientach kawiarni.

Skubiąca szarlotkę kobieta z radością oddawała się jakiemuś czystemu. Wszystko niebawem wyjdzie na jaw, przez co mąż ją porzuci, a kochanek przerwie międzykastowy romans. Nuda. Dalej, jedząc lody, siedziała para zakochanych deformantów. Mężczyzna oświadczy się jeszcze dziś i usłyszy magiczne „tak”, a potem będą mieli mnóstwo brzydkich dzieci. Nic ciekawego. Z kolei mizdrząca się w kącie dwójka zwyklaków długo nie wytrzyma; zaczną się kłócić, do końca roku zerwą. Też nuda. Natomiast bezdomny, przysypiający przy oknie nad zimną kawą, w ciągu półtora miesiąca umrze.

Cofnij. Dodaj pieniądze.

Bezdomny, przysypiający nad zimną kawą, zostanie okradziony i pobity. W ciągu tygodnia umrze.

Cofnij. Odejmij pieniądze, dodaj szpital.

Bezdomny, przysypiający nad zimną kawą, zostanie zdiagnozowany – stwardnienie rozsiane. W ciągu czterech miesięcy umrze.

Capricorn podstawił kolejne zmienne do symulacji, ale wynik zawsze był ten sam – nieunikniona śmierć w krótkim czasie.

Odechciało mu się dalszych ćwiczeń. Zapatrzył się w powierzchnię niedopitej herbaty i zaczął obracać w palcach jedno z ciastek.

Trzysta dwadzieścia sześć obrotów później do kawiarni wszedł Logan. Spryskany opalenizną w płynie, z siatką sztucznych zmarszczek na twarzy i przebłyskami siwizny we włosach, wyglądał starzej niż zazwyczaj. Na jakieś pięćdziesiąt lat zamiast trzydziestu. Do tego ubrał się inaczej: w skórzaną kurtkę, rozpiętą pod szyją koszulę oraz džinsy. Capri obawiał się jednak, że wystarczy zerknąć na wypięlegnowane ręce i równe zęby mężczyzny, by przejrzeć fortel.

– Cześć, młody – przywitał się czysty. – Dokańczaj te swoje ciasteczka i idziemy. – Nie przysiadł się do niego, tylko stanął obok z wyczekującą miną. – Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Chłopak nie miał już ochoty jeść, więc bez zwłoki wstał od stołu. Ale dopiero na zewnątrz, w nikłym świetle wieczora, Logan podjął się tłumaczenia.

– Idziemy do Jamy. Słyszałeś o tym miejscu?

Capri potaknął. Skądinąd posiadał informacje, że w Jamie odbywały się nielegalne walki mutantów, ponoć bardzo popularne.

– W takim razie domyślasz się, dlaczego cię potrzebuję. – Logan parsknął śmiechem. – Zresztą, co ja wygaduję. Pewnie już dawno wywróżyłeś sobie wszystko w tym swoim pojebanym rozumku.

Chłopak zignorował drwiący ton towarzysza i nieuprzejme słowa. Rozumiał, po co tamten go potrzebował. Wszakże szli przez Kocioł, jedyną dzielnicę pod kopułą Matki, w której pozwalano mieszkać deformantom i sypiać bezdomnym. Przystępność kwitła tutaj w najlepsze, uzbrojony rabuś czy zdesperowany biedak w każdej chwili mógł zaatakować świecącego białymi zębami Logana, a on dbał o swoją skórę jak o nic innego na świecie. Skoro przyszedł do Kotła w przebraniu, nie mógł sobie pozwolić na oficjalną obstawę. I potrzebował takiej mniej oficjalnej.

– Mam cię ochraniać – stwierdził Capri. Odezwał się pierwszy raz od rana i jak zawsze w podobnej sytuacji czuł dziwne odrętwienie wokół ust.

– Ta jest. – Jego towarzysz klasnął w dłonie. – Mądry chłopiec!

Capricorn nie lubił przytyków Logana i samego Logana również. Ale dopóki ojciec kazał mu współpracować z czystym, chłopak po prostu robił swoje, zbywając milczeniem wszelkie głupie odzywki.

Przez jakiś czas szli we względnej ciszy: coś szumiało w tle, gdzieś rozbrzmiały przytłumione głosy, a nawet jakiś urwany krzyk, jednak nikt nie zaczął dwójki towarzyszy. Aż w pewnym momencie, jak spod ziemi, wyskoczył brodaty mężczyzna w podniszczonej wiatrówce i wytartych spodniach.

– Panie kierowniku – utkwił spojrzenie w Logana – zlitowałby się pan nad biednym, starym dziadem? Rzucił parę kredytów?

Nagle w żrenicach czystego pojawiły się złośliwe iskierki.

– Ależ oczywiście, szanowny dziadzie – odparł, wyciągając portfel. – Ile? Sto? Dwieście?

Mimo gęstego zarostu nietrudno było dostrzec wyraz zdumienia powoli wpełzający na oblicze żebraka.

– Panie dobrodzieju – załkał. – Co łaska... Co łaska...

Logan wyjął błyszczący trzycyfrową kwotą kartonik, a brodacz, jak na komendę, odsłonił przedramię. Jednak zanim czysty przyłożył plastik do skóry tamtego, zawahał się ostentacyjnie.

– Ach, jedna sprawa. – Cofnął rękę. – Jako że wyznaję ideę pieniądza zarobionego, miałbym do szanownego dziada prośbę.

– Jaką, kierowniku?

– A bucik mi się rozwiązał – powiedział, machając luźnym sznurowadłem. Capri moment wcześniej widział, że czysty specjalnie je przydeptał.

Brodacz omiół ich oszołomionym spojrzeniem, jakby nie zrozumiał aluzji, ale po chwili wahania padł na kolana i zajął się butem Logana. Nie zdążył jednak wstać, gdy tamten powiedział:

– I buziaka w czubek bym poprosił. Walnąłem się w duży palec, a na takie rzeczy najlepiej działają mamine całusy. – Nieszczery uśmiech wykrzywił mu wargi. – Ale od biedy mogą być całusy starego dziada.

W żebraku resztki godności wyraźnie walczyły z nadzieją na zarobek. Wreszcie zacisnęła usta i pochylił niżej głowę, jednak w ostatniej chwili Logan odsunął się na bok, wybuchając głośnym śmiechem.

– Tyle wystarczy – rzekł zmienionym głosem. – Wyciągaj tę swoją brudną łapę.

Brodacz posłusznie odsłonił rękę.

– Oszalałeś, staruchu? – prychnął czysty. – Bierz wszystko, przecież brzydziłbym się używać karty po tobie. – Rzucił plastikiem w czoło klęczącego i ruszył przed siebie. – Chodźmy, młody. Wystarczająco dużo czasu zmarnowaliśmy na to ścierwo.

Capri nie ruszył się z miejsca. Popatrzył na podchodzące łzami oczy żebraka i bez słowa pomógł mu wstać. Wściekle spojrzenie Logana ześlizgnęło mu się po plecach, gdy podniósł z ziemi kartę z nabitymi kredytami i wręczył ją biedakowi.

– Przepraszam za kolegę, on jest bardzo chory. – Zrobił krótką pauzę, po czym dodał konspiracyjnie: – Ciężki przypadek skurwysyństwa. Niestety, lekarstwa jeszcze nie wynaleziono.

Brodacz otarł policzki i parsknął śmiechem.

– Dobrze, synu. Dobrze. – Spuścił wzrok, pocierając kciukiem plastikowy kartonik. – Ale czego

innego spodziewać się po czystym?

Capri pokiwał głową. Tak jak sądził, przykrywka Logana była do niczego.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy. – Miał nadzieję, że mężczyzna nie uzna jego słów za drwinę. – Powinien pan pracować w Straży Wewnętrznej.

– Ach, synu. Gdyby tylko moja kochana mi na to pozwalała.

– Żona? – spytał bez namysłu Capri, któremu wbrew pozorom nie brakowało młodzieńczej naiwności.

– Wódka, synu – westchnął brodac. – Wódka.

*

„Smocza Jama” – głosił błyszczący neonami napis nad wejściem. Weszli do środka; Logan dumnie unosząc głowę, Capri niczym cień prześlizgując się za nim.

W lokalu było pełno normalni i deformantów oraz – oczywiście poza Loganem – pozornie ani jednego czystego. Popijali różnego rodzaju alkohole i bez najmniejszego skrupowania wciągali trip. Narkotyk białym puchem osiadał im na nosach, ekstatyczna mgielka zasnuwała wzrok. Wyglądało na to, że wszyscy bawili się wybornie. Centrum zaś uciechy stanowiła okrągła i niespodziewanie wielka arena, oddzielona okratowaniem od tłumu. Logan przepychał się między ludźmi, tak by znaleźć się możliwie najbliżej niej. Capri, rzecz jasna, również.

A tam, za metalową siatką, uwijała się starsza kobiecina, rozmazując mopem przysychającą na podłodze krew. Papieros w jej ustach tlił się powoli, co jakiś czas brudząc popiołem niedoprany fartuch. Babka wyglądałaby na normalkę, gdyby nie ogon, którym pomagała sobie przy sprzątanii. Zakończony włochatym pędzelkiem, zagarniał wybite zęby niby magiczna miotłka.

Logan wypytywał ludzi o następną walkę, a Capri przeprowadzał symulacje. Wychodziło mu, że w Jamie przysłowiowa kosa pod zebro stanowiła zagrożenie na poziomie trzyprocentowym. Przedawkowanie tripu – pięć procent. Zwykłe obicie gęby – osiem. Zatrucie alkoholowe – aż siedemdziesiąt dziewięć. Czyli ponad trzy czwarte osób wychodziło stąd zalane w sztok.

Sprzątaczką opuściła arenę, zostawiając na podłodze poczerniałe smugi i trochę popiołu. Capri przemnożył obliczenia przez panujące w lokalu warunki higieniczne i otrzymał obiecujący wynik. Nie miał szans opuścić Jamy bez jakiegokolwiek ubytku na zdrowiu.

Nagle rozbrzmiał gong i rozpoczęto zbieranie zakładów. Kuso ubrane panienki z terminalami zawieszonymi u szyi przechadzały się między gośćmi i ściągaly z ich przedramion najróżniejsze sumy – od paru jednostek po kilkaset. Niektórzy, tak jak Logan, używali kart.

– Postawiłem tysiąka na Achilleśa, ponoć świetnie pracuje nogami – oznajmił czysty, najwyraźniej nie zauważając ukrytej w tym stwierdzeniu ironii.

Mocny dźwięk gongu znowu wypełnił przesycone smrodem papierosów, zadymione powietrze. Ludzie zaczęli chwycić dłońmi kraty, niektórzy nawet przytykali do prętów wykrzywione w euforii twarze.

Na środek wyszli deformanci. Jeden wysoki i chudy jak tyczka, drugi bardzo niski, ale zdecydowanie lepiej zbudowany. Jego rogi znajdowały się niemal idealnie na wysokości krocza przeciwnika. Tu nie były potrzebne żadne obliczenia.

– Który to Achilles? – rzucił Capri.

– Ten wyższy!

– To właśnie przegrałeś tysiąc kredytów, Logan.

Czysty w odpowiedzi musiał przekrzykiwać podniecone wiwaty tłumu.

– Co mówiłeś?!

Chłopak zrobił palcami odwieczny gest pieniądza, a potem pokazał kciuk do dołu. To sprawiło, że Logan momentalnie poczerwieniał na twarzy.

– Kurwa! Nie mogłeś mnie uprzedzić?!

Capricorn pokręcił głową, ale nie próbował wytłumaczyć czystemu, że jego zdolności nie działają w ten sposób. Przecież wcześniej, bez potrzebnych danych, nie mógł przeprowadzić obliczeń.

Walka była szybka i niemal bolesna do oglądania. Karłowaty mutant użył swoich rogów dokładnie tak, jak przewidział to Capri, a słabym punktem Achillesa okazała się nie stopa, tylko genitalia. Biedne, biedne genitalia. Po finalnym ciosie większość męskiej widowni syknęła współczująco, łapiąc się za to i owo, a przegranego szybko ściągnięto ze sceny. Wygrany natomiast warczał, bił się w pierś i szarpał kratami. Małpi taniec trwał parę dobrych minut, potem na arenę wróciła sprzątaczką. Omiotła wzrokiem okrągły plac i osądziła, że krwi poleciało zdecydowanie za mało, by się wysilać. Machnęła mopem dwa razy, nawet nie patrząc na efekt, i zniknęła.

– To było żałośnie krótkie – fuknął rozeźlony Logan.

Capri tylko wzruszył ramionami.

– Dobra, gadaj – rozkazał tamten. – Kto wygra następny?

– Nie wiem – odparł z irytacją chłopak.

– Jak to nie wiesz, młody? – Logan najwyraźniej całkiem serio podchodził do teorii z wróżeniem. – Gadaj!

– Ech, daj mi najpierw podpytać ludzi...

Capri zagadywał kolejne osoby, starając się wybierać z tłumu te, które nie zbedą go byle wymówką albo wręcz przegonią. Dowiedział się, ile mógł, zanim zakłady dobiegły końca.

– Stawiaj na Mako.

– Tego od krachaga?

– Krav... – zaczął poprawiać Logana, ale ugryził się w język. – Tak, tego.

Tym razem czysty obstawiał ostrożnie, na początek dorzucając do puli tylko dwieście kredytów.

Gong rozbrzmiał ponownie. Na środek areny wskoczył szczupły mężczyzna w czarnej masce, z włosami splecionymi w warkocz – Mako właśnie – oraz zwałisty olbrzym od góry do dołu pokryty obscenicznymi tatuażami. Na ten widok Logan siarczyście zaklął i zarzucił Capriemu umyślne wprowadzenie go w błąd, jednak chłopak nie zareagował. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na Mako, by wiedzieć, że nie ma mowy o pomyłce.

Wojownik rozpoczął swój taniec, podskakując na palcach, okrążył mięśniaka wyprowadzającego silne, jednak nieco chaotyczne ciosy. Bawił się z olbrzymem, aż wreszcie ten nie wytrzymał i zaszarżował do przodu, rycząc wściekle.

Mako złapał wyciągnięte ku sobie łapsko i wykorzystał udo przeciwnika jak nie przymierzając szczebel w drabinie, by wspiąć się mu na kark. Potem oplótł go nogami i nagle kula zbitych mięśni obróciła się w powietrzu, a gdy wylądowała na podłodze, przekształciła się w powalonego mężczyznę z boleśnie wykręconą za plecami ręką.

Oko nie było w stanie uchwycić, kiedy i jak Mako założył olbrzymowi dźwignię, jednak ślepiec potrafiłby powiedzieć, kto wygrał walkę, ponieważ osiłek uderzał pięścią o ziemię, dając głośno znać, że się poddaje.

Tłum skandował entuzjastycznie:

– Mako! Mako! Mako!

Logan uśmiechał się z triumfem, jakby sam doszedł do tego, na kogo warto było postawić pieniądze. Zaczął nawet podrywać jedną ze skąpo odzianych panienek, głośno chwając się znajomością „krachaga”.

Co za idiota, westchnął w duchu Capri. Potem zastanowił się, ile jeszcze czasu przyjdzie mu z nim spędzić. Wynik – zdecydowanie za dużo.

*

Zdążył nawiązać wiele ciekawych znajomości, a zważywszy na to, że był dosyć małomówny i uprzejmie dziękował za wszelki alkohol, tym bardziej za trip, stanowiło to nie lada osiągnięcie. Powoli zaczynał też rozumieć, po co Logan przyszedł na podziemne walki. Główną atrakcją wieczoru miało być starcie zwycięzców, którzy zgłoszą ku temu chęć, i niejakiego Draaka. Ludzie nazywali go Smokiem i wielu dodawało żartem, że lokal jest właśnie jego jamą.

To tłumaczyło imponującą wielkość areny, musiała się tam zmieścić pokaźna gromada zawodników. Ale przed chłopakiem objawiało się zgoła ciekawsze zagadnienie – między ludźmi krążyła plotka, jakoby Draak był nieśmiertelny. Ponoć przeżył już czterysta lat i każda rana goiła się na nim błyskawicznie. A Capri znał kogoś, kto miał bzika na punkcie osiągnięcia nieśmiertelności. Znał wielu takich ktosiów.

Praktycznie każdy czysty uważał się przynajmniej za półboga i żaden nie mógł przejść do porządku dziennego nad faktem, że kiedyś umrze, podczas gdy mutanci nieraz zastanawiali się, czy w ogóle dotrwią jutra. Z kolei normalami nikt się nie przejmował, nawet oni sami. Ich los był po prostu zbyt przeciętny, by wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie. Zostawali jeszcze mechaniczni, ale to zupełnie inna bajka.

Capri swoimi przemyśleniami najwyraźniej wywołał wilka z lasu. W następnej walce miał wziąć udział rudowłosy deformanta z abiotycznym ramieniem. Nie dosyć, że mutant, to jeszcze rudy i zrobotyzowany. Niewyobrażalny pech, ale też ogromny fart – zależy, jak na to spojrzeć, bo z jednej strony tamten urodził się w najniższej warstwie społecznej i na dokładkę trafił do najrzadszej, w niektórych kręgach wysoce pomiatanej grupy. Z drugiej jednak jakimś cudem było go stać na zastąpienie utraconej kończyny zmechanizowaną repliką, mimo nieciekawej sytuacji życiowej.

Capri bez zastanowienia kazał Loganowi postawić na niego wyższą kwotę. Takiego człowieka musiała cechować niesamowita wola przetrwania.

To był ostatni pojedynek przed wielkim finałem. Przeciwnikiem mechanicznego okazał się szczerowato wyglądający wymoczek z mocno podkrążonymi oczami. Nazywał się Skirt.

Szybko wyszło na jaw, że główną bronią Skirta jest żrąca plwocina, ściekająca mu z groteskowo długich kłów, i niekończące się przytyki. Chuderlak dosłownie i w przenośni pluł jadem w przeciwnika, za wszelką cenę unikając bliskiego starcia. Po ciągnącej, wydawałoby się, w nieskończoność zabawie w kotka i myszkę, szyja gryzonia wylądowała wreszcie w objęciach stalowej pułapki. Abiotyczne ramię chrobotало metalicznie, gdy uśmiechnięty szelmowski rudzielec zastanawiał się głośno, czy nie zacisnąć mocniej palców. Od razu uznano jego wygraną. Inaczej istniało zagrożenie, że Skirt pobrudzi arenę ze strachu. Natomiast wątpliwe było, że sprzątaczką wyczyści to dokładnie.

Wreszcie przyszedł czas na *grand finale*. Głosy na widowni zawyły potępieńczo,

przekrzykując się w rokowaniach i stawianych kwotach. Najwyraźniej w przypadku Smoka zakłady wyglądały inaczej – zgadywano, kto ile wytrzyma. Bo kto wygra, było oczywiste.

2. WEJŚCIE SMOKA

Draak czekał, aż cielaki zostaną wprowadzone do zagrody, a potem wyszedł do nich, szczerząc radośnie kły. Potężne, pokryte łuską ramiona rozłożył szeroko i zaryczał razem z tłumem. To była jego widownia: trzy piętra żądnych jatki ślepi, trzy kręgi wykrzywionych dziko gęb. A cielaki? Stały i czekały grzecznie na jego pierwszy ruch, wszak tutaj liczył się czas.

Dzisiaj obsada była niewielka: jakiś typowy osilek, rogaty karzeł, nindza z warkoczem, kobieta o kocich rysach, wyginające się dziwnie nie-wiadomo-co i ryży półrobot z bliznami na piersi. Trupa cyrkowa jak się patrzy.

Draak wykręcił złożone razem łapy, aż kosteczki chrupnęły, potem podobnie postąpił z karkiem. Jak już skończył to ostentacyjne rozciąganie się, utkwił spojrzenie w mechanicznym i ruszył powoli w jego stronę, ale cyborg nie uciekał. Za to reszta trzęsidup umknęła ostrożnie, zostawiając pierwszą ofiarę na pożarcie bestii.

Zawsze to samo. Gdyby zajął się rudzielcem, reszta rzuciłaby mu się na plecy, a przecież facet wykazał się nie lada jajami. Nie. Jego zostawi sobie na deser.

Błyskawicznie dopadł do człowieka-gumy o nieokreślonej płci i walnął na odlew. Okazało się, że mimo ogromnej giętkości nie-wiadomo-co zamiast odbić się od krat niby kauczukowa piłeczka, tylko padło na ziemię zemdlone. To było rozczarowujące.

W tym czasie ktoś wspiął mu się na plecy i otoczył szyję nogami. Draak rechotał w najlepsze, gdy ninja próbował skrócić mu kark.

– To łaskocze!

Sięgnął do góry i wbił pazury w łydkę przeciwnika, a tamten jęknął z bólu, szarpiąc się nerwowo. Ucieczkę okupił ciężką raną. Krwawiąc obficie i dysząc ciężko, przeturlał się po ziemi. Później chwycił się za rozoraną nogę i zastygł w takiej pozycji.

Draak nie zdążył wykończyć Warkoczyka, ponieważ kocica próbowała wydrapać olbryzmowi oczy. Złapał ją więc za luźną skórę na karku i potrząsnął energicznie.

– Miau czy ni e miau, oto jest pytanie! – wrzasnął, ciskając kobietę w kąt, jakby nic nie ważyła.

Tymczasem rogaty karzeł z osiłkiem stworzyli lichy sojusz. Jeden zachodził Draaka z lewej, drugi z prawej strony. Kurdupel z zapałem przyglądał się jego kroczu, co niekoniecznie przypadło do gustu Smokowi. Ba, można by powiedzieć, że poczuł się niezręcznie, wręcz wstydliwie, niczym panna na wydaniu, której potencjalny małżonek bezczelnie waży cycki! Oho, tak nie będzie.

Chwycił jeden z tych rogów i zaczął kręcić karłem przed sobą. Kręcił i kręcił aż malec obrzygał mu przedramię. Rozeźlony Draak odrzucił kurdupła na bok i złapał ogłupiałego mięśniaka za gębę, by wytrzeć nią wymiociny. Tamten miał brodę, która nadawała się do zadania idealnie, ściągając brud jak druciana gąbka.

O dziwo mechaniczny, zamiast szykować się do ataku, pomagał temu z warkoczem. Z urwanej nogawki od spodni zrobił prowizoryczny opatrunek i właśnie wiązał go na łydce rannego. Smoka tak to zaszokowało, że aż przystanął, gapiąc się na obu jak skończony dureń.

– Przyszedłeś tu, żeby walczyć czy żeby niańczyć innych?

– Spokojnie, mam wytrzymać aż osiem minut. – Półrobot zerknął na wymaginowany zegarek

i stwierdził: – Zmitrężyłeś przynajmniej pięć, ale cóż... jeszcze trochę czasu mi zostało. Cierpliwości.

Draak roześmiał się, prezentując imponujący garnitur uzębienia.

– Lubię cię. – Nachylił się, spinając potężne uda do skoku. – Ale nie dam ci tych ośmiu minut.

Wystrzelił w powietrze i wzbudzając tumany kurzu, wylądował w miejscu, w którym chwilę wcześniej znajdowali się Warkoczyk oraz mechaniczny. Ten pierwszy ledwie zdołał się odczołgać w bezpieczne ukrycie, a sądząc po bladej skórze i niepewnej minie, niebawem miał zemdleć. Cyborg z kolei wciąż grał na zwłokę. Okrążał Draaka, tak by zawsze pozostawać za jego plecami, zapomniał jednak o ogonie, który raptem podciął mu nogi.

Smok dał upust skrywanej głęboko litości i zamiast bezpardonowo rozsiąść się na leżącym mężczyźnie, wcisnął go sobie pod pachę. Abiotyczne ramię stawiało zaciekły opór, ale coś w środku jęczało i chrobotało żałośnie, wróżąc rychłą śmierć przeciążonym mechanizmom.

– Mam propozycję – wymruczał ryżemu do ucha Draak. – Bo widzisz, ludzie lubią, jak się rzeczy rozpadają. Urwę ci twoją zabawkę, ale w zamian zafunduję nową. A z tą będę igrał tak długo, że przegapię, kiedy minie magiczne osiem minut, he?

Rudzielec wydał z siebie zduszone: „Chyba nie mam wyboru”. Najwyraźniej zrozumiał, jak szczerą ofertę właśnie mu złożono, po minie jednak trudno było ocenić. Mężczyzna zrobił się strasznie czerwony na twarzy i zaciskał powieki z wysiłku.

– No, to mamy umowę – potwierdził Draak.

Potem złapał jednocześnie za stalowy łokieć oraz przeciwległe ramię rudzielca, raptem przytulił go do siebie jak ukochane dziecko i zaczął ciągnąć. Tłum natychmiast zawył z uciechy, z kolei mechaniczny szarpnął się panicznie.

– Zdrowej ręki mi nie urwij!

– Masz słowo Smoka!

Sploty syntetycznych mięśni rwały się niczym jedwab, włókno po włóknie, żyła za żyłą, a metalowe łączenia pękały jak zapałki. Nagle zapiszczał przeciągły alarm, ale równie szybko zdechł, gdy abiotyczna kończyna zawisła w pazurach Draaka. Smok ziewnięciem dał do zrozumienia, że jest już znudzony cyborgiem i specjalnie nie zauważył, że kończący cios był za słaby, by ogłuszyć tamtego.

W radosnym ferworze zaczął przechadzać się po arenie, machając w górze urwaną ręką. To było trofeum z dzisiejszej walki, nagroda dla spragnionej krwi hordy. A jak już uznał, że osiem minut na pewno minęło, odwrócił się i z zaskoczeniem wykrzywającym mu wargi spojrzał na wciąż stojącego na nogach rudzielca. Tamtemu oczy rozszerzyły się w całkiem prawdziwej trwodze, gdy Smok ruszył do szarży. Mężczyzna machał pozostałą mu ręką i próbował przekrzyczeć wszechobecny jazgot, ale Draak udawał, że nie rozumie, o co chodzi tamtemu. Przedstawienie musiało trwać, a kapitulacja którejś ze stron stanowiła marny finał.

Kiedy wreszcie ostatni ze śmiałków padł na ziemię, wiwaty osiągnęły punkt kulminacyjny. Draak żył dla takich chwil. Unosząc wysoko zaciśnięte pięści, skandował razem z tłumem własne imię. Może to dosyć pompatyczne, ale do diaska, był Smokiem! Należało mu się nieco podziwu.

Forum grało dla niego muzykę uwielbienia, a on chłonał każdą nutę z ukontentowaniem. I nagle tę piękną melodię zakłóciło natrętne buczenie komara. Smok odszukał wzrokiem owada i warknął:

– Cisza! Cisza, mówię!

Część osób posłusznie umilkła, reszta pod wpływem kuksańców i pięści sugestywnie wciśniętych między zębra po chwili również zamknęła gęby.

– Ty! – huknął Draak, zakrzywionym paluchem wskazując szpakowatego mężczyznę na środkowym piętrze widowni. – Powtórz to.

Nieznajomy wyprężył się chełpliwie.

– Powiedziałem, że jeśli staniesz do walki z moim podopiecznym – otoczył ramieniem stojącego obok chłopaka, a ten zrobił minę, jakby zebrało mu się na wymioty – będziesz miał szansę wzbogacić się o okrągłe pół miliona.

Draak wydał z siebie gardłowy pomruk.

– A ile ten twój młody czempion ma niby ze mną wytrzymać?

Szpakowat y oburzył się demonstracyjnie.

– Wytrzymać? – Pokręcił głową, niczym nauczyciel karcący tępawego ucznia za złą odpowiedź, i cmoknął głośno. – On ma z tobą wygrać!

3. SERCE KOZIOROŻCA

– Nie zrobię tego, Logan.

Czysty wygłosił już swoją nedorzeczną propozycję i ustalił ze Smokiem termin walki. Capri dotąd milczał, jednak gdy tylko nadarzyła się okazja, wyciągnął Logana na zewnątrz i rzucił nim o ścianę Jamy. Kolorowy neon mrugał złowroźnie nad ich głowami, kiedy chłopak spokojnie powtórzył:

– Nie zrobię tego.

Przez moment ciężkiej ciszy mierzyli się spojrzeniami, a potem czysty wybuchnął drwiącym śmiechem.

– Potrząśnij jeszcze raz tą magiczną bilą, którą chowasz pod czaszką, młody. – Pozorna wesołość, jak zawsze, nie obejmowała błękitnych oczu. – Nikt nie zdołał przelać krwi Smoka, a ktoś musi, więc zrobisz dokładnie to, co ci każę. Inaczej powiem twojemu ojczulkowi, że wzięła mnie ochota na takich zadziornych chłopców, jak ty. – Logan wyciągnął dłoń, jakby chciał musnąć policzek Capriego, ale ten nawet nie drgnął, więc mężczyzna cofnął palce. – Wystarczy przeznaczyć odpowiednią kwotę na te jego badania, a odda mi każde ze swoich dzieci. I ty dobrze o tym wiesz.

– Nie w moim przypadku. – Poczul wyrzuty sumienia względem rodzeństwa, w końcu miał z nich najłatwiej. – Ojciec nie pozwolił mi skrzywdzić. Nie ryzykowałby, że tym sposobem popsuje mój umysł... i wypaczy zdolności.

Czysty zmarszczył brwi. Chyba do niego dotarło, że chłopak nie blefuje, zaraz jednak rozpozgodził się i wruszając ramionami, odparł:

– W takim razie zażądam twojej siostrzyczki. Tej, która zawsze za tobą łązi. P isces, tak?

Dostrzegając niepokój blondyna, wyszczerzył się triumfalnie.

– Tak, dokładnie – ciągnął. – Brałem ją już raz, czemu nie wziąć znowu? Dziewczyna jest nieudanym eksperymentem, twój ojczulek nie okaże litości. – Czysty przysunął się do Capriego na tyle blisko, by chłopak poczuł ciepło jego oddechu na twarzy, i wyszeptał: – Zerznę ją, a potem oddam... nie wiem, ochroniarzowi? Albo lepiej – sprowadzę mutola z największym kutasem, jakiego ten świat widział. Twoją malutką Pisces rozerwie na strzępy. Pamiętaj... – rzekł głośniej, z powrotem opierając się o ścianę – wystarczy tylko odpowiednia kwota.

Capricorn wbił wzrok w ziemię. Nie sprawdził, czy słowa Logana by się ziściły. Nie miał

serca do przeprowadzenia symulacji.

*

Smok zaciągnął się cygarem i położył nogi na biurko, prezentując gościom skórzane buty ze specjalnymi otworami na pazury. W tle leciała muzyka, stary rock. Na ile Capri był w stanie stwierdzić, nawet bardzo stary.

– Będę używał noża – oznajmił blondyn.

Siedział naprzeciw Draaka, za plecami czując obecność wielce zadowolonego z siebie Logana.

– Normalnie nie pozwalamy wnosić broni na arenę – odparł tubalnym głosem Smok. – Ale jak tak na ciebie patrzę, chłopcze, to współczucie wywraca mi wszystkie żołądki. Dostaniesz nóż, ale swojego nie próbuj przesmuglować. – Zakręcił ostrzegawczo dymiącym się cygarem. – Nie chcę żadnych sztuczek z maczaniem ostrza w truciźnie czy innych tego typu bredni.

Capri przyjął warunek.

– Jeszcze jedno – dodał. – Przed walką, ale już po wejściu na arenę, będę potrzebował trochę czasu.

– Po co? – spytał Draak, nie kryjąc zaskoczenia.

– Żeby przyjrzeć się zarówno tobie, jak i otoczeniu – odparł szczerze chłopak.

Miał zamiar jeszcze dziś zacząć zbierać dane o wielkim mutancie. Ba, przeczyta wszystkie legendy o smokach, które zdoła znaleźć, ale chwila wytchnienia zaraz przed starciem powinna zapewnić mu dodatkową przewagę.

Draak wyglądał na pewnego siebie. Nie, nie tylko to. On naprawdę mu współczuł. Cóż, bazując wyłącznie na powierzchownej ocenie, Capri również nie dawałby sobie wygórowanych szans na wygraną.

– Dobrze, chłopcze – mruknął gardłowo Draak. – Dostaniesz dwie minuty. Będziesz mógł się napatrzyć do woli.

Capricorn skinął w podziękowaniu, ale zachował milczenie, już teraz dając sobie czas na obserwację.

Ogromne cielsko Smoka pozornie wyglądało na całkiem dobrze osłonięte. Łuski wyrastały mu z ramion, ciągnęły się po grzbiecie i pokrywały wszystkie kończyny, ale goła klatka piersiowa deformanty była pozbawiona naturalnego pancerza. Szyja również. Z kolei zgrubienia na nieco gadziej, choć wciąż bardzo ludzkiej fizys oraz łysej czaszce tak naprawdę nie mogły dawać znaczącej ochrony.

Capri już wcześniej zauważył, że łopatki giganta są dziwnie przerośnięte i wykrzywione. Trochę naiwnie pomyślał, iż przypominają kikuty po utraconych skrzydłach. Nie widział w nich żadnego zagrożenia, a wręcz potencjalną ułomność. Poza tym był jeszcze ogon, ale tego wystarczyło zgrabnie unikać, nie zapominając, że za plecami Draaka też nie jest bezpiecznie.

Po podsumowaniu wszystkiego niezaprzeczalnie najgorsze pozostawały kły oraz pazury. Powinni zakazać używania ich podczas walk, skoro tak restrykcyjnie traktowali tutaj broń.

– Coś jeszcze, chłopcze? – odezwał się Draak.

Dlaczego ludzie nie potrafili wytrzymać choćby pięciu minut w ciszy? Co takiego kryło się w atmosferze spokoju i kontemplacji, że wszyscy po chwili szaleli?

– Nie. To...

– To ma być walka do krwi – wtrącił obcesowo Logan. – Nie jakieś durne przedstawienie, jak

to, które odstawiłeś z mechanicznym.

Smok zmarszczył czoło.

– Twój trener jest bardzo spostrzegawczy, co, chłopcze?

Podczas sarkastycznej wypowiedzi mutant nawet nie zerknął na czystego. Z pionowych źrenic nietrudno było wyczytać, kogo tak naprawdę miał na myśli.

– I silny – odparł Capri, a żeby rozwiać ewentualne wątpliwości, dodał: – Zna się na krachaga.

„Trener” oczywiście żywo potwierdził.

*

Jak mógł nie przewidzieć zamiarów Logana? Tłumaczył sobie, że mężczyzna wcale nie planował zmusić go do walki z Draakiem. Że w ostatniej chwili wpadł na ten – zapewne w swoim mniemaniu genialny – pomysł. Teraz Capri miał dwa tygodnie, żeby wymyślić, w jaki sposób pokonać Smoka.

Nie powinien marnować czasu, nie powinien być tu w ogóle przychodzić.

– Nie śpisz, prawda? – Usłyszał w ciemności szept Pisces i poczuł, jak dziewczyna wierci mu się pod ramieniem. – Nie udawaj. Poznają po oddechu, że nie śpisz.

Bez słowa pocałował ją w czoło.

– Zastanawiałam się – podjęła – czemu nagle zmieniłeś zdanie. Wiem, że mam idealne pośladki, a cycki też niczego sobie, ale wcześniej zawsze odrzucałeś moje zaloty. Co się stało, braciszku? Wyliczyłeś, że ulegniesz mi prędzej czy później?

– Tak – skłamał. Wolał nie mówić, że już od dawna pragnął jej równie mocno, co ona jego, i dotąd się powstrzymywał. Wypominałaby mu to do końca życia.

– I co? Kazirodztwo już cię nie brzydzi? – drażyła dalej.

To nigdy nie było problemem. Pisces nie rozumiała, że rzucając kamieniem w tłum, mogłaby trafić kogoś bliżej ze sobą spokrewnionego. Nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości, że są rodzeństwem tylko z nazwy.

Nie. Problemem był maltretowany umysł dziewczyny. Ojciec testował na niej swoją teorię dualizmu osobowościowego, ale dopiero Gemini w tej materii okazały się sukcesem. Najwyraźniej dwiema osobami dzielącymi wspólne ciało trzeba się urodzić, inaczej w grę wchodziła jedynie choroba psychiczna, a Pisces była niezaprzeczalnie chora. Co, razem z talentem, którym obdarował ją papa, stanowiło dosyć niepokojące połączenie.

Capri nie chciał zranić siostry. Bał się naruszyć delikatną barierę separującą ją od szaleństwa, a już nieraz widział, co się dzieje po jej zerwaniu, i nie miał najmniejszej ochoty oglądać tego znowu. Do dziś po nocach śnił mu się czarny kociak, którego nie zdołał odratować, po tym jak Pisces żywcem obdarła go ze skóry.

– Czemu mi nie odpowiadasz? – burknęła z wyrzutem i obróciła się do chłopaka plecami. – Już mnie nie kochasz, tak?

Objął ją pod piersiami i złożył delikatny pocałunek na karku.

– Kocham – powiedział cicho.

Jego ręka poruszyła się sama, szorstkie palce przejechały po gładkim brzuchu. Pisces westchnęła, Capri poruszył dłonią. Podniecenie gwałtowną falą przetoczyło mu się wzdłuż kręgosłupa, by po dotarciu do mózgu niczym tsunami zmyć wszelkie zmartwienia. Chłopak coraz śmieiej pieścił drobne ciało Pisces, aż wreszcie schwycił ją za biodra i wziął od tyłu.

Jednak później, kiedy zaspokojona usnęła mu w ramionach, natrętne myśli bez problemu odnalazły drogę powrotną do jego głowy.

4. SMOCZA DUMA

Jama nigdy nie była tak pełna. Zwyklaki, mutanci, nawet jacyś zakamuflowani czyści; wszyscy tłoczyli się jak sardynki w puszcze. Było parno od oddechów, dosłownie brakowało tlenu.

Całe dwa tygodnie zbierano zakłady – teraz ludzie w napięciu czekali na wynik. Co bardziej optymistyczni postawili, że chłopak wytrzyma trzy minuty. Rzecz jasna, czasu na „przyglądanie się”, o który poprosił, nie wliczano.

Takesz, odgrywający jednocześnie role prowadzącego i sędziego na arenie, nawet z mikrofonem nie był w stanie przebić się przez ścianę wrzaskliwych żądań. Tłum chciał, by zapowiedź jak najszybciej dobiegła końca, i okazywał to w zniecierpliwionych, pełnych przekleństw okrzykach. Aż wreszcie zawyli, niczym sfora dzikich psów, gdy niski dźwięk gongu przetoczył się nad ogólnym harmidrem.

Smok wkroczył na pole walki jako pierwszy; uniósł głowę, rozłożył ramiona i zaryczał grzmiąco. Kochali go, on kochał ich. Nie istniała silniejsza miłość niż ta opłacona krwią i bólem, a jeśli to były cudza krew i cudzy ból – tym lepiej.

W uniesieniu Draak nawet nie zauważył, kiedy chłopak wszedł na arenę. Blondyn spokojnie okrążył plac, usiadł na ziemi przed przeciwnikiem i przymykając powieki, zaczął bezgłośnie mamrotać pod nosem.

Smok nie słyszał niczego poza wrzaskami tłumu i własnym rykiem, ale dawno już nauczył się odczytywać słowa z ludzkich warg.

„Cofnij, cofnij, cofnij”.

Co to miało znaczyć? Czyżby chłopaka ogarnęła panika i chciał zrezygnować? Cofnąć czas i sprawić, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło?

Smokowi jeszcze bardziej zrobiło się żal młodzieńca.

– Nie cofniesz czasu, chłopcze – wyszeptał, nagle ignorując ukochaną widownię. – Nawet ja tego nie potrafię zrobić.

Blondyn wstał, zanim minęły obiecane dwie minuty. Zmierzył przeciwnika długim spojrzeniem, jednak w szarych oczach próżno było szukać strachu. Wypełniało je tylko skupienie.

Takesz uderzył w gong, który tym razem rozbrzmiał nadzwyczaj ponuro. Poza tym nic nie uległo zmianie. Smok nie ruszył się z miejsca. Chłopak również. Tylko widownia nagle ucichła, oczekując w napięciu, kto wykona pierwszy ruch.

Draak otworzył usta, ale nie zdążył powiedzieć głośno tego, co miał na końcu rozdwojonego języka. Przeciwnik zrobił to za niego.

– Przykro mi, chłopcze, ale musimy zaczynać – powiedział tym swoim łagodnym głosem, a Smok, nie wierząc własnym uszom, zastygł nieruchomo ze szczękami rozwartymi szeroko. Sparaliżowało go pierwszy raz od ponad stu lat. Jeśli blondyn potrafił czytać w myślach, walka nabrała nowego wymiaru, ale prawdopodobnie to był przypadek. Zwykły fart.

Draak szczęknął zębami i ruszył na przeciwnika, jednak chłopak ani drgnął. A kiedy ogromna, łuskowata pięść poszybowała w jego stronę, zrobił krok do tyłu i uniknął ciosu. Tak po prostu. Nawet nie mrugnął, gdy podmuch powietrza zmierzwił mu włosy.

Podniecone głosy widowni urywały się po kolei. Zamiast krzyżeć, wszyscy zaczęli przecierać oczy ze zdumienia.

Blondyn stał niewzruszenie, tuż pod nosem Smoka.

Rozsierdzony olbrzym zamachnął się jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze! Ale efekt był zawsze taki sam. Krótki, wydawałoby się zrobiony od niechcienia manewr sprawiał, że Smok kończył z pustymi szponami. Jakby chłopak z wyprzedzeniem przewidywał każdy jego ruch.

Więc wtedy to nie był fart.

Draak dyszał ciężko, bardziej ze złości niż zmęczenia. Na dobrą sprawę dopiero się rozgrzewał. Bez ustanku zasypywał przeciwnika lawiną ciosów, mając nadzieję, że tamten potknie się wreszcie w swoim irytującym tańcu uników.

Nie zorientował się, że zdążył dotrzeć na brzeg areny. Bolesny ucisk prętów, między które wepchnął łapę, uświadomił mu to aż za dobrze. Rozzłoszczony, ryknął, strasząc kilka osób na parterze widowni, i zaparł się nogami, próbując wyciągnąć zakleszczoną kończynę. Jednocześnie był gotowy do obrony. Oczekiwał, że chłopak właśnie teraz zaatakuje, nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Rzuciło nim do tyłu, gdy kraty w końcu puściły. Ogonem pomógł sobie zachować równowagę, wzrokiem wciąż szukając przeciwnika, ale chłopak zniknął. Rozpląnął się w powietrzu.

Głośnie buczenie widowni podpowiedziało Smokowi, gdzie patrzeć. Zadarł głowę i zobaczył blondyna, który zwinnie wspinał się po metalowym ogrodzeniu.

Syknął z irytacją. Zerowy poziom areny otaczały mocne, stalowe pręty, ale wyżej była zwykła siatka. Draak wątpił, by mogła wytrzymać jego ciężar.

Co miał robić? Rzucić w chłopaka śmieciami ciskanymi na pole walki przez tłum? Tylko by się zbłaźnił! Czyżby o to chodziło tamtemu? Chciał pozbawić Smoka dumy? Zhańbić?! Niedoczekanie!

Draak napiął potężne barki i zamruczał przeciągle. Łuski gęsto spadały na ziemię, kości trzaskały, przebijając skórę, a ta rozciągała się w mękach. Przemiany nigdy nie należały do najprzyjemniejszych. Poczul zapach ściekającej mu po grzbiecie krwi i wykrzywił wargi w chytrym grymasie.

Gdy wielkie, błoniaste skrzydła ukształtowały się za jego plecami, dwoma potężnymi machnięciami wzbił się w powietrze.

– I gdzie...?

Nie dokończył pytania, tylko warknął wściekle, widząc, jak usta blondyna układają się w zdanie: „I gdzie teraz chcesz uciec?”.

Leciał do góry, kierując się w stronę zwisającego na ostatnim piętrze widowni młodzieńca, a ludzie – przewidując, co zaraz nastąpi – uciekali stamtąd w popłochu. Był pewien, że teraz go dopadnie. Wyszczierzony od ucha do ucha, gruchnął potężnym ramieniem w przeciwnika, rozrywając metalową siatkę jak papier. Potem poruszył skrzydłami, by odfrunąć nieco do tyłu i ocenić poczynione szkody. Zobaczyć, w jakim stanie jest chłopak.

Po chwili zaryczał w niedowierzeniu. Młodego nie było, znowu gdzieś zniknął.

– Na górze! – krzyknął ktoś z widowni.

Ale było już za późno. Draak poczul ciężar obcego ciała na plecach i zimne muśnięcie stali na szyi. Przeklęty nóż, zapomniał już o nim. Blondyn od początku walki nawet go nie wyciągnął.

Jucha popłynęła wartkim strumieniem i zalała nagą pierś, pod czaszką Smoka zaszumiało. Na swojej ukochanej arenie był niczym w klatce, miał za mało miejsca na powietrzne manewry. Nie

mógł nawet zrzucić przeciwnika.

Zaczął spadać. Z hukiem uderzył o ziemię, a miotając się, spróbował chwycić chłopaka za nogi. Ale młody już wcześniej z niego zeskoczył i teraz zaatakował.

Ostatnim, co zobaczył Draak, był błysk srebrnego ostrza .

5. KIEDY PATRZYSZ NA RYBY, KRÓLIK PODRZYNA CI GARDŁO

Braciszek myślał, że może ukryć przed nią wszystko. Że milczeniem przesłoni całą prawdę. Ale Pisces nie była taka głupia. Wiedziała, że szykuje się coś niedobrego już wtedy, gdy Capri wrócił ze spotkania z Loganem. Wyglądał na bardzo strapionego i pocałował ją! Jakby tego nie pragnęła, zrozumiała, że coś było nie tak.

Zacząła śledzić go wieczorami, a on zawsze szedł w to samo miejsce. Smocza Jama nie podobała się dziewczynie, siedziało tam mnóstwo śmierzących alkoholem facetów, spoglądających na nią z tym ohydny błyskiem w oku, który tak dobrze знаła. Sądzili, że stanowiłaby łatwą ofiarę. Na samą myśl odzywała się w niej Hare. Siostra całym sercem pragnęła pokazać zbokom, jak bardzo się mylą.

Tego dnia Capri nie wypowiedział nawet jednego słowa i Pisces pojęła, że cokolwiek złego ma się stać, nastąpi to właśnie dziś. Dlatego zanim ruszyła do Jamy, zabrała ze sobą ulubioną zabawkę.

Nie miała problemu, by przecisnąć się na przód tłumu, za to męczyło ją złe przecucie. Widziała już kilka pojedynków, odbywających się w lokalu, tym razem jednak podniecenie widowni było wyraźnie wzmożone. Ludzie ciągle rozmawiali o jakimś „blondasku”, który ma dzisiaj walczyć i nie wróżyli mu dobrze.

Pisces zagryzła wargi, dostrzegając wkraczającego na arenę Smoka. Widziała go już podczas poprzednich wizyt. Mutant był wielki! Aparycją przypominał przerośniętą jaszczurkę, do tego darł się jak oszalały, jednak coś w tych złotych oczach mówiło dziewczynie, że nie jest aż taki zły, jak sam siebie maluje.

Serce jej zamarło, gdy tylko ujrzała Capriego. Podejrzewała, że to on jest dzisiejszym przeciwnikiem Draaka, ale tak naprawdę dopiero teraz to do niej dotarło. Podskoczyła na dźwięk gongu, a potem wstrzymywała oddech za każdym razem, kiedy brat unikał ciosu Smoka. Pisces znała jego możliwości, a jednak czuła strach. Capri wyglądał tak krucho w porównaniu z niemal trzymetrowym deformantą.

– Tak! – pisnęła, po tym jak wielka pięść Draaka utknęła między prętami.

Jednak chwilę później zaczęła przeklinać los. To było nieuczciwe! Podczas kiedy Smok szarpał się z kratami, ludzie próbowali strącić Capriego z ogrodzenia. Pisces widziała krew na podrapanych palcach chłopaka i ze złości uderzyła niemającego z tym nic wspólnego mężczyznę, który akurat stał obok niej. Mutant zaczął coś wrzeszczeć, ale wystarczyło jedno zimne spojrzenie Hare, by się zamknął.

Olbrzym uwolnił rękę, a Capri możliwie wysoko zawisł na siatce. I wtedy stało się coś potwornego. Smok zaczął rozwijać skrzydła.

– Uciekaj, Capri! – krzyknęła Pisces panicznie.

Ale on nie słyszał, w skupieniu obserwując przekształcającego się olbrzyma. To uspokoiło dziewczynę. Trochę.

Zasłoniła usta i przestała oddychać, z trwogą patrząc, jak bestia szarżuje na brata. I prawie oszalała ze szczęścia, kiedy w ostatniej chwili Capri skoczył do góry i uchwyciwszy się

metalowego zaczepu, zawisł pod sufitem.

Obiecała sobie, że zabije tego, który wykrzykiwał podpowiedzi dla Smoka, choć te przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego. Draak spojrział do góry, w idealnym momencie odsłaniając gardło. Capri opadł mu na plecy, przytrzymał brodę i gładkim ruchem przeciął tętnicę szyjną. Krew chlusnęła z rany, a tłum zaskowytał, jakby doświadczał bólu razem ze swym czempionem. Tylko Pisces nie mogła powstrzymać radości.

– Dobij go, braciszku! Dobij!

Smok powoli leciał w dół i znajdowali się jeszcze w powietrzu, kiedy Capri zwinnie zeskoczył na ziemię. Srebrne ostrze przejechało po żółtych ślepiach, a ryk pokonanej bestii wstrząsnął areną. Draak zakrył twarz ramieniem; odczołgując się do tyłu, zostawiał za sobą ścieżkę z czerwonych smug.

Ludzie krzyczeli. Nagle Pisces zorientowała się, że powodem nie jest tylko przegrana Smoka. Normale w mundurach Straży Wewnętrznej wtargnęli do lokalu, zakuwając kolejne osoby z tłumu. Nietrudno jednak było zauważyć, że główne z sił porządkowych zacierają w stronę areny.

Goście Jamy uciekali, ile sił w nogach. Ciżba porwała dziewczynę ze sobą, głucha na jej wściekłe protesty. Pisces zdołała wydostać się ze ścisku dopiero po tym, jak strumień ludzi zaniósł ją do tylnego wyjścia. Wiedziała, że nie ma sensu wracać do budynku. Musiała go okrążyć.

Biegła, rozchlapując brudne kałuże, i wrzeszczała:

– Capri! Capri!

Nagle pomyślała, że w ten sposób może ściągnąć sobie strażników na kark. Za późno. Dwóch zastąpiło jej drogę i Hare musiała się nimi zająć.

Przez te ścierwa straciły strasznie dużo czasu.

Kiedy dotarła przed Jamę, stały tam furgonetki z symbolami białego koła wymalowanymi po bokach. Istna chmara identycznych pojazdów, oprócz jednego – opancerzonego jak na wojnę, zaparkowanego niedaleko frontowego wyjścia z lokalu.

Pisces zrozumiała, że się spóźniła. Blond czupryna tylko mignęła jej w zasięgu wzroku, gdy jeden ze strażników wciskał Capriego na tył uzbrojonej furgonetki. Część samochodów już odjeżdżała – wszystkie zmierzały w tę samą stronę. A jednak, gdy opancerzony wóz ruszył, jako jedyny skierował się zupełnie gdzie indziej.

Pisces na chwilę spanikowała. Zabić ich wszystkich, szepnęła Hare. Ale co to da? Nie. Musiały dowiedzieć się, dokąd zabrali braciszka. Musiały znaleźć kogoś, kto...

Dziewczyna nagle utkwiała spojrzenie w znajomej twarzy. Mimo opalenizny i tego głupiego przebrania, od razu rozpoznała Logana. Rozmawiał z jakimś strażnikiem; obok stała luksusowa fura ze znakiem czystych.

Pisces nie miała problemu, by przekraść się do pojazdu. Musiała tylko powstrzymać parsknięcie śmiechu, gdy odkryła, że zamki są odbezpieczone, i czym prędzej wślizgnęła się do bagażnika.

*

Zdławiła łzy, które napływały jej do oczu na samą myśl o tym miejscu. Znała je. Już kiedyś była tutaj, pewnej okropnej nocy, którą spędziła z Loganem. Dlatego bez problemu odnajdywała drogę w rozległej rezydencji.

Teraz poszła do łazienki, by zmyć krew ochroniarzy z rąk, brody i ust. Inaczej czysty mógłby zacząć uciekać na jej widok, a tego nie chciała.

Zanurzyła głowę pod zimnym strumieniem i zerknęła ukradkiem w lustro. Wyprostowana niczym struna Hare patrzyła na nią wyczekująco. Uśmiechała się. Krople spływały po czarnych jak otchłań włosach i bladym czole, wpadały do ciemnych oczu.

– Już, już – mruknęła Pisces i wytarła twarz.

Potem zaczerpnęła głębszego oddechu i ruszyła do gabinetu Logana. Czysty musiał nie wychodzić z pokoju, dzięki czemu nie zauważył trupów leżących pod drzwiami.

Gdyby to zrobił, niechybnie usłyszałyby jego krzyk.

*

Wsunęła się ostrożnie do środka. Zamek trzasnął cichutko, gdy stanęła z założonymi rękoma przed biurkiem czystego.

– Czego? – warknął mężczyzna. Siedział w fotelu obrotowym, odwrócony plecami do wejścia, z bezprzewodową słuchawką przy uchu. – Rozmawiam!

– Kopę lat, Logan.

Mężczyzna obrócił się gwałtownie i zmienionym głosem powiedział:

– Przepraszam, panie komisarzu. Oddzwonię później. – Zerwał urządzenie z głowy i rzucił na blat. Potem wyszczerzył się fałszywie i spytał: – Pisces, słodziutka, co cię tu sprowadza?

Dziewczyna zacisnęła mocniej pięści, a stalowe pazurki wbiły się boleśnie we wnętrza drobnych dłoni.

– Co zrobiłeś z Caprim?

– Mła? – Zamrugał figlarnie. – Nie rozumiem, o co ci chodzi, słodka.

Logan niby od niechcienia przejechał dłonią po brzegu biurka i nacisnął coś. Wyraz zaskoczenia na jego obliczu powiedział dziewczynie, co kryło się pod blatem.

– Jeśli sądzisz – podjęła Pisces – że twoi ludzie zaraz przybiegną ci na pomoc, to się grubo mylisz. Zabiłam ich.

Oczy Logana rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wszystkich?

Widziała, że czysty zaczyna powoli dostrzegać ślady rzezi na jej ubraniu. Czerwone krople, których nie zdołała zmyć; zadrapania, które pozostawiły na niej paznokcie konających ofiar. Potrząsnęła głową.

– Koniec gadania. Gdzie jest Capri?

Logan wstał z fotela i wyprostował się dumnie.

– W drodze do ośrodka badawczego. Widzisz, twój ojczulek pozwala nam, Nieskalanym, wypożyczać efekty swojej pracy, ale nigdy nie dzieli się sekretami. – Mężczyzna cmoknął z niezadowolaniem. – Tak być nie może, za kogo on się uważa? Jego sekrety powinny należeć do nas. A Capri już należy.

– Co zamierzacie mu zrobić?

Czysty zmarszczył brwi i popatrzył na nią jak na skończoną idiotkę.

– Pokroimy jego mózdzek w plasterki, co inne go?

Dziewczyna rozłożyła ręce na boki i sprężyła mięśnie do skoku, ale on tylko fuknął pogardliwie, nie dając się speszyć.

– Nawet o tym nie myśl, suko. Jeden telefon i mogę uratować twojego chłoptasia.

Pisces opuściła ramiona, utkwivszy raptem puste spojrzenie w mężczyźnie. Musiał wziąć to za oznakę kapitulacji, bo wyszczerzył się złośliwie i dodał:

– Martwy tego nie zrobię, prawda?

– Tu się mylisz, Logan – powiedziała bez cienia emocji. – Zapomniałeś, że kiedy patrzysz na ryby...

Postać dziewczyny zamigotała i znikła.

– ... królik podrzyna ci gardło – wyszeptała czystemu do ucha.

Jego własnym głosem.

*

Królica Hare podziwiała trzy równe, czerwone pręgi znaczące wykręconą szyję mężczyzny i oblizywała splamione pazury.

Krew była pyszna, lepsza od soku z marchwi. Ciekawe, jak smakowałoby serce? Gdyby tylko miała czas, żeby sprawdzić...

Zgarnęła z biurka zestaw słuchawkowy, zadzwoniła pod ostatni wybierany numer i odchrząknęła.

– Panie komisarzu!

6. KOZIOROŻEC I SMOK

Logan od początku pogrywał sobie z nim, a on, głupi, skupił całą uwagę na walce z Draakiem. I niczego nie zauważył.

Pewnie zdołałby uciec z areny, gdyby nie Smok. Oślepiiony, jakkolwiek gojąc się w zastraszającym tempie i rycząc wściekle, wciąż próbował wygrać. Nie zważając na otaczających go strażników, uderzał ogonem w stronę przeciwnika. Może stracił wzrok, ale nie węch, o czym Capri dobrze wiedział. Tyle że chłopak nie uwzględnił w obliczeniach szwadronu Wewnętrznych, robiącego nalot na Jamę. A to generalnie sprawę dosyć mocno komplikowało.

Tak, ostatnie dwa tygodnie były jednym wielkim pasmem pomyłek. Teraz płacił za popełnione błędy, zamknięty jak szczur w tej klatce na kołach, ze wzrokiem wlepionym w przygarbionego Draaka.

Nadgarstki oraz kostki olbrzyma krępowały ciężkie kajdany, głowę owijała przesiąknięta krwią opaska, jednak rana na szyi zdążyła się zasklepić. Może nie „błyskawicznie”, ale zdecydowanie szybciej niż w przypadku zwykłych ludzi, którzy zresztą takie cięcie przyplącaliby życiem. I zdecydowanie szybciej, niż oszacował to Capri.

– To było dobre, chłopcze – wychrypiał niespodziewanie mutant i ramieniem spróbował zsunąć materiał z oczu. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz stoczyłem taki pojedynek.

– Miło mi to słyszeć – wyszeptał Capri. Odezwał się, choć za nic nie miał ochoty; przynajmniej tyle był winien Smokowi.

– Nie kłam. – Tamten wreszcie zdjął przepaskę i mrugnął do niego ozdrowiałym okiem, drugie skrywając pod grubą powieką. – Widziałem, że walka nie sprawia ci przyjemności.

– Nie. Nie sprawia...

– Ale lubisz zaglądać innym do głów, co?

Chłopak zmarszczył brwi w konsternacji, zaraz jednak roześmiał się cicho.

– To nie tak. Ja przewidziałem twoje ruchy.

– Nie pierdol! – Smok zabrzączał grubym łańcuchem. – Jak?

– Sam do końca nie wiem. – Capri wbił wzrok w podłogę furgonetki. – Dla mnie to równie naturalne, co oddychanie. Zbieram dane i rozpoczynam kalkulacje, oglądam różne wersje wydarzeń, po czym wybieram najlepszą możliwą.

– I to tak od urodzenia?

Potaknął.

– Na początku, oczywiście, byłem w tym słabszy, ale z czasem się wyrobiłem. Ojciec wiedział już, że nie można na mnie naciskać. Stał się ostrożniejszy po nieudanej próbie z moim... – zająknął się i westchnął. – Z moim prototypem.

Draak przyglądał mu się bez wiary, jednak gdy otworzył usta, w jego głosie próżno było szukać kpiny. Tylko zaciekawienie.

– Czyli co? Twój ojciec jest jakimś pieprzonym szalonym naukowcem?

Capri nie musiał udawać rozbawienia.

– Mniej więcej tak. Na początku nie było kolorowo, ale z czasem zdobył renomę i jego projekt osiągnął sukces.

– Jaki projekt?

– My wszyscy. Ja, moi bracia i siostry. Projekt Zodiak.

– Dlatego masz takie durne imię! – Smok parsknął drwiąco. – Bo zgaduję, że Capri jest skrótem od Capricorna, co?

Chłopak poderwał głowę. Może to dziwne, ale nigdy nie przedstawił się Draakowi.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłem się podczas walki. Okrzyki tej twojej siostry ciągle wdzierały mi się pod kopułę. Zwariować było można.

Pisces! Był taki głupi. Taki głupi! Chwycił się za skronie i przymknął oczy. Jego towarzysz umilkł, widząc, że niechcący poruszył niewłaściwą strunę w umyśle chłopaka. Nie wytrzymał jednak długo.

– Jak myślisz, dokąd nas zabierają? Założę się, że nie do aresztu, już dawno byśmy wysiadali.

– Nie wiem dokąd – wyszeptał Capri – ale wiem po co. Logan pragnie poznać sekret twojej regeneracji. A ze mną... Ze mną sprawa jest bardziej skomplikowana. – Westchnął gorzko. – Logan jest idiotą, ale idiotą z zasobami, a tacy są najgorsi. Nie chciał oficjalnie zadzierać z moim ojcem, więc wykorzystał kontakty w Straży, by zgarnąć jeden z jego twórców dla siebie. I teraz spróbuje zajrzeć mi pod czaszkę. Pewnie ubzdurał sobie, że jakoś przejmie mój dar, bo wątpię, by dowiedział się, że ojciec już dawno odkrył, jak zatrzymać proces starzenia się komórek. Zresztą to nie jest możliwe na „etapie człowieka”, nawet Nieskalanego – podkreślił sardonicznie.

– W Boga trzeba bawić się wcześniej, przed powstaniem życia.

Smok zmarszczył czoło i zmrużył zdrowe oko.

– To ile ty masz lat, chłopcze?

– Och, ja jestem najmłodszy w rodzinie.

– Ile? – nie odpuścił.

Capri poczuł się zawstydzony.

– W październiku skończyłem siedemnaście – wymruczał.

Draak wybuchnął głośnym rechotem. Uderzał skrępowanymi dłońmi o uda, brzęcząc łańcuchami i trzęsąc się tak mocno, że łzy zaczęły mu ściekać po policzkach.

– W październiku?! To ty nawet nie jesteś spod Koziorożca!

*

Smok dał mu trochę czasu na przeprowadzenie kalkulacji. Trzeba było przyznać, że nie przeszkadzał, a nawet oddychał jakoś tak ciszej.

Capri liczył. Oglądał wyniki. Podmieniał dane. Tyle opcji, tyle ewentualnych przyszłości. Głowa zaczynała mu pękać.

– Za dużo niewiadomych – wypluł z irytacją. – Nie potrafię...

– Spokojnie, chłopcze. – Draak uśmiechnął się pokrępiąco. – Wszystkie te lata, które dane mi było przeżyć, na pewno nauczyły mnie jednej rzeczy. – Sapnął ciężko. – Nie można wiedzieć wszystkiego.

Ta prosta prawda uderzyła Capriego niczym mocny cios w szczękę. Nagle zachciało mu się wrzeszczeć.

– Właśnie. – Smok odchrząknął. – Tak mnie to w sumie dręczy... Skąd wiedziałeś o skrzydłach?

Chłopak przełknął gulę złości narastającą w gardle i odpowiedział cicho:

– Po pięciu dniach byłem już pewien, że się regenerujesz. A jednak te zgrubienia na plecach... wyglądały, jakby czegoś brakowało. Ale to nie miałyby sensu, skoro ucięta dwadzieścia lat temu ręka odrosła ci w parę dni. – Zrobił krótką pauzę. – Wtedy odnalazłem kolejne zapiski, wydawałoby się, o tym samym mutancie, tym razem jednak latał. Szczerze powiedziałem, koniec końców, zaryzykowałem. Poszedłem za przecuciem.

Draak wykrzywił się drapieżnie.

– W takim razie to samo zrobimy teraz. Niech tylko...

Capri zaprzeczył energicznie.

– Logan może mieć Pisces. Tym razem nie będę ryzykował.

– No to dupa, chłopcze. Dupa blada.

Od tego momentu rozmowa przestała się kleić. Obaj w jakiś sposób przeczuwali, że ich wspólna przejażdżka niedługo dobiegnie końca. Furgonetka parę minut później stanęła, a drzwi otworzyły się szeroko. I wtedy stało się coś, czego Capri nie widział w żadnej z symulacji. Grupa uzbrojonych po zęby strażników przepuściła między sobą elegancko ubranego mężczyznę, a ten zdjął słuchawkę z głowy, podał ją chłopakowi i, jak gdyby nigdy nic, oznajmił:

– Telefon do pana.

Capri chwycił urządzenie i ostrożnie przystawił do ucha. Potem z oszołomieniem wysłuchał przeprosin komisarza Straży i tyle – zdjęto Draakowi kajdany, ogłoszono kolejne słowa skruchy, na koniec puszczono ich wolno, proponując również transport powrotny. Jako że za nic nie daliby się wcisnąć z powrotem do furgonetki, podziękowali uprzejmie i nie minął kwadrans, a zostali sami w ciemnościach.

– Wiesz, jak stąd wrócić do centrum? – spytał Capri.

– Ni chu chu, chłopcze. Ale pamiętaj...

*

Dzwonek zabrzączał wesoło, gdy drzwi kawiarni otworzyły się przed chłopakiem. To było takie staromodne, nawet miało swój urok.

– Przepraszam, że pana budzę.

Bezdomny drgnął nerwowo i zwrócił na niego spojrzenie nieprzytomnych oczu.

– Widzi pan, jestem lekarzem – wytłumaczył Capricorn. – I zauważyłem...
Dodaj szpital. Nie cofaj. W końcu nie możesz wiedzieć wszystkiego.

Marcin Sergiusz Przybyłek

Simon

Opowiadanie pochodzi z antologii *Wolsung*. Tom 2 wydanej nakładem Wydawnictwa Van Der Book



*Maciejowi „Toudiemu” Pitali
Dedykuję*

Tak naprawdę Simon Nut nie wiedział, jak się nazywa. Ojca nie poznał, bo rodzic pożegnał się z tym światem, zanim nasz bohater opuścił łono matki. Być może był zamieszany w porachunki z jedną z mafijnych rodzin, które, niczym pracowite mrówki, zaczerniają południowo-zachodnie przedmieścia Lyonesse. Bóstwa raczą wiedzieć, jaka była prawdziwa przyczyna, Simon nie mógł jej znać, jego matka bowiem dołączyła do małżonka wkrótce po porodzie, również z bliżej Nutowi nieznanymi przyczynami. Najprawdopodobniej w połogu wdało się jakieś zakażenie, a dlaczego, a jak? Być może powodem był sam Simon Nut albo jakiś mag, który przeklął go, gdy spoczywał w macicy. Belisarius Knott, człowiek, który wychował chłopca, twierdził, że przyniósł mu ciało Simona jego osobisty golem, w którego martwej głowie odezwały się macierzyńskie uczucia, gdy usłyszał krzyk głodnego niemowlęcia w jednej z walących się kamienic stojących przy zasnutej dymem i mgłą ulicy Brass Dream. Gdy automat przytargał ładunek do pracowni Knotta, ten zrazu przeraził się widząc... potwora.

Lewa część czaszki niemowlęcia została usunięta, jakby ktoś wyciął ją bezkrwawym, precyzyjnym narzędziem, tnąc równo wzdłuż szwu strzałkowego, a potem poziomo od czoła poprzez skroń do ciemienia. Knott podejrzewał (ale zawsze podkreślał, że to tylko podejrzenia, a nie fakty, był bardzo wyczulony na tym punkcie), że do ingerencji w organizm Simona musiało dojść jeszcze w życiu płodowym, bowiem krawędzie czaszki były obciążone skórą, a odsłonięta opona mózgową uległa pogrubieniu, jakby próbowała przejąć funkcję twardej kości.

Obnażona kora mózgowa nie wyglądała normalnie. W niektórych obszarach (głównie tylnej części) była jakby spuchnięta i wystawała poza zarys głowy, zaś z przodu widniał wyraźny dołek. Znaczenie tego ubytku stało się jasne dla Belisariusza po upływie kilku lat, ale wybaczenie, że tego jeszcze nie wyjaśnię, zależy mi bowiem, by zachować porządek tej opowieści.

Nieludzki zabieg dokonany na mózgowcaszce małego Nuty nie pozostał bez wpływu na twarz dziecka. O ile prawa część dziecięcego oblicza rozwinięta była prawidłowo, to lewa uległa częściowemu przesunięciu ku tyłowi i jednoczesnej atrofii: oko było mniejsze, kość policzkowa zapadnięta, a żuchwa dyslokowała w lewą stronę, co zwiastowało, że chłopiec będzie miał fatalny zgryz.

Na dodatek dziecku z niewiadomych przyczyn odjęto lewą dłoń. Kikut był zgrabny i zagojony, ale cóż z tego. Brak ręki to brak ręki.

Knott nie znał się na dzieciach. Był doskonałym mechanikiem i maszyny, nawet te maniczne, były wszystkim, co rozumiał i kochał specyficzną, pachnącą smarami i towotem miłością. Nie wyrzucił na bruk kwilącego bobasa (co być może byłoby czynem rozsądnym. Z poronionymi produktami magów lepiej nie mieć do czynienia), tylko postanowił go... naprawić. Znał się na tym, bo niejednokrotnie protezował i augmentował mieszkańców dystryktu Seven Oaks, właśnie tego, którego południową część przecinała, niczym szara blizna, mglista Brass Dream Street. Rozejrzał się po pracowni pełnej mechanizmów, części zamiennych, ślimacznic, kół zębatych, zwrotnic, przekładni, ogniów, tudzież lamp manicznych, spojrzął przez teleskopowe wzmacniacze wzroku, które nosił od tak dawna przymocowane do czoła, że nawet z nimi spał, na pędzone maniczną energią mechaniczne robocie ramiona, które niejednokrotnie pomagały mu w konstruowaniu bardziej złożonych machin, w końcu obrócił wzrok na maleństwo, westchnął i wziął się do roboty.

Jeśli chodzi o głowę, po tygodniu wyteżonej pracy osiągnął zamierzony efekt, a zaczynając od żuchwy i idąc w górę przedstawiał się on następująco: zamontował Knott na szczęce i lewej części twarzyczki cienkie mosiężne siłowniki i wzmocnienia, dzięki którym buzia dążyła do symetrii (w miarę możliwości oczywiście), na lewe oko nałożył optyczne soczewki, aby dziecko widziało możliwie ostro, zaś całą odsłoniętą część czaszki zakrył mosiężnym czerepem mocowanym zaczepami obejmującymi prawą stronę główki od strony ciemienia, potylicy i czoła. Osłonił w ten sposób mózg i miał nadzieję, że jakoś naprawi twarz.

Dziecko nie współpracowało podczas operacji, drąc się wniebogłosy i wzbudzając tym zaciekawienie przechodniów. Nie dziwota, nie podobał mu się chłód metalu i jego ciężar. Belisarius więc wpadł na pomysł, by wyświetlać mu na ekranie manicznego oscyloskopu symulację ruchu golemów. Okazało się, że bobas przestawał się drzeć, gdy Belisarius symulację włączał, a wszczynął koncert, gdy była wyłączana. Ponieważ pod onyksowym przełącznikiem tkwiła mosiężna tabliczka, na której wygrawerował Knott słowo „Sim On”, ochrzcił Belisarius naszego bohatera Simonem, a nazwisko dodał spojrzawszy w prawe, duże i wyraziste oko chłopca, które świeciło jasnym brązem zmieszany z zielenią. Było jednym słowem orzechowe.

Co do ręki, wymodelował Belisarius dłoń odpowiedniej wielkości i zamontował ją na kikucie. Była nieruchoma, ale spełniała funkcję estetyczną. Sporo upłynęło czasu, zanim Simonek zrozumiał, czym jest jego nowa, mosiężna rączka i że nie należy jej gryźć.

W trakcie dorastania chłopca stelaż był przez Belisariusza wielokrotnie modyfikowany i powiększany, a gdy berbec skończył pięć wiosen i wciąż nie mówił ani słowa, chociaż wszystko,

jak się wydawało, rozumiał, pojął mistrz kół zębatach i zbrojonych łańcuchów przesyłowych, że jego przybrany syn nigdy nic nie powie, bo ów feralny dołek w lewej półkuli mózgowej jest śladem po usunięciu ośrodka Broki, czyli tej części centralnego układu nerwowego, która odpowiada za artykulację (Belisarius trochę znał się na budowie mózgu, było to niezbędne w jego fachu). Simon wydawał się pojętym chłopcem, zainstalował więc mistrz mechaniki na jego lewym przedramieniu, tuż za metalową ręką, instrument zaopatrzony w mosiężną klawiaturę i maniczny ekran skonstruowany ze składanych ramek, w których pustym wnętrzu jarzyły się litery, ilekroć Simon bądź Knott stuknął w małe klawisze. Ponieważ urządzenie było ciężkie, dołożył stary mechanik wsporników i siłowników na ramieniu i barku chłopca, połączył je z czerepem, a miedziane druty przesyłowe poprowadził do czujników hełmu tak, żeby Simon mógł tylko siłą myśli pomagać sobie w dźwiganiu komunikatora. Niestety, wszystkie te cuda wiązały się poborem mocy, dlatego chłopiec musiał przyzwyczać się do noszenia na plecach ciężkiego manicznego akumulatora zespolonego kilkoma nitami z okrywą głowy. Z baterii wystawały mineralne szkła podługowatych lamp, przez co dziecko przypominało nieco chodzącego na tylnych łapkach jeża. Aparat był naprawdę ciężki, więc przez pierwsze dwa lata chłopiec targał za sobą wózek, który brał na siebie część jego masy. Potem mięśnie nóg tak się wzmocniły, że był w stanie sam nosić uprząż. Musiał Simon zaakceptować rytuał wieczornego zdejmowania oprzyrządowania i porannego jego nakładania, ale że dzieci mają wyjątkowy dar adaptacji, zaczął traktować te czynności jako coś całkowicie naturalnego. Fakt, że chłopiec korzystał teraz ze źródła mocy, nasunął Belisariusowi kolejny pomysł. Wpiął w skórę kikuta pasierba kilka przesyłowych drutów i zaopatrzył Nutę w nową protezę dłoni – tym razem ruchomą i podłączoną do manicznej baterii. Cudowny jest umysł dziecka! Nie upłynął miesiąc, gdy Simon opanował sztukę poruszania mosiężną dłonią tylko siłą myśli.

Akumulator potrzebował jednak zewnętrznego zasilania, bo sam ładował się zbyt wolno. Na szczęście mistrz Knott posiadał odpowiedni maniczny generator, do którego Simon co noc podłączał uprząż specjalnym, łamanym w wielu stawach, miedzianym ramieniem. Stało się to kolejnym elementem codziennego rytuału.

Simon nigdy nie zapytał, jakim cudem mieszkając w obskurnej dzielnicy mistrz mechaniki zdobył maniczną baterię, nie wiedział nawet, że powinien się tym interesować. Belisarius natomiast nie spieszył z wyjaśnieniami, że była to rzecz droga i egzotyczna. Cieszyła go radość przybranego syna i to tylko się liczyło.

W trakcie upływu lat Belisarius dodał do komunikatora Simona wiele dźwigni i dodatkowych klawiszy. Odpowiadały za funkcje pokazywania kierunków i rysowania: ich przyciśnięcie bądź poruszenie bardziej gwałtowne czy delikatniejsze dawały różne rezultaty, a wszystko mistrz ułożył tak zmyślnie, żeby Nutowi było jak najwygodniej do klawiszy sięgać i w nie stukać. Simon nauczył się korzystać z „Komu”, jak skrótowo nazwał urządzenie, tak biegle, że zadziwiał swoją zręcznością nie tylko Belisarius, ale i wszystkich, którzy go odwiedzali. Palce prawej ręki chłopca migąły nad urządzeniem szybko jak iskry w generatorze Van der Raffa, a na eterycznym, naładowanym maną ekranie, słowa, rysunki i oznaczenia pojawiały się niemal tak szybko, jak ludzka mowa. Simon nauczył się mówić na swój specyficzny, „komowy” sposób.

Knott nie wysłał chłopca do szkoły. Było w nim coś niepokojącego. Okaleczenie, wykrzywiona twarz, która, mimo starań mechanika, pozostała niesymetryczna, tajemnicza przeszłość, to wszystko wzbudzało w Belisariuszu niepokój. Dlatego sam postanowił

wykształcić „syna” tak dobrze, jak potrafił, a że umiał jedynie konstruować, nauczył go właśnie tego. Odwiedzającym go klientom opowiadał, że to kuzyn z prowincji, sierota ocalały po pożarze w Yorkhill. Akceptowano tę opowieść, a augmentacje uznawano za remedium na poparzenia.

Simon okazał się nadzwyczaj pojętym uczniem. De facto tak pojętym, że stary mistrz wróżył mu karierę w jego zawodzie. Chłopiec zdawał się posiadać przedziwną intuicję, wręcz wgląd w maszyny, uzwojenia i silniki. Belisarius wyobrażał sobie, że gdzieś w głowie przybranego syna siedzi swoisty reflektor, który, niczym promienie maniczne, prześwietla konstruowane czy naprawiane przez niego urządzenia i w ten sposób Nut widzi naprężenia, pęknięcia, albo miejsca zatarć.

Przyszła czas, w którym klienci warsztatu prosili, by to właśnie chłopiec zajął się ich zacinającym się ozdobnym jajem, mechaniczną kolia w kształcie zachodzących na siebie zębatych kół, czy chodzącym zegarem, który z jakichś względów przestał zachodzić do kuchni, a zamiast tego postanowił odwiedzać pobliski pchli targ.

Jednak nie tylko klienci odwiedzali warsztat Belisariusza Knotta. Raz na kilka miesięcy przybywała dziwaczna grupa: na przedzie jechał na czymś w rodzaju kroczącego tronu niziołek noszący wyglancowane czarno-białe buty, wyżej pasiaste, czarne spodnie, dalej kamizelę w tym samym kolorze, z której kieszonki zwisała ciężka, złota dewizka zegarka, białą koszulę otulał surduty, a pod szyją czernił się spięty rubinową zapiną jedwabny krawat. Noszący czoło nadzwyczaj wysoko jegomość miał kręcone, czarne włosy, szerokie i gęste bokobrody oraz także czarne, głęboko osadzone oczy. Nazywał się Luigi Tataaglia i prawie zawsze trzymał w pulchnych ustach zdobiących płaską twarz cygaro tak wielkie, że dym unoszący się z jarzącego się szkarłatem końca, zakrywał dużą część jego twarzy, zaś zapach pierwszorzędny tytoniu wypełniał całą Hamburg Street, przy której to ulicy mieścił się warsztat Knotta. Obok Luigiego kroczył ogr o zamyślonej, dość przystojnej, acz kwadratowej twarzy, sięgający brodą wyżej niż szczyt oparcia tronu niziołka. Simon nie znał imienia bodyguarda, ale wiedział, że bary ma tak szerokie, że aby dostać się do wnętrza warsztatu, musiał wchodzić bokiem (i lekko pochyłać głowę, żeby nie zaryć masywnym czołem w mosiężną framugę). Ogr ubrany był w długi, granatowy płaszcz lamowany złotem, które to odzienie dziwnie na nim leżało, uwypuklając się tu i ówdzie, jakby olbrzym nosił pod połami śmiercionośny arsenał. Za tą dwójką maszerowały dwa humanoidalne, mosiężne automaty. Były wysokie, stopy miały szerokie i stabilne, zaś ręce długie i ruchliwe. Simon poznał po twarzy Belisariusza, że ojczym nie lubi tych wizyt. Kiedy Nut zobaczył po raz pierwszy tę menażerię, a było to gdy miał sześć czy siedem lat, Luigi spojrzał na niego z góry, uśmiechnął się białymi zębami, wypuścił siny dym szerokimi nozdrzami i rzucił do Knotta:

- To ta sierota?
- Tak, panie Luigi.
- Rzeczywiście strasznie brzydka.
- Los poskąpił mu urody, ale to dobre dziecko.

Niziołek parsknął, jakby ktoś opowiedział pyszny dowcip. Zaciągnął się dymem i sapnął:

- Dobro? Komu i na co ono dzisiaj? Czy jutro?
- Tak, panie Luigi.

W tym czasie Simon przeniósł ciekawskie spojrzenie prawego, zdrowego oka i lewego, zaopatrzonego w soczewkę, na ogra stojącego po prawej stronie ruchomego tronu. Szczęka

malca przesunęła się mocniej w lewo, jak zwykle w chwili wielkiego zainteresowania.

- Co się gapisz, smarkaczu? Niziołka nie widziałeś? – warknął Luigi.

Malec sięgnął do Komu i szybko wystukał:

- *To jest niziołek, proszę pana?*

I dołączył rysunek prezentujący różnicę wzrostu między Luigim i bodyguardem. Tataglia, widząc schemat, wychylił się z tronu, błysnął złotym pierścieniem dźwigającym czarny kamień i wysyczał:

- Tak, to jest niziołek, synku. Lepiej poproś ojczyma, by ci wytłumaczył, co i jak.

- To jest niziołek, Simon, nie gap się, idź na zaplecze i sprawdź, czy zostały jeszcze koła trzy na sześć.

Nut wyszedł, oglądając się za siebie i przyglądając uważnie automatowi, krocącemu krzesłu, ogrowi i niziołkowi. Niepotrzebnie, bo tę grupę miał zobaczyć jeszcze nie raz.

Dopiero za parę ładnych lat Simon zrozumiał, że pan Luigi Tataglia jest kolekcjonerem należności rodziny o tym samym nazwisku, której jurysdykcja obejmowała Seven Oaks wraz z połową Youtton i ćwiercią Gold Pines, blisko której to dzielnicy przebiegała Brass Dream Street. Ale nigdy nie dowiedział się, że oprócz „zwykłej” należności, pan Tataglia odbiera procenty pod pożyczki, którą Belisarius zaciągnął, by zdobyć odpowiednie części na augmentację pasierba...

- Wszyscy jesteśmy zabawkami w rękach potężniejszych sił, synu – powiedział po wielu latach Belisarius, gdy Luigi wraz z trupą oddalali się po kolejnej wizycie przy akompaniamencie chrapliwego śmiechu niziołka. – Oni byli, są i będą. Nie zadzieraj z nimi, nie dyskutuj. Płać i ciesz się, że pozwalają ci żyć nie obiwszy, nie okaleczywszy.

Chłopiec spojrział przestraszony na ojca, a Knott odwzajemnił spojrzenie. Widok oblicza pasierba wystarczył, by wyczytać goszczące na nim pytanie.

- Tak, pobili mnie kilka razy. Nie na tyle, żebym nie mógł pracować. Robią tak wtedy, gdy nie masz dostatecznie dużo gotówki. Pamiętaj, synu. Zawsze miej gotówkę w ostatnią sobotę marca, czerwca, września i grudnia. Emcewugie. Inaczej pobiją. A jak wrócą następnego dnia i pieniędzy nie będzie – mogą co złamać.

- *A gdy nie będzie pieniędzy następnego dnia?*

Belisarius poklepał delikatnie Simona po mosiężnym czerepie.

- Lepiej nie wiedzieć, Simon, lepiej nie wiedzieć.

Tymczasem umiejętności chłopca względem naprawiania i konstruowania maszyn rosły. Pewnego dnia zbudował, używając tylko starych części i zwojnic, chodzący i mówiący automat wysokości łokcia i ćwierci. Zabawka patrzyła niczym człowiek, śmiesznie otwierała buźkę, potrafiła powiedzieć kilkanaście zdań i to całkiem z sensem, siadała, skakała, turlała się i nie traciła równowagi. Nic dziwnego, że jeden z klientów, pan Thomas UMBER, zażywny jegomość noszący nieco przymały melonik na tłustej głowie, zainteresował się ruchomą ozdobą wystawy i spytał o cenę.

- Eee, piętnaście księżyców? – zaryzykował Belisarius.

- Piętnaście? Żartuje pan. To warte ze dwadzieścia! Dam siedemnaście i pięć jeleni. Moja córka będzie zachwycona.

Dżentelmen wyciągnął banknoty oraz ciężką monetę, która metalicznie stuknęła o mosiężny blat kontuaru, po czym grzecznie poczekał, aż Knott zapakuje automat do pudełka. Zabawka okrutnie protestowała usiłując się z niego wydostać, co bardzo rozbawiło pana Umbra:

- Patrzcie no, państwo! Gdyby powiększyć rozmiary, a pudło zamienić w jaki wulkan albo inną czeluść, wyglądałoby to jak dobra teatralna scena! Widzisz pan, panie Knott? On się wydobywa, a tu lawa, a tu buch i buch!

- Rzeczywiście, panie Umber – odparł Belisarius i siłą wcisnął automat do opakowania.

Oglądającemu tę scenę Simonowi zrobiło się zabawki żal. Ale co było robić? Musiał przecież jakoś pomagać ojcu. Tęsknie patrzył za panem Thomasem, który, wciąż chichocząc, wyszedł z warsztatu, trzymając podrygujące opakowanie pod pachą, wsiadł na wysoki monocykl i oddalił się, pogwizdując z zadowolenia. Gdy Nut żegnał się ze swoim pierwszym sprzedanym dziełem, obserwował go ojczym i zastanawiał się, czy mu powiedzieć, że córka pana Thomasa, niejaka Natalie, jest wyjątkowo okrutnym dzieckiem i z pewnością małego humanoida nie czeka w jej rączkach świetlana przyszłość, raczej posłuży jej do jakiejś paskudnej zabawy, wskutek której zginie, najprawdopodobniej w wyszukany i nieprzyjemny sposób. Ostatecznie mistrz nie podzielił się z pasierbem tą wiedzą, po cichu tylko przyznał, że mały mechanizm miał niezły instynkt, próbując wyrwać się z pudełka. Ale cóż mógł zrobić? Jego los kontrolowały wyższe siły...

Pewnego dnia Belisarius postanowił postawić Simona na diagnostycznej platformie, tam, gdzie zwykł był stawiać zepsute automaty, i prześwietlić jego głowę manicznymi promieniami. Trudno powiedzieć, dlaczego chciał to zrobić. Intuicja? Wrodzony diagnostyczny zmysł? Świadomość, że nigdy chłopca dogłębnie nie zbadał? Simon zdziwił się, ale nie protestował. Zdjął z siebie uprząż i grzecznie stanął za olbrzymim obiektywem promiennika. Po upływie minuty rzeźący aparat wypluł zdjęcie oprawione w miedzianą, ozdobną ramkę i mistrz wpiął ją w klips zwisający przed silną maniczną lampą. Przez chwilę patrzył i mrugał usiłując przyzwyczaić oczy do mroku fotografii.

- Czekaj no – mruknął wreszcie – czekaj... Czy to powinno tak wyglądać? – wskazał Simonowi jego własną czarno-białą głowę.

Nut sapnął zakładając na siebie uprząż. Nie mógł na razie odpowiedzieć, więc milczał.

- Dziwne – cmoknął mężczyzna i nasunął na oczy powiększające gogle.

Simon stanął obok niego, rozłożył ramkę Komu i napisał:

- *Co jest dziwne, tato?*

- Dziwne jest to, co masz w głowie, synu.

- *Chodzi o ten jasny kształt przypominający koronę?*

Belisarius spojrzał na syna bystro:

- Widzisz tu koronę? Ja raczej jakiegoś pająka, czy inne choróbstwo...

- *Nie strasz mnie, tato* – odparł Simon i kilkoma krzywymi narysował na eterycznym ekranie uśmiechniętą twarz. Zawsze tak reagował, gdy się denerwował.

- Żartuję. To jakiś artefakt może... Znacząco źle zrobione zdjęcie...

- *Zdjęcie jest dobre, tato. Rzeczywiście coś tam mam. Przypomina nieco literę „H”.*

- Hm... Mało niespodzianek w tej twojej głowie? Jeszcze jakieś litery?

- *Może to dzięki temu tak dobrze rozumiem maszyny?*

Mistrz skrzyżował ręce na piersi i wpatrywał się przez kryształowe szkła w prześwietlenie Simona. Czyżby, myślał, okaleczenie go miało mieć też dobre następstwa? Kto włożył mu w mózg ten tajemniczy przedmiot i dlaczego? Czemu się nie interesuje owocem swojego przedziwnego eksperymentu? Czy mag nie żyje? Udał w podróż, z której już nie powrócił? A

może wciąż obserwuje chłopca i bada, jak się rozwija i co wyniknie z tej operacji?

Belisarius obejrzał się nieswojo i zerknął w duże, podzielone rutenowymi szprosami okno wystawowe wyglądające na brudną ulicę. Nikt ich nie obserwował. No, jakże by? Przecież to Seven Oaks. Dzielnica plebsu. Nikt tu nie widział maga, ani nawet jego zapachu nie czuł. Od wielu lat. Oczywiście jeśli założyć, że sam Knott nie był magiem.

- No cóż, synu – mruknął. – Coś mi się zdaje, że ktoś przy tobie grzebał, ale teraz zapomniał o swoim dziele. Nie wiem, co to jest i nie zamierzam tego tykać. Ale ciebie tknę.

I, za zgodą Simona, użył Knott uprząży do jeszcze jednego celu. Zainstalował w czerepie jeszcze jeden port, od którego poprowadził zaplecioną w luźny warkocz wiązkę szczelnie owiniętych skórą cienkich miedzianych drutów i zaczepił ją w metalowych kółkach rozmieszczonych wzdłuż siłowników lewej ręki. Na końcu zamontował płaskie, gładko wypolerowane miedziane kółko, a następnie skonstruował wyściełane grubą, aksamitną warstwą puzdro wczepione od dołu w Kom, w którym owa końcówka siedziała, nie majtając się na lewo i prawo i nie grzechocząc.

Od tej pory nasz bohater mógł dotykać urządzeń tą płaską końcówką niczym lekarz używający stetoskopu, „wsluchiwać się” w ten sposób w ich dziwne, mechaniczne życie i diagnozować je, w zupełnie niezrozumiały dla mistrza, ale, jak się okazało, skuteczny sposób. Umiejętności pasierba mistrza Knotta stały się w Seven Oaks znane. Jako czeladnik dostawał coraz więcej zleceń i otrzymywał coraz więcej pochwał. Z jednej strony cieszyło to starego Belisarius, a z drugiej niepokoiło. Pamięć o pochodzeniu syna i świadomość istnienia dziwacznej intarsji w jego mózgu nie dawała mu się w pełni tym wszystkim radować.

Był jeszcze inny powód trosk Belisarius. Nut, odkąd skończył czternasty rok życia, przestał rosnąć. Teraz miał lat szesnaście i stan ten się nie zmieniał. Przyczyną musiał być ciężki akumulator i waga całej uprząży. Efektem ubocznym były nad wyraz silne nogi i rozbudowany pas barkowy Simona, ale żaden mężczyzna rodzaju ludzkiego, nawet ułomny, nie powinien mierzyć pięciu stóp. Nawet krasnoludom, którzy z rzadka odwiedzali warsztat Knotta, z reguły aby wymienić półszlachetne kamienie na jakiś fragment mechanizmu, sięgał Simon zaledwie do ust. Wyższy był jedynie od niziołków i gnomów, a i to zaledwie o głowę. Martwił się tym mistrz Belisarius, ale nie wypowiadał swoich trosk na głos. Chłopak wydawał się szczęśliwy mimo paskudnych prezentów zgotowanych przez los, więc może prawdą jest, że nie ten jest szczęśliwym, kto wiele posiada, ale ten, kto cieszy się z tego, co ma?

Pewnej wietrznej, październikowej nocy, Nut nie mógł zasnąć, bo zawieszony na grubych łańcuchach szyld warsztatu Belisarius wyjątkowo głośno skrzypiał, kołysany niespokojnym, nocnym wiatrem odrywającym się od pobliskich wrzosowych wzgórz i szarpiącym przycupnięte, krzywe kamienice, jakby lękliwie wczepione w grunt rozczapierzonymi fundamentami w obronie przed drapieżnymi mackami mgieł. Pokój Simona znajdował się na poddaszu i rytmiczne, głośne skrzypienie połączone z zawrotem wiatru, który szarpał okiennicami tak, jakby przewracał kartami wielkiej księgi, wyjątkowo gładko niosło się po dachówkach kamienic Seven Oaks. Chłopak wiercił się i rzucał na żelaznym łóżku, raz po raz macając swoją uprząż i poprawiając pled, który spadał z lamp akumulatora, co powodowało, że co jakiś czas przez uparcie zamknięte powieki Nuta wpadało ich światło. W pewnym momencie do typowych nocnych dźwięków ulicy – miauczenia kotów, szczekania psów, buczenia manicznych zwojów pobliskich kondensatorów i sapania licznych parowych silników napędzających zwodzone mosty

i przekładnie, dołączył nowy, dziwnie znajomy. Ciche wycie silowników, które od razu skojarzyło się Simonowi ze świtą Luigiego Tataglii. Poczł zapach charakterystycznych dla tych maszyn olejów i smarów. Podniósł głowę i nasłuchiwał. Ponieważ wzrok nasz bohater miał nieco osłabiony, jego mózg wykształcił większe pola interpretacyjne dla słuchu i węchu. Prawdopodobnie dzięki temu usłyszał nasz bohater zbliżające się tąpnięcia ciężkich kroków, a potem wniknięcie wytrychu w zamek warsztatu. Zerwał się i chciał krzyknąć, ale powstrzymał się z trudno zrozumiałych powodów. Być może dlatego, że niezwykle rzadko używał głosu, zdając sobie sprawę, że jakikolwiek dźwięk z siebie wydobydzie, będzie brzmiał bełkotliwie i koślawo. W pośpiechu zarzucił koszulę i założył na nią uprząż (zakładanie jej na gołe ciało było niewygodne), po czym wyrwał ciężką, porcelanową wtykę z generatora ładującego akumulator i zatknął ją w chwytak pod ramieniem. Ostrożnie wyjrzał przez mosiężny próg drzwi swojej sypialni i usłyszał rżenie serwomechanizmów i ciężkie stąpania. Zapach tytoniu. Szepty. Gardłowy, cichy głos. W chwilę potem rozległ się krzyk Belisariusza, który zakończył się nagle i przeszedł w charczenie. Coś ciężko upadło na ziemię. Odgłos był twardy i miękki zarazem, jakby o posadzkę uderzyła głowa, brzuch i kolana. Chłopak, niewiele myśląc, chwycił pasek, spodnie i buty, w drugą rękę porwał generator i dał susa przez okno na śliskie dachówki pokrywające warsztat Belisariusza. Rozejrzał się dookoła i upewnił, że nikt go nie widzi. Niebem płynął jeden sterowiec, ale był zbyt daleko, by go stamtąd dostrzeżono. Na dachu po przeciwnej stronie ulicy przysiadł mechaniczny gołąb, ale wyglądało na to, że zasnął. Simon wsadził głowę z powrotem w okno tylko po to, by usłyszeć hałas i rechot tak przerażający, że instynktownie się odwrócił i pomknął dachami przez noc, byle dalej od lęku i tajemnicy.

Dwa dni później, głodny i wystraszony, zaszedł wieczorową porą w pobliże dawnego domu, by sprawdzić, co się stało. Okna warsztatu były powybijane, maszyny zdemolowane, obszar ogrodzony jarzącym się magiczną energią płotem, a w pobliżu czatowały dwa parowe policyjne automaty. Z rozmów funkcjonariuszy i gapiów, którzy zatrzymywali się, by obejrzeć paromobile stróżów prawa i ich mechanicznych pupili, wywnioskował, że Belisarius Knott został brutalnie zamordowany. Ten, który dał mu dom, ciepło i życie, odszedł za mgiełną zasłonę, a Nut nie wiedział, dlaczego. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie podejść do policjantów i nie opowiedzieć, co słyszał podczas włamania. Ale zrezygnował. Nie był już naiwnym dzieckiem i wiedział, że z mafią się nie zadziera. Wiedzieli o tym nawet stróże prawa.

Zrozumiał też nasz bohater, że już nie może się zbliżyć do dawnego domu.

*

Cztery lata po tych wydarzeniach widzimy go o godzinie piątej rano, stojącego w podwieszonym wagonie pociągu relacji Birchshire – Gol Trust, na tle innych obywateli pogrążonych w lekturze codziennej „Lyonesse Herald”, tak jak on zaspanych i nie do końca schludnie ubranych. Jedni w połatanych surdutach, inni w takichż koszulach, niektórzy w krawatach czy muszkach, ale zawsze niemodnych, nieszykownych, po prostu biednych. Simon trzyma się mosiężnej, zdobionej barierki i patrzy w lewo, przez szybę powietrznego pociągu. Na horyzoncie piętrzą się, niczym góry, trzy potężne kominy Gol Trustu, fabryki produkującej niemal wszystkie mechaniczne dobra, które możesz nabyć w Lyonesse. Oczywiście mało kto o tym wie, bo kto sięga wzrokiem dalej niż West Closterling czy Rothstead Fields, któżby się

przejmował, skąd pochodzą jego gogle czy myśliwska uprząż? Gol Trust leży daleko od stolicy i ma tak pozostać. To nie lokacja światowej wystawy czy ekskluzywny zajazd. Kominy przypominają wulkany i tak jak one dymią. Spowija je rdzawa mgła zmieszana z obłokami zabarwionymi ognistym świtem. Simon tylko tak widzi Gol Trust: rano, gdy dojeżdża do pracy i wieczorem, gdy z niej wraca. Jego świat ma kolor rdzy, ognia, świtu i zmierzchu. Tonie w odcieniach oranżu, karmazynu i gliny.

Ale Simon nie narzeka.

Bowiem w strumieniu lawy, w jaką zamieniło się jego dziwne życie, odnalazł kwiat. Tym kwiatem jest czarnowłosa dziewczyna w jasnopopielatej koszuli, z aksamitką na smukłej szyi, ubrana w czarny gorset, gruby skórzany narzędziowy pas w tym samym kolorze, ciężką spódnicę podkreślającą krągłość bioder i wysokie, fabryczne buty.

Możecie się śmiać, ale ten ubiór wydawał się Simonowi najpiękniejszym odzieniem na świecie. Dlaczego? Bo nosiła go Jessica Tannhauser, golełazka pracująca w tej samej sekcji bloku B, co Simon. Jessica była piękna z jeszcze jednego względu: jej lewa ręka i przedramię były wykonane z palladu i srebrzystych zwojów przekazujących impulsy nerwowe wprost do palców. Podobno dziewczyna cztery lata temu, niedługo przed przyjęciem Simona do pracy, uległa wypadkowi, a że Hans von Grabb, gnomi dyrektor Gol Trustu, którego Simon nigdy nie widział, darzył ją (jak niosła plotka) dziwną, gnomią sympatią, ufundował dziewczynie maniczną protezę wysokiej jakości zamówioną u samego mistrza Roberta Marii Shwanna, tego, u którego ucznia, Thaddeusa Ignatiusa Woblinga, terminował zamordowany ojciec Nuta. Ręka Jessiki była rzeczywiście piękna: bogato zdobiona motywami roślinnymi i delikatnymi falami, wyglądała jak utkana z koronek, chociaż Simon wiedział (i widział), że jest dużo odporniejsza i sprawniejsza od drugiej ręki, którą dziewczyna osłaniała zaopatrzoną w mankiet czarną rękawicą. Nut widział Tannhauserównę codziennie i codziennie jego serce cieszyło się i płakało zarazem widząc jej zamyśloną, surową twarz i czarne oczy, których rogówki miały poler czystej rtęci. Ona Simona nie dostrzegała. Wyobrażał sobie, że jest dla niej częścią tła, niewiele się od niego różniącą. Jego augmentacje i lampy akumulatora spajały się z otoczeniem, powodując, że czasami wyglądał jak ruchoma płaskorzeźba wylaniąca się z mosiężnych ścian.

Dziewczyna siedziała na miedzianym, rzeźbionym siedzisku wystającym ze ściany kołyszącego się wagonika, pomiędzy grubym jegomościem, którego kielbaskowate nogi obciążone były pasiastymi spodniami, beczkowaty tułów został ściśnięty ciemnoszarym surdudem, a z nalanego oka co chwila spadał za mały monokl; a podstarzałą, siwowłosą damą, ubraną nieco podobnie do Jessiki, tyle, że nogi osłaniała ciemnoszara, plisowana suknia, narzędziowy pas zastąpiony został czarną, szeroką, elastyczną szarfą, a głowę osłaniał nieco wypłowiały kapelusz z czerwoną, papierową różą wystającą z otoka. Jednak ani jegomość, ani dama, ani monter pracujący z pewnością przy nowym bloku D, zaopatrzone w lampy na masywnych ramiennych opachach, ani grupa śrubowych gawędzących w odległym rogu wagonika nie przyciągali uwagi Simona.

Była tylko ona.

Tylko ona.

Tylko ona.

Ach, gdyby umiał mówić. Gdyby tylko umiał. Gdyby był wyższy. I gdyby nie był tak brzydki i pokraczny w całym tym swoim oprzyrządowaniu, zapewne zebrałby się na odwagę i zaczął panna Tannhauser o myślącym spojrzeniu. Ale nie był ani przystojnym brunetem w błyszczącym cylindrze, ani bogatym kupcem z cygarem w ustach, a ona, jakby Nut rzeczywiście stapał się z

otoczeniem, nigdy nie zwracała uwagi na jego składany, przedramienny ekran. Zresztą Nut tak się w jej obecności peszył, że związał ramki, a po okutym lewym przedramieniu nerwowo stukał palcami.

- Cześć Simon – ktoś sapnął mu do ucha i dopiero po chwili, czując czosnek, cebulę i boczek w oddechu rozmówcy, zorientował się Nut, że to Hassan Rant – sympatyczny młodszy mechanik, szczerbaty (nie miał lewej górnej jedyńki), zawsze nieco osmalony, czarnowłosy młodzieniec, nieodmiennie noszący mosiężne gogle na czole, drugie, monterskie, na szyi, zaopatrzone, tak jak Jessica i Simon, w narzędziowy pas na szerokich biodrach i czarną koszulę załataną tylko na prawym łokciu (czyli prawie nową). Simon zadarł głowę, żeby mu się przyjrzeć.

Hassan sepleniał i był tylko trochę przystojniejszy od ucznia Belisariusza, co oznaczało, że był nieziemsko brzydki. W przeciwieństwie do krzywej szczęki Nuta, jego żuchwa była symetryczna, ale mocno spłaszczona i cofnięta. Nos za to miał Hassan niewspółmiernie wielki, zakrzywiony i sterczący, co upodabniało go do ptaka. Dodajmy do tego wyłupiaste, jasne oczy i zobaczymy jakby wiecznie zdziwionego, ale i skorego do uśmiechu dziwaka wpatrującego się w rozmówcę tak intensywnie, jakby ten za chwilę miał mu pożyczyć kilka księżyców.

Simon rozłożył błyskawicznie ekran Komu i wystukał powitanie, opatrując je gustowną ramką składającą się z kilku krzywych:

- *Cześć Hassan.*

Rant pochylił się nad kolegą:

- Ładny dzień, co? Nie zauważyłeś, jak wsiadłem? Jak zwykle, jak zwykle...

Simon uśmiechnął się krzywo i błysnął soczewką zasłaniającą lewe, mniejsze oko:

- *Najpierw wszedł twój zapach.*

- Cebula to najlepsze lekarstwo. Wiesz, jak ludzie chorują? Powietrze Birchshire jest niezdrowe, bracie. Jednemu włosy wylażą, inny szczerbacieje, o – zaprezentował pustkę po zębie wetkniętym w nią czubkiem języka - Ten bez nogi, ten bez ręki... A nie, przepraszam – zerknął na zamyśloną dziewczynę – ty nie masz ręki, śliczna Jessica nie ma...

Simon poczerwieniał, jego krzywa szczeka zafalowała pod cienkimi siłownikami twarzy i przesunęła się dalej w lewo. Palce prawej ręki błyskawicznie zastukały na Komie:

- *Zamknij się, Hassan.*

Towarzysz Nuta zakrył usta w udawanym geście zażenowania:

- Ups, ale mi się wymknęło, przecież nikt nie dostrzega, że się w nią ślepisz.

Nut tym razem nic nie powiedział, tylko sięgnął wzwyż, ułapił Ranta silną, żylastą dłońią za ramię i obrócił tak, żeby pierś rozmówcy zasłaniała jego brzydką twarz przed Tannhasuerówną. Nic nie powiedział, tylko zadarłszy głowę patrzył na Hassana. A ten, widząc jego cierpiącą twarz, zrozumiał wszystko. Zacisnął usta, pokiwał wolno głową i szepnął:

- Już. Już się uspokoiłem. Ale poważnie, dlaczego z nią nie porozmawiasz? Ty masz metalową łapkę, ona ma, rozumiesz, macie o czym gadać.

Simon parsknął i powiodł prawą ręką po swojej głowie zamkniętej w złotym półhelmie, kablach z niej wystających, twarzy i ręce.

- *Dlatego* – zastukały palce.

- Ona wydaje się całkiem sensowna, myślisz, że ją to przeraża?

- *Proszę cię. Nie rozmawiajmy o tym.*

I Hassan posłuchał.

Nie rozmawiali.

Montownia bloku B Gol Trustu wielu ludziom, elfom, niziołkom czy orkom mogłaby się wydawać przerażająca. Suwnice zamontowane pod wysokim, łukowatym sklepieniem zdolne podnosić i przesuwają kilkusettonowe golemi, potężne maszyny montażowe unoszące nogi czy korpusy tych machin, ramiona przenoszące podzespoły napędowe, automaty wbijające w pancerze gigantów nity wielkie jak kufel piwa, przesyłownice wysokich manicznych napięć, łuki magicznych wyładowań, iskry sypiące się niczym grad, przy tym huk i zgiełk tak wielki, że trudno własne myśli usłyszeć, a do tego gorzko-kwaśny zapach smarów i nieustanne drżenie stalowych podłóg, od którego łaskoczą pięty. To wszystko byłoby dla przedstawicieli większości ras piekłem. Ale dla Simona, śrubowych, którzy z nim jechali, Hassana czy Jessiki było to miejsce pracy, przy czym Simon czuł się tu jak ryba w wodzie. Wreszcie jego brak umiejętności mówienia przestawał być problemem, bo i tak nikt nikogo nie słyszał. Jego Kom okazał się rozwiązaniem idealnym na te warunki. Do odległości pięćdziesięciu metrów sygnały pokazywane na ekranie były czytelne i nikt nie musiał czytać z ruchu ust. Wreszcie Nut mógł „rozmawiać” z maszynami, a niekoniecznie z ludźmi, którzy, jak to ludzie, nie zawsze akceptowali jego wzrost i brzydotę. Zresztą, jego dziwny wygląd w tym otoczeniu nie raził tak jak poza Gol Trust, bo dookoła roilo się od różnokształtnych maszyn i automatów.

Simon pracował w tej sekcji montowni, gdzie konstruowano przemysłowe golemi. Takie, z pomocą których konstruuje się mosty, wieże, sterowce, generalnie wszystko, co ciężkie i wielkie. Maszyny te musiały być odporne, niezawodne i na tyle zmyślne, by nie pomylić się przy interpretacji polecenia inżyniera. Sytuacja, w której golem słysząc hasło „przenieś dźwigar i zamontuj” zaczyna siedzieć i demontować wszystko, co zdemontować się da, łącznie z własnym poszyciem (bo zrozumiał „posiedź dzisiaj i zdemontuj”) nie byłaby mile widziana na placu budowy, a jak plotka niesła, zdarzyło się to kiedyś wotańskiemu golemowi montującemu ichniejsze zeppelin. Historię tę powtarzano w całym Gol Truście i była jedną z pierwszych, jaką nasz bohater poznał tuż po tym, gdy się zatrudnił.

A właśnie. Pewnie jesteście ciekawi, jak to się stało, że zaczął właśnie tu pracować? Po tragicznych wydarzeniach w Seven Oaks, Nut uciekł do Birchshire, dzielnicy położonej na zachód, tam, gdzie, jak słyszał, nie sięgają macki rodziny Tataglia. Włóczył się przez kilka tygodni targając wszędzie swój generator i za marny grosz naprawiał ludziom urządzenia. Wreszcie, widząc jego niedolę, zlitowała się nad nim pani Helen O’Brien, stara wdowa, która straciła na wojnie ojca i syna, i wynajęła mu za symboliczną opłatą pokój na poddaszu. Simon lubił poddasza. Kilka dni po tym, jak nasz bohater znalazł dach nad głową, późnym popołudniem, gdy zachodnie niebo płonęło mgielnym zmierzchem, na parapecie okna przysiadł mechaniczny ptak. Był mokry od wilgotnego powietrza i zimny, chociaż Nut wyczuwał rozgrzane maniczne serce automatu. Robot przypominał przerośniętego gołębia czy może kruka i, jakby zaczepnie, jakby wesoło, patrzył na naszego bohatera. Na boku ptaka błyszcząca mosiężna plakietka przedstawiająca symbol Gol Trustu – wytłoczonego w metalu przemysłowego golema. W szponach ptaka tkwiła skórzana sakwa zawierająca cienkie, metalowe wizytówki firmy.

- Szukasz pracy? – skrzeknął robot. – My ją dla ciebie mamy. Przyjdź do Gol Trustu! Weseli ludzie, wielkie maszyny, potężne wyzwania, ładne dziewczyny! Żarcik, dziewczyn niewiele, lecz zawsze wesele! Zainteresowany?

Simon uśmiechnął się, a jego zuchwa powędrowała w lewą stronę. Nie mógł ptakowi

odpowiedzieć, ale szybko wystukał:

- *Tak, jestem zainteresowany!*

I wyrysował na ekranie uśmiechniętą twarz.

- Zainteresowany? – powtórzyło ptaszysko.

A to pech, pomyślał nasz bohater. Nie umie czytać. Energicznie pokiwał głową.

- Zainteresowany? – ponowił robot i zaczął już rozkładać skrzydła do lotu.

Wtedy Simon szybko sięgnął do ptasiej sakwy i wyjął jeden z metalowych listków.

- O! Zainteresowany! Życzymy powodzenia i do zobaczenia w Gol Truście!

Dziwadło rozłożyło mechaniczne skrzydła, wysunęło lotki, beknęło manicznym impulsem, który uniósł je nad framugę, machnęło skrzydłami niczym kartami księgi, po czym odleciało popychane magicznymi wyładowaniami, zostawiając za sobą zapach ozonu i Simona trzymającego w ręce wizytówkę.

I właśnie tak – dzięki zabawnej maszynie reklamowej – znalazł Simon pracę.

Nie ma w tym niczego dziwnego, że gdy w Gol Truście zobaczono, co potrafi, zatrudniono go bez większych ceregieli.

Na stanowisko „pracownika szeregowego”, czyli podśrubowego.

Ogrom. To było pierwsze wrażenie, jakie odniósł nasz bohater wchodząc do montowni bloku B. Kolumny o średnicy najmniej trzech metrów podpięły mosiężnymi pniami halę mierzącą od gargantuicznych wrót do platformy monterów po drugiej stronie, ponad trzysta metrów. Po obu stronach stały w rzędach olbrzymie golemy w różnym stadium wykończenia. Pracowały nad nimi automaty, ramiona dźwigów, ludzie i krasnoludy. Buchała para, leciały iskry, huczały młoty. Pomieszczenie wypełniał zgiełk. Ledwo jednak nasz bohater prowadzony przez swojego nowego szefa, śrubowego Alojzego Shmidta, wszedł do wnętrza, rozległ się krzyk w odległej części hali. Coś błysnęło, buchnął ogień i dał się słyszeć mechaniczny ryk, taki, jakiego Simon nigdy nie słyszał: połączenie gromu i syku pary. A potem zawyły potężne syreny alarmowe.

- Dziki golem! – wrzasnął śrubowy, chwycił Simona i odciągnął wstecz.

A Nut patrzył jak zahipnotyzowany, jak maszyna mierząca pięćdziesiąt stóp podrywa obie ręce do góry, jakby nagle zakrzyknęła „huraaa”, zrywa się z prowadnic i świecąc czerwonymi, ognistymi ślepiami, wyrzucając z wysokich kominów obłoki czarnego dymu, bierze wielki zamach i próbuje złapać uciekających we wszystkie strony robotników.

Nagle z góry spadły łańcuchy zakończone magnesami, które z głośnym hukiem wczepiły się w korpus, ramiona i uda potwora. Inne, zakończone hakami i wystrzelone pod kątem, owinęły się wokół rąk i nóg, a oplótłszy je, zahaczyły o inne. Gigant ryknął, obrócił się i próbował je zerwać, ale nie potrafił. Śrubowy zachichotał:

- Ogniwa tych łańcuchów są zrobione z bardzo mocnej stali tnącej. Prędzej się wyciągną, niż pękną...

Potwór przez kilka chwil się szarpał, a potem podłoga zaczęła drżeć i zamieniać się w wielki lej, ze środka którego buchnęło czerwone światło i dym.

- Uważaj teraz, młody – sapnął śrubowy.

Golemy przymocowane do platform montażowych zsunęły się o metr, może półtora, ale opasujące je podpory zatrzymały ten ruch. Dziki golem zerwał swoje stabilizatory i teraz, nieświadom zagrożenia, zaczął zjeżdżać po coraz bardziej stromej podłodze. Pomagały mu w tym przymocowane do sufitowych suwnic łańcuchy, które ściągały go do centralnego, coraz

większego leja.

- No, usmaży się teraz... – syknął Alojzy.

Bestia szarpnęła jeszcze raz, ryknęła, zachwiała i jedna jej stopa osunęła się w czeluść. Za nią poszybowała miednica i druga noga. Behemot trzymał się jeszcze przez chwilę krawędzi, ale wtedy spadła z góry prosto na jego czerep wielka, żelazna kula i zepchnęła go w ogień.

- Iiii po sprawie – skonstatował śrubowy.

Spojrzał uważnie na Simona.

- Nie bój się, młody. Procedura jest w zasadzie automatyczna. Każdy dziki golem, trudno powiedzieć daczego, gdy się buntuje, wyrzuca w górę łapska, wiesz, jak jakaś małpa. To odruch, może im się coś w układach różnicowych chrzani. Rozumiesz, sprawa zero-jedynkowa. Zdrowy golem nigdy tak sam z siebie nie robi bez polecenia. No więc gdy szalona machina wykona ten gest, uruchamiają się trzy rzeczy – łańcuchy, alarm i zapadnia. Pod montownią jest jezioro lawy wysyconej destruktywną, poooooożną magią. Wiesz – śrubowy mrugnął łobuzersko – na wszelki wypadek. Świetny pomysł, stawiać fabrykę na bombie, co? No ale tak jest. Musi być. Golem pod gołym niebem jest prawie niezniszczalny. Tylko w naszej hali, dzięki łańcuchom, suwnicom i zapadni możesz go unicestwić. Można powiedzieć, wiesz, że montownia jest jednocześnie wielką pułapką. No, taka branża. Więc jeśli w ciągu trzydziestu sekund nikt nie podniesie lewara bezpieczeństwa, a są dwa, po lewej i prawej stronie montowni, zapadnia się uruchamia i z frajerem koniec.

Simon mrugnął prawym okiem.

- Zdarza się to naprawdę rzadko. – uśmiechnął się Alojzy. – Sam widziałem trzy takie pokazy. Ale ty zobaczyłeś to podczas pierwszego dnia pracy. To dobry omen!

Śrubowy się roześmiał i klepnął Nuta w lampy na plecach.

Teraz Simon był podmajstrem. Dochrapał się tego stołka pnąc się po hierarchicznych nitach śrubowego, nadśrubowego, młodszego trybowego, trybowego i starszego trybowego, a zajęło to prawie cztery lata ciężkiej pracy. W tym czasie zdążył poznać dużą część firmy i większość pracowników montowni. Jego obecny bezpośredni przełożony, leniwy i dość lekko traktujący obowiązki mistrz Kristoff Lost, szybko się zorientował, że Simon jest bardzo pojętym pracownikiem i chętnie przekazał mu swoje obowiązki, zatrzymując własną pensję i stanowisko rzecz jasna, oraz nie mając zamiaru nadmiernie rozpowszechniać informacji o zdolnościach podopiecznego, bo to zagroziłoby jego stołkowi. Simon nie miał nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Był zadowolony z tego, co miał, poza tym nie bardzo widział siebie jako szefa wydającego dyspozycje innym robotnikom. On i władza? Bez umiejętności mówienia, z jeżowatym akumulatorem na plecach i tą krzywą gębą, którą najchętniej zakryłby maską? Nie, to nie dla niego. Wolał niezależną robotę, w której nie musiał z nikim współpracować, a podmajstrowstwo właśnie coś takiego oferowało.

Jego krzepkie ręce, silne nogi i niski wzrost okazały się zaletami w montowni mierzących pięćdziesiąt stóp golemów. Ochoczo wskakiwał na rusztowania wznoszące się przy wielkich piersiach tych potworów (główny pokład montowni znajdował się właśnie na tej wysokości), wchodził do ich wnętrza, grzebał się w przekładniach i stykach, dotykał swoją „słuchawką” gładkich powierzchni ścian tuż za włazem (jak twierdził, najlepiej się do tego nadawały) i wsłuchiwał się w przedziwne golemie melodie.

Rozumiał te monstra.

Gdy muzyka była basowa, równa niczym bicie serca i lekko rzewna, znaczyło to, że machina jest „zdrowa”. Gdy kwiliła, oznaczała najczęściej luzy na przekładniach, gdy zgrzytała, coś szwankowało w układach logicznych, gdy zaś pojawiały się dysonanse, znaczyło to, że są przesunięcia w stawach. Najgorsze były kakofonie, dysharmonie, jakby golem się krztusił, czy wymiotował, bo one oznaczały kłopoty w parowym sercu potwora, a tam panowały wysokie temperatury, potężne ciśnienia i siły tak olbrzymie, że gdyby choćby tylko jeden tłok eksplodował w obecności Nuta, nie zostałyby po nim nawet plama, bo zmyłaby ją przegrzana para wodna.

Tego dnia nasz bohater otrzymał od Kristoffa Losta wyraźne wytyczne:

- Simon, po rozru zatarły się dyski L jeden trzy Xao trzynastki. Sprawdź to. I nie włącz do Nomisa zero dwa. Chociaż jest skończony, coś tam w tłokach przecieka i wewnątrz jest na razie zaplombowane. Możesz po wierzchu skakać, ale do środka – nie. Zrozumiano?

Simon skinął głową, odwrócił się na pięcie i ruszył do pracy.

Przekładając słowa majstra na zrozumiałą mowę, Nut miał wymienić w dolnej części kręgosłupa kolosa oznaczonego fabrycznym identyfikatorem Xao-13 trzy dyski, które, nie wiedzieć dlaczego, uległy przy pierwszym rozruchu przemieszczeniu. Zwykły mechanik, słysząc takie polecenie, podjechałby od razu windą do lokacji lędźwiowej, trzymając w sakwie gotowe części zamienne, odśrubował kilka płyt, wsadził lewar, podważył poszczególne kręgi i wymienił wadliwe części bez większego zastanawiania się, dlaczego te, które były tam dotychczas, zostały zatarte. Ale Simon nie był głupi. Po latach pracy w Gol Truście wiedział, że przemysłowa machina jest jak organizm, jak system naczyń połączonych. Objaw choroby może się pojawić w zupełnie innym miejscu od jej przyczyny. Kręgosłup golema jest osią i główną kolumną, na którą przenoszą się wszystkie naprężenia głowy i barków podpierających potężne kończyny górne. Szwankować może wszystko od miednicy w górę... i w dół. Bo jeśli któraś ze stóp jest wadliwie skonstruowana, to także może wywołać dysfunkcję stabilizacji.

Dlatego najpierw Simon zanurkował w piersi potwora i przytknął do ściany za włazem swoją słuchawkę. Zamknął oczy, wsłuchał się w szumną melodię giganta i usłyszał skomlenie, tak jakby... bolał go ząb. Odczucie, że coś jest nie tak w obrębie szczęki, było tak silne, że Simon aż się wychylił z piersiowego włazu, żeby rzucić okiem na spód żuchwy golema. Ale z dołu nic nie widział. Wsłuchał się jeszcze raz w melodię i nabrał pewności. Zainstalował słuchawkę w puzdrze pod Komem i wyszedł z piersi golema.

- Panie majster! – chciał krzyknąć do Kristoffa Losta, który rozmawiał przy barierce z drugim mistrzem, ale wiedział, że po pierwsze szef by go nie usłyszał, a po drugie, wiadomo, nie umiał mówić.

Sięgnął do Koma i kilka razy silnie błysnął ekranem. Kristoff znał już ten sposób komunikacji i spojrzał na Simona pytająco. Znajdowali się w odległości niecałych trzydziestu metrów. Wystarczająco dużo, żeby wszelkie litery były dla rozmówcy nie do odcyfrowania. Dlatego Simon, jak zwykle w takich sytuacjach, użył ikon. Najpierw narysował strzałkę w górę i znak zapytania.

Majster wskazał głowę golema i wykrzyknął:

- Na górę?! Do głowy?! Po co?!

Nut oczywiście nie usłyszał głosu szefa, ale poznał, co wykrzykuje, po ruchu ust. Wielu ludzi w Gol Truście umiało to robić. Simon narysował na ekranie głowę i kręgosłup potwora. Powiodł strzałką od czerepu do miednicy.

- Zwariowałaś?! Co ma łeb do dupy?!

Nasz bohater niewinnie uniósł ramiona i krzywo się uśmiechnął. Grymas niesymetrycznej szczęki zawsze rozmiękczał serce Kristoffa. Machnął ręką i krzyknął:

- Dobra! Ale uważaj na siebie! To wysoko!

Dla Simona nie miało to znaczenia. Upaść z rusztowania zawieszzonego na wysokości trzydziestu stóp czy czterdziestu – co za różnica? Śmierć i tak i tak. Podszedł po stalowej podłodze do windy i wcisnął onyksowy przycisk „w górę”. Kabina ruszyła z głośnym sapaniem i zatrzymała się chybottliwie na wysokości obojczyków Behemota, sponad których wystawały potężne kominy. Na razie dym ledwie się snuł. Nut ponownie wcisnął przycisk. Winda ruszyła i znowu z głośnym zgrzytem się zatrzymała, tym razem na wysokości ślepi, na razie ledwo rozjarzonych, prawie czarnych, ale nie do końca. Na dnie wielkich jam wyciętych w metalu jarzyły się ogniki, jakby zapomniane węgle z wielkiego ogniska. Gdyby Nut był w tym momencie odwrócony w stronę majstra, zobaczyłby, jak ten krzyczy:

- Nie patrz mu w patrzały, głupi!

Ale Simon tego nie słyszał i patrzył coraz bardziej zafascynowany, coraz bardziej urzeczony demoniczną siłą emanującą z tych ledwie rozbudzonych ślepi wielkich jak żeliwne wanny. Jak by to było, pomyślał, gdybym zobaczył go w pełni uruchomionego? Czy blask by mnie odrzucił? Przeraził? Powalił? Zahipnotyzował? Pewnie to ostatnie, skonstatował, pewnie to ostatnie... Mimo świadomości zagrożenia, Simon nie odwracał ani zdrowego, prawego oka, ani mniejszego, lewego, uzbrojonego w tulejowate soczewki. Co mi chcesz przekazać, golemie? – myślał. Jesteśmy tacy sami. Obaj niemi, obaj brzydcy. Obaj stworzeni do ciężkiej pracy. Możemy się porozumiewać jękami i wzrokiem. Zatem powiedz mi...

W tym momencie szczęka potwora ledwie zauważalnie drgnęła.

Nut intuicyjnie spojrział na prawy staw jarzmowy, przebiegł rusztowaniem w bok, a potem skręcił w przód, na cienki chodnik wiodący do żuchwy Behemota. Potwór przeciągle jęknął, ale tak nisko i cicho, że usłyszeć to mógł tylko nasz bohater.

Czekaj, pomyślał, czekaj, co tutaj siedzi? Sięgnął ręką w kierunku zębatek poruszających potężną szczęką. Coś tam błyszczało... Tak! Odłamek stali, zapewne odprysk po spawaniu pobliskich rusztowań, utkwiał w przekładni! Simon uchwycił metal przez rękawicę i mocno pociągnął. Nie puszczało. Chwycił metal mosiężną, lewą ręką, zaparł się krótką nogą i wysilił mięśnie oraz siłowniki z całej mocy. Okruch wyskoczył spomiędzy zębów kół i poszybował w dół, przeleciawszy nad ramieniem Nuta.

Udało się, grubasku, pomyślał nasz bohater.

Olbrzym... odetchnął. Tym razem Simon nie musiał się wpinać w jego port diagnostyczny. Wyraźnie odczuł ulgę, jaką wyemanował Behemot. I coś jeszcze. Jakby... wdzięczność.

No już, staruszk, pomyślał i poklepał go po szczęce.

Już? – zdawał się dopytywać golem, nie jak groźny potwór, ale dziecko, które ma nadzieję, że ból już przeszedł.

Już, grubasku, już.

- I jak było, Simon? – spytał majster podczas przerwy na obiad.

Gdy Nut sięgał do klawiatury, Kristoff wsunął w usta skraj potężnego sandwicza. Spomiędzy płatów razowego chleba wystawała sałata, szynka i żółty ser. Lost lubił jeść.

- *Napężenie w szczęce spowodowało lekkie skrzywienie w odcinku szyjnym kręgosłupa... -*

przeczytał odpowiedź podopiecznego.

- Ale co to ma do dysków w części lędźwiowej? – wydukał, żując strawę.

Simon popatrzył przez chwilę na majstra i pozwolił mu samemu rozwiązać zagadkę. W tym czasie sięgnął do miedzianej skrzyneczki, w której przyniósł własne skromne jedzenie: trzy marchewki, rożek pieczonych kasztanów i dwa suche placki kupione na straganie przy stacji kolejki.

- A! – Wykrzyknął Kristof, czym zwrócił uwagę pracowników siedzących za sąsiednimi stołami. – A, spryciarz z ciebie! Skrzywienie w szyi było rekompensowane skrzywieniem w lędźwiach! Wymieniłeś dyski?

Nut skinął głową, a Lost poklepał go po akumulatorze na plecach.

- Dobry chłopak. Będą z ciebie ludzie.

Kristoff był w miarę porządnym człowiekiem, jeśli darować mu typowo ludzką obawę przed wysadzeniem ze stołka i to, że był marnym pracownikiem. Simon uśmiechnął się słysząc pochwałę, ale ważniejszą rzeczą w zamieszaniu, które wywołał tubalny głos majstra, było to, że na chwilę odwróciła się do nich Jessica, usadowiona do nich plecami. Prześlizgnęła się niewidzącymi oczami po krzywej twarzy Simona, ledwie zauważalnie uśmiechnęła się do Kristoffa i wróciła do jedzenia. Nut posmutniał.

- Znowu nic? – szepnął mu do ucha Hassan siedzący tuż obok niego i pałaszujący zwinięty placek, z którego tulei zapach czosnku rozchodził się jak dym z komina uruchomionego golema. – I znowu nic, Romeo. No, jak nic, to nic. Pójdiesz wieczorem na piwo?

- *Dzisiaj nie* – odstukał Simon.

- Dlaczego?

- *Mam nadgodziny.*

- Bez sensu, chłopie! Jest święto piwa w Seven Oaks! Festiwal Małp! Wszyscy będą się wygłupiać!

Hassan przewrócił oczami i zrobił zabawną minę.

- *Nie lubię tej dzielnicy.*

- Ale co tu będziesz robił? Nawet stróżów dzisiaj nie będzie, montownia opustoszeje! Cały blok B idzie na zabawę!

- *Nie boją się tak... nikogo nie zostawiać?*

- Będą automaty. Zresztą kto ukradnie golema?

Hassan roześmiał się, a Simon krzywo i dobrotliwie się uśmiechnął.

- *Baw się dobrze, Hassan.*

- Czasami mam wrażenie, że wolisz siedzieć w Gol Truście niż w domu.

Nut spojrział na Hassana zdziwionym prawym okiem. Błysnęła mosiężna krzywizna czerepu zakrywającego lewą stronę głowy.

- Przepraszam – szepnął Hassan.

Wiedział, że Nut mieszka w nędznej kawalerce zawierającej stół, krzesło, łóżko, biurko, trochę skrzyń z częściami do dłubaniny, gdy Simon miał na nią siłę, generator do uprząży i nic więcej. Nic więcej. W Gol Truście robił to, co kochał. Otaczały go monumentalne dźwigary, podpory i kolumny, które razem tworzyły coś na kształt świątyni mechanizacji, wszędzie unosiły się sakralne niemal zapachy i dźwięki, które pieściły jego zmysły. W tak zwanym domu czekał smutek, zawodzenie wiatru, mgła i samotność.

No i w domu nie było Jessiki.

Dziwnym zrządzeniem losu dziewczyna też tego dnia dostała nadgodziny. Krzątała się przy Nomisie-02, w pobliżu jego bioder. Klęła przy tym i złościła się, jakby maszyna była winna, że to jej szef wyznaczył bezsensowną, dodatkową robotę w dzień festiwalu. Simon obserwował, jak zwinnie wspina się po płytach potężnego pancerza, zagląda w szczeliny między nimi, przeświewa nity i coś pisze w notatniku, który, podobnie jak Kom Simona, miała przypięty do lewego przedramienia. W pracy nie nosiła białej koszuli, gorsetu ani spódnicy. Była ubrana w zgrabny, czarny kombinezon golełaza. Tak nazywano wspinaczy, którzy sprawdzają szczelność poszycia Behemotów. Balansowała na linach jak prawdziwa akrobatka. Simon w tym względzie trochę ją przypominał. Też był skoczny i zwinny, ale wątpił, czy potrafiłby tak, jak ona i wielu jej podobnych, doświadczonych pracowników, rozpędzić się i dla samej zabawy, dla samego popisu, odbić ze sprężynowanego pokładu przeznaczonego specjalnie do tej akrobacji i poszybować wprost na korpus golema, tam chwycić się klamer i wpiąć karabińczyk. Ile razy Jessica wykonywała tę akrobację, jego serce truchlało.

Ale zawsze jej się udawało.

Gdy skończył smarować stawy barkowe Xaola-13 i uznał, że wykonał już wszystkie zadania, wypiął klamrę zabezpieczającą go przed upadkiem i wszedł na rusztowanie. Zobaczył wtedy, jak Jessica, znajdująca się na wypustce głównego pokładu montowni prowadzącej do rusztowania swojego golema przykłęka na jedno kolano, by się zrównać wzrostem z... kto to jest?! Naprzeciwko Tannhauserówny stał bardzo drobny człowieczek na misternie rzeźbionej, złotej platformie poruszającej się na ośmiu pajęczych odnóżach. Był wzrostu niziolka, ale o wiele drobniejszy, wyglądał zupełnie jak zabawka. Tak, to był gnom, ubrany niezwykle szykownie: złote pantofelki, czerwone pantalony z lampasami, biała koszula z żabotem, czerwony płaszcz lamowany złotem, którego poły były tak długie, że trzymały je unoszące się za nim w powietrzu sterowce wielkości głowy dziecka, zapewne kierowane jakimś magicznym zaklęciem, bo płaszcz wędrował za gnomem w dokładnie takim tempie, w jakim przemieszczała się z lewa na prawo i z powrotem platforma, na której jegomość stał. Przez chwilę Simonowi wydawało się, że dziwny ten obywatel ma tęczę w rękach, tak bowiem błyskały rubiny, akwamaryny, topazy i szafiry zatknięte w podługowate złote pierścienie obejmujące wszystkie paliczki palców drobnych jak zapalki. Twarz miał gnom arystokratyczną, gładką, ozdobioną drobnym, czarnym wąsikiem. Posmarowane brylantyną włosy ułożone były w fantazyjną falę, a jeden z kosmyków, specjalnie zaczesany, spadał na jasne czoło. Za jegomościem stały cztery potężne złote automaty, z których kolczystych grzbietów wystawały podługowate miecze. Tak. To z pewnością był książę Hans von Grabb, słynny spadkobierca majątku von Grabbów, gnomi właściciel Gol Trustu! Ale co on robi w montowni?! Simon nie widział go nigdy i nigdzie na terenie fabryki, ani w obszarze biurowym, ani w podziemiach, ani tym bardziej tu! Nasz bohater zamarł i wpatrzył się w usta gнома i Jessiki, by zrozumieć, o czym mówią.

- Podobno w parowych tłokach maszyny, która za tobą się znajduje, wykryto jakieś nieszczelności? – zapytał gnom, wskazując rączką wielkiego golema.

- Tak, mości książę.

- Nie nazywaj mnie tak, moja droga, „proszę pana” wystarczy.

- Tak, proszę pana.

- Rozumiesz, śliczna panno, że ten właśnie golem, „zero dwójka”, jak go nazywacie, jest maszyną wyjątkową...

Simon uniósł brwi. Nie miał jeszcze okazji się do niego podpinać, bo potwór podjechał do

platformy dzisiaj rano, ale dlaczego miałyby być wyjątkowy? Z zewnątrz wyglądał jak wszystkie inne...

- Tak, proszę pana.

- Należć będzie do rzadkiego klienta, więc należy go naprawić.

- Tak, proszę pana.

- I cóż?

- Czy mogę zadać pytanie?

- Oczywiście, moja droga.

- Czy nie może tam wejść wykwalifikowany personel ubrany w ochronne pancerze? Jestem zwykłą goleżką, mój skórzany kombinezon nie ochroni...

Gnom przerwał jej ruchem rączki:

- Czy nie jesteś mi czegoś winna, moja panno?

- Oczywiście, księżę... – Jessica zerknęła na swoją lewą, sztuczną rękę.

- Ta proteza kosztowała równo trzydzieści tysięcy księżyców. trzydzieści tysięcy plus instalacja, razem trzydzieści pięć tysięcy, moja panno. Czy kiedykolwiek prosiłem cię o zwrot tych pieniędzy?

- Ależ nie, księżę, musiałabym pracować...

- Dziesięć, piętnaście lat, prawda? I nic w tym czasie nie wydawać. Czy kiedykolwiek prosiłem o zapłatę w innej formie, choćby... – Gnom przeciągnął wzrokiem po zgrabnej sylwetce dziewczyny – ...w naturze?

Dziewczyna przytknęła palec do ust:

- Także nie, drogi księżę, nie spodziewałabym się...

- Otóż właśnie. Zatem umówmy się, że... ty wejdiesz do środka i sprawdzisz, co tam szwankuje, a ja zapomnę o twoim długu. Teraz wybac, ale śpieszę na przyjęcie. Wy macie swój festiwal, czy jak to tam się nazywa, a ja swoje zobowiązania.

Pajęcza platforma, na której stał von Grabb, obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, mikrosterowce trzymające płaszcz księcia zgrabnie przemieściły się za jego plecy, a on sam arystokratycznie ziewnął.

- Ale księżę! – zawołała za nim dziewczyna, lecz właściciel Gol Trustu albo udawał, albo rzeczywiście jej nie słyszał. – Przecież ja się nie znam na tych rzeczach... – dokończyła Jessica, opuszczając głowę.

Orszak odchodził w stronę odległego wyjścia, a Tannhauserówna wciąż stała na platformie z bezradnie opuszczonymi rękami. W tym czasie Simon już zjeżdżał windą, by czym prędzej dostać się do rampy wiodącej do zero dwójki. Cały czas obserwował Jessikę, która odwróciła się niechętnie w stronę behemota, zmierzyła go nienawistnym wzrokiem i ruszyła w stronę zapieczetowanego piersiowego wjazdu.

- Nie! – chciał krzyknąć Simon wciąż uwięziony w windzie, ale przecież nie potrafił. Mógł jedynie ryknąć, a i tak dziewczyna by go nie usłyszała.

Sięgnął do Komu i kilkakrotnie silnie błysnął ekranem, ale goleżka tego albo nie widziała, albo dostrzegła kątem oka, lecz uznała, że to po prostu wyładowania lampy manicznej.

Podeszła do wjazdu. W tym momencie winda Simona dotarła do głównego pokładu montowni. Nut ruszył pędem po rampie do głównej części platformy, cały czas obserwując dziewczynę, która już zrywała plomby. Simon aż pochylił się na wirażu, pędząc w stronę Nomisa. Cały czas błyskał swoim ekranem, ale na próżno. Jessica właśnie odmykała ciężkie, okrągłe wrota. Simon, pędząc rampą prowadzącą do golema widział, jak Tannhauser sięga do ekranu przedstawiającego

wykresy ciśnień w tłokach...

Coś błysnęło, syknęło i wewnątrz golema zasłonił wielki obłok pary wodnej.

Simon ryknął bełkotliwie, jego szczeka wykrzywiła się jeszcze bardziej niż zwykle, zebrał wszystkie siły w krótkich, muskularnych nogach, wybił się i wpadł prosto we właz. Para na szczęście zdążyła się już schłodzić. Wymacał prawą ręką podłogę i natrafił na nogę dziewczyny. Wyciągnął ją ze środka na rampę, a potem chwycił na ręce i wyniósł dalej. Dziewczyna otworzyła oczy. Nie wyglądała na ranną.

- Postaw mnie – szepnęła. – Postaw. Nic mi nie jest.

Nut posłuchał i ostrożnie postawił ją na stalowej podłodze. Zadał głowę, żeby spojrzeć jej w twarz i nie patrzeć na bujny biust, na którego wysokości znajdowały się jego oczy. Uniósł Kom i wystukał:

- *Nic cię nie boli?*

- Nie. Muszę tam wrócić.

- *Czekaj! Co się stało?*

- Uszczelka przy mierniku. Nic groźnego. Ogłuszył mnie skok ciśnienia. I oberwałam w tył głowy, ale nawet nie krwawię, widzisz?

Odwróciła się do niego tyłem i uniosła koński ogon. Rzeczywiście, nie było śladu krwi.

- Dziękuję, Simon za pomoc, ale mam sprawę do załatwienia.

Nut zamachał rękami, a potem wystukał:

- *Ja się na tym znam. Przecież wiesz. Pozwól mi to zrobić.*

Dziewczyna zagryzła wargi.

- Nie mogę. Obiecałam księciu.

- *Nie ma go tutaj.*

Jessica roześmiała się.

- O, grubo się mylisz, podmajstrze. W całej fabryce są jego mechaniczne gołębie.

Nagle pobladła i osunęła się na podłogę. Nut przyskoczył do niej, uniósł ją i pobiegł do pustej kantyny.

Dopiero tam, przy stole, odzyskała przytomność. Bolała ją głowa. Piła zbożową kawę, którą naprędce przygotował, ocierała spocone czoło i mężnie usiłowała udowodniać całemu światu, że nic jej nie jest. Simon siedział naprzeciwko niej, a w jego osłoniętej mosiężnym czerepem głowie mieszały się uczucia szczęścia i troski, uniesienia i zmartwienia, spełnienia, że dziewczyna odzywa się do niego, w i d z i g o i z n a j e g o i m i ę i lęku, że stało się jej coś gorszego, niż tylko wstrząśnienie mózgu.

- *I jak?* – wystukał na klawiaturze, ozdabiając słowa kilkoma zgrabnymi ornamentami.

- Trochę lepiej. Psiakrew, musiałam się trzasnąć mocniej niż myślałam.

- *Jeszcze trochę odpocznij.*

Spojrzała mu w oczy. Prawe i lewe.

- Dziękuję, Simon.

- *Za co?*

- *Za to, że mnie wyciągnąłeś.*

- *Ty... znasz moje imię?*

Parsknęła.

- Chyba każdy w montowni zna Simona Nutę, genialnego słuchacza golemów, chociaż

Kristoff zachowuje się tak, jakbyś należał tylko do niego i stara się, że tak powiem, ograniczać twoją popularność.

Nasz bohater wybałuszył prawe oko, a jego szczeka uciekła w bok ze zdziwienia.

- „*Genialnego*”?

Jessica pokręciła głową:

- Nie udawaj, że nie wiesz.

Simon przelknął ślinę. Jego twarz spąsowiała. Spojrzał w dół i zaczął drżeć. Dziewczyna przestraszyła się:

- Co się stało? Simon?

- *Nic. Nic. Nie przywykłem...*

Jessica spojrzała na niego ze współczuciem. Wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać po głowie ale po chwili wahania cofnęła ją. W tym czasie Nut wystukał:

- *Miałem wrażenie... że jestem dla ciebie niewidzialny.*

Tannhauser wypuściła nozdrzami powietrze, aż zaświszczało. Jej tkliwość nagle uleciała, jakby ktoś odciął ją nożem i wyrzucił na śmietnisko.

- Faceci mają tyle wrażliwości, co golem. Jak myślisz, co widziałam patrząc na twoją rękę? No?

I w tym momencie Simon zrozumiał:

- *...Swoją rękę?*

- Dokładnie, panie detektyw. Twój widok uzmysławiał mi moje kalectwo. Dlatego wołałam nie patrzeć.

Nut znowu poczerwieniał.

- Przepraszam – szepnęła Jessica – przepraszam. To było okrutne.

- *Nic się nie stało. Jestem kaleką.*

- Tak jak ja. To nie czyni nas gorszymi ludźmi.

- *Uważam, że twoja proteza jest piękna.*

Jessica roześmiała się i jakby rozluźniła. Łyknęła kawy ze stalowego kubka.

- Jeszcze nie słyszałam takiego komplementu. Mogę się odplacić?

Nut znowu wytrzeszczył oczy.

- Masz silne ręce. Zawsze chciałam takie mieć.

Simon bezgłośnie się roześmiał. Nie lubił się śmiać na głos, bo brzmiało to bełkotliwie. Jego szczeka otworzyła się i wykrzywiła, a plecy zaczęły podrygiwać.

- *Jak to?* – wystukał.

- Golełazom potrzebne są mocne ramiona i palce. Moje są niezłe, ale nie położyłabym cię na rękę.

- *No nie. A jak to się stało? Jeśli mogę zapytać...*

Simon wskazał palladową dłoń Jessiki. Dziewczyna westchnęła.

- Miesiąc przed twoim przybyciem... Dlatego kojarzę tę rękę... Rozumiesz, z tobą...

Wisiałam na uprzęży i sprawdzałam onitowanie. – Jessica spojrzała w dal, zupełnie jakby za plecami Simona otworzyło się okno w przeszłość, przez które mogła obejrzeć jeszcze raz to, co minęło. - Pieprzony gołąb... coś mu się zepsuło w skrzydle, czy czymś tam innym. Spadł mi na kłamię. To bydlę waży ze cztery kilogramy. Masa razy prędkość... Rozumiesz? Pękł karabińczyk, zaczęłam lecieć w dół ze stalową liną owiniętą wokół ręki. Tuż nad ziemią lina szarpnęła i ucięła mi przedramię, ale to uratowało mi życie. Ponieważ gołąb należał do księcia, poczuł się zobowiązany i podarował mi to... coś.

Jessica stuknęła metalowymi palcami w stalowy blat stołu jadalnego.

- A teraz Grabb zapomniał, że to jego ptaszysko mi to zrobiło i żąda...

- *Nie chodź tam. Ja to zrobię.*

- Muszę.

- *Nie jesteś w stanie. A w ogóle, o co chodzi z tym golemem?*

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie wiedziała.

- *I dlaczego ty, a nie saperzy?*

Znowu wzruszenie ramion.

- Simon. Ja muszę mieć tę robotę. Wychowuję trójkę młodszego rodzeństwa. Nie mają nikogo. Tylko mnie. Jeśli będę nieposłuszna, von Grabb mnie zwolni. Muszę tam wejść.

- *Zgoda. Ale ksiązę nie powiedział, że nie może tam z tobą wejść ktoś jeszcze?*

- Noo... nie powiedział.

- *Zatem wejdziemy tam razem.*

Ruszyli pół godziny później, gdy dziewczynie przestało się kręcić w głowie. W hali było pusto, ale wciąż huczała od pracy automatów. Podchodzili do giganta jak do złowrogiego wulkanu, który w każdej chwili może wybuchnąć. Simon starał się zajrzeć w oczy potwora, ale były zbyt wysoko i kąt był nieodpowiedni. Widział tylko cienkie kreski wycięć w czerepie. Gdy byli przy włączu, Nut wystukał: - *Ja pierwszy, dobrze?*

Dziewczyna skinęła głową. Nasz bohater ostrożnie przekroczył próg wjazdu, pozwolił, by weszła dziewczyna i zagroził jej drogę.

- *Najpierw go posłucham. To może wcale nie być...*

Pokręcił głową.

- *Zbyt skomplikowane. Po prostu mi zaufaj.*

Jessica potrząsnęła czarną grzywką i na wszelki wypadek nasunęła na oczy gogle, a twarz osłoniła skórzaną maską.

- Gotowa.

Simon wyjął słuchawkę i przytknął ją do ściany.

I jego duszę zalała muzyka inna od wszystkich, które dotąd słyszał. Była głośna, podniosła, „wzorzysta”, pełna inkrustacji i warstw, zupełnie jakby Nomis-02 był bardziej skomplikowaną maszyną od pozostałych. Melodia miała rytm, a więc maszyna była raczej zdrowa... tak, brak jakichkolwiek dysonansów czy zgrzytów... Ale przecież uszczelka, ona powinna była zostawić jakiś ślad... Simon skupił się i wniknął między tony melodii... Jest. Jest. Lekkie stukanie pod koniec każdego taktu. To ona. To ona i... nic więcej? Znowu zanurkował pomiędzy dźwiękami w poszukiwaniu usterek, ale nic nie znalazł. Jedynym świadectwem tego, że zero dwójka była inna, była sama melodia.

Nut niechętnie odsunął słuchawkę od ściany.

Gdy jego uszy zalał typowy hałas montowni, poczuł... pustkę. Wyjątkowo dojmującą. Chociaż hala huczała, nagle cała ta gargantuiczna przestrzeń wydała się Simonowi pozbawiona znaczenia, papierowa, nieistotna. Istotna była tylko melodia, którą tak gwałtownie przerwał. Nie mogąc się powstrzymać, przytknął miedziane kółko jeszcze raz do gładzi. I znowu popłynęła melodia golema. Włała się w jego żyły, w jego tkanki i poczuł się jakby był golemem, jakby on i maszyna byli jednym. Ta melodia przemawiała do niego, mówiła: „Witaj Simonie, czekałem na ciebie od tak dawna, o d t a k d a w n a , rozgość się. Herbata jest gorąca, a ciasteczka świeże”.

Nut zamrugał. Coś go pchało. Coś stukalo tak mocno, że słuchawka odsunęła się od ściany.

To Jessica stukala go w ramię. O ile jeszcze przed minutą była najukochańszą istotą chodzącą po Urdzie, teraz miał ochotę na nią krzyknąć. Jak mogła przerywać tak piękny sen?! Stan złości jednak trwał tylko chwilę. Znowu widział czarnowłosą dziewczynę, co prawda jej oczy zasłaniały gogle, a usta maska, ale za chwilę zdjęła i jedno i drugie obdarzając go słodkim widokiem swojej twarzy.

- Wymieniłam tę uszczelkę, gdy byłeś wpięty. I nagle odsunęła się ściana... Zobacz – szepnęła pokazując koniec korytarza serwisowego.

Był tam... właz. U golemów nie ma niczego podobnego. Korytarz kończy się oscylacyjnym ekranem manicznym informującym o ciśnieniu w kotłach. Nie ma innych pomieszczeń.

- Co to jest? – spytała. – Kto to zamontował?

Nagle wejściowy właz sam się z hukiem zatrzasnął, a w małym pomieszczeniu zamajaczyła eteryczna, utkana z wyładowań rozchodzących się od ścian pomieszczenia, postać smukłego elfa, którego twarz była ukryta w cieniu wielkiego ronda kapelusza.

- To nieważne, moja miła.

- Kim... Kim jesteś? – spytała przestraszona.

- Istotne jest, kim ty jesteś, Jessico Tannhauser.

- Nie rozumiem?

- Otwórz te drzwi, kochaniutka.

- Nie, dopóki mi pan nie powie...

Ze ścian wystrzeliły błyskawice i uderzyły w dziewczynę. Ta zgięła się w pół i krzyknęła z bólu, a Simon zawył razem z nią.

- *Przestańcie! Przestań, panie!* – wystukał na klawiaturze.

- No właśnie – eteryczny elf podrapał się w podbródek. – Kogo my tu mamy? Niziołek? Za mało czochraty. I bez bokobrodów. Za wysoki na niziołka. Krasnolud?

Simon wystukał:

- *Jestem człowiekiem.*

Elf się roześmiał:

- Chyba tylko z nazwy, przyjacielu, tylko z nazwy. No, ale żarty na bok. Wchodzisz, panno, czy nakłonić cię jeszcze raz?

- Tak, tak – stęknęła Jessica, złamana bólem – wejdę, oczywiście, wejdę...

Nut patrzył bezradnie, jak dziewczyna, kuśtykając, wymija go i podchodzi do wewnętrznego wjazdu. Chciał napisać „nie rób tego”, albo „ja to zrobię”, ale zdał sobie sprawę, że jest, podobnie jak ona, ubezwłasnowolniony. Ten elf, ten zacieniony, eteryczny demon, trzymał ich w szachu.

Dziewczyna stanęła przed wielkim kołem. Odwróciła się niepewnie.

- No dalej, śliczna – ponagliła zjawą. – Nie każ mi czekać.

- Co tam jest? – spytała.

- Oczywiście niespodzianka, czyli, zgodnie z definicją, coś, czego się nie spodziewasz. Tak jak w porzekadle: bombonierka, czekoladki, rozumiesz...

Gdy dziewczyna wciąż się wahała, ze ścian wystrzeliły błyskawice. Jęknęła i osunęła się na ziemię. Simon przyskoczył do niej, ale jego także poraziło wyładowanie. Zamigotały lampy na akumulatorze, siłowniki lewej ręki zamarły. Nut bełkotnął z bólu i opadł na kolana. Miał wrażenie, że błyskawice pokroiły mu wątrobę, nerki i jelita, że krwawi w środku.

- Dalej, szkoda czasu – zachęcił elf.

Jessica podniosła się z trudem. Płytko odetchnęła, stęknęła i chwyciła koło. Krzywiąc się z

bólu, zakręciła nim. Usłyszeli metaliczny szczęk odskakującej zapadki. Dziewczyna spojrzała na Simona, po czym z wahaniem pociągnęła skrzydło i uchyliła ciężki właz. W pomieszczeniu, które było za wrotami, rozjarzyło się czerwone światło i wydobyło z mroku fotel, dźwignie, puste ramy ekranów...

- Co to jest? – spytała Tannhauser.

- Och, przecież to proste, moja miła. Sterówka. A ty jesteś pilotem tego oto golema.

Jessica spojrzała na uplecioną z wyładowań zjawę:

- Ależ to niedorzeczne! Golemy nie mają pilotów!

- Ten ma. Zostałaś do tego celu specjalnie wyznaczona. Rozumiesz, ja nie mogę dotykać stali, tym bardziej żelaza, a to bydlę posiada go bardzo dużo. Tym bardziej nie mógłbym dotknąć dźwigni sterującej, bo zawiera tak skondensowaną magię, że moje delikatne opuszki nie wytrzymałyby stężenia... Natomiast twoja ręka, twoja lewica, nadaje się do tego doskonale. Rozumiesz?

- Jak to: „moja lewica”?

- Jest z palladu, prawda?

- Ale dlaczego lewa ręka?

- Znasz się na magii, miła? O, biedactwo, widzę, że nie. No więc lewa... bo tak. Wystarczy?

- I dlatego tylko mam zostać pilotem golema? Że miałam wypadek?

Elf zachichotał.

- Nie, złociutka. Zostałaś pozbawiona ręki, b o m i a ł a ś n i m z o s t a ć.

Oczy Jessiki otworzyły się szerzej, a jej usta rozwarły się w niemym przerażeniu. Zarówno ona jak i Simon stali nieruchomo, próbując zrozumieć, co przed chwilą powiedział tajemniczy nieznajomy.

- Co? To nie był wypadek? – spytała wreszcie Jessica.

- No. Dotarło, jak widzę. Oczywiście, że nie. Od początku wykazywałaś doskonale predyspozycje do bycia pilotem. Brakowało tylko jednego szczegółu...

- Ale jakie predyspozycje? Nie znam się na...

- Pracujesz w Gol Trust, czyż nie? Znasz się.

- Jesteś potworem! Obaj jesteście potworami! Książę o tym wiedział?

- Jakże inaczej jego gołąb mógłby spaść na twoją klamrę? Nie tylko on wiedział. Sylvester de Mello, Technomag Gol Trustu także, no, ale to szczegóły niemające teraz znaczenia. Dostyc tych pytań. Wchodź, moja pani. Panu niziołkowi już dziękujemy.

Właz na zewnątrz golema otworzył się. Widząc to, Jessica stężała.

- A jeśli ucieknę? – spytała.

- Nie zdążysz. Błyskawice, które już ci zademonstrowałem, spalą cię na popiół. Hej, mości niziołku, już, fora, zmykaj, pókim dobry.

- Ale dlaczego? – odezwała się dziewczyna – Dlaczego to wszystko?

- To ci wyjawię dopiero, gdy zasiądziesz w fotelu. Zaznaczę tylko drobny, ale być może istotny fakt: gdy to zrobisz, rozumiesz, posadzisz swoje jestestwo na tym... hm... tronie, już nigdy z niego nie wstaniesz.

Jessica pobladła. Jej oczy rozszerzyły się, a usta wykrzywiły w przerażeniu.

- Zostanę tam na zawsze?!

- Cokolwiek to znaczy w ludzkim tego słowa rozumieniu.

- Nie, nie chcę!

- Jessico, nie masz wyboru...

- Zawsze jest wybór!

Elf roześmiał się. Cień kapelusza przesunął się nieco w górę i zarówno Simon jak i ona mogli zobaczyć jego wąskie, złośliwe usta.

- Śmierć? Jesteś na nią gotowa?

- Tak, jestem gotowa!

Dziewczyna już się prężyła do skoku, gdy zatrzymał ją Simon.

- *Ja ją zastąpię* – wystukał pospiesznie i spojrzał na zjawę.

Elf patrzył na napis Komu i przez chwilę milczał. Jego usta to pogardliwie się wykrzywiały, to kąćki szły w górę, by przybrać formę sardonicznego uśmiechu.

- Mości niziołek? – spytał powoli.

- *Zastąpię ją. Też mam sztuczną lewą rękę. Mosiężną, ale mocną. I znam się na maszynach.*

Elf chrząknął znacząco.

- Ale co ci się stało, niziołku? Jesteś gotów poświęcić się dla kobiety, która nigdy na ciebie nie spojrzała?

Jessica skierowała zdziwiony wzrok na Simona, a on na nią.

- Co jest ci winna? – dopytywał się elf. – Masz jakiś dług? Przecież to obca istota, niewiele zresztą warta...

- *Mylisz się* – wystukał Simon. – *Jest warta wszystkich bogactw świata.*

Jessica spojrzała na niego zdumiona.

- *Kocham ją.*

Dziewczyna otworzyła usta, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Wreszcie stuknęła się pięścią w piersi, jakby tkwiła tam jakaś przeszkoda uniemożliwiająca mówienie i wyszeptala:

- Nie, Simon, nie rób tego, na pewno jest jakieś wyjście...

Nut pokręcił głową i krzywo się uśmiechnął.

- *Dobrze wiesz, że nie ma. Spali nas. Mnie, ciebie, oboje. Jeśli współpracuje z Grabbem, nikt nam nie przyjdzie z pomocą.*

- Simon...

- *To nic, to nic...*

- Co za wzruszająca scena – elf rozciągnął cienkie usta w drwiącym uśmiechu – niziołek wyznaje miłość kobiecie, ona zdziwiona, on onieśmielony, och, szkoda, że nie wziąłem fotokopu, nagrałbym to i pokazywał dzieciom...

Jessica spojrzała z nienawiścią na eteryczną postać.

- Kim jesteś, do diabła?

- Nie masz prawa zadawać pytań, dziewczyno. Niziołku. Sprawdziłem twoją aurę. Ze zdziwieniem stwierdzam, że nadajesz się na pilota tej maszyny. Więc jeśli rzeczywiście chcesz zastąpić pannę Jessicę Tannhauser z własnej, nieprzymuszonej woli...

- *Tak* – pospiesznie wystukał Simon. – *Chcę.*

Elf ziewnął i przytknął do ukrytej w cieniu twarzy haftowaną chusteczkę.

- No niech będzie. Niech będzie. Trochę to niespodziewane, ale lubię niespodzianki. Tak mało zaskoczeń w tym monotonnym, szarym życiu... Zatem panno Jessico, proszę opuścić pomieszczenie, a pana niziołka zapraszam, hę, zupełnie jak cyrulik chorego na ból zęba, na fotel...

Tannhauser stała przed Simonem i patrzyła mu prosto w oczy, a on, zadarłszy głowę, patrzył w jej śliczną twarz.

- *To nic, Jessico, to nic* – wystukał. – *Ja i tak do niczego się nie nadawałem...*

- Nie mów tak...

- Tik, tak, tik, tak – wtrącił się elf. – Nie chcę wam przerywać schadzki, a w zasadzie przeciwnie, chcę to zrobić. Wystarczy tych ceregieli.

Ze ścian znowu strzeliły pioruny i poraziły oboje. Simon skrzywił się z bólu, a Jessica ugięła kolana i stęknęła. Tortura była nie do zniesienia, rozsadzała głowę i oczy. Nut miał wrażenie, że pół sekundy wyładowań dłużej i straciłby przytomność.

- *Idź już. Idź.* – wystukał zdrętwiałymi palcami.

- Simon... – stęknęła Jessica wyciągając do niego rękę.

- *Idź. I pamiętaj o mnie.*

Dziewczyna spojrzała mu głęboko w orzechowe prawe oko, dopiero teraz widząc, jak jest wyraziste i pełne odcieni. Dopiero teraz zobaczyła, że w tym dziwnym, krzywym człowieku, jest piękno. Zawsze było widoczne. I zawsze skierowane było wprost na nią. A ona tego nie dostrzegała.

Wychyliła się i ucałowała go w prawy policzek.

A potem w czoło.

I na końcu w powiekę.

I z obu oczu Nuta popłynęły łzy.

Bo spełniło się jego marzenie.

- Żegnaj Simon. Nigdy cię nie zapomnę – wyszeptała Jessica, podniosła się i nie odwracając się już, wstydząc się swojej decyzji, wybiegła przez właz golema.

Ciężkie, okrągłe drzwi zatrzasnęły się za nią, a Simon nabrał w pierś wielki haust powietrza.

Teraz był gotów na wszystko.

Na to chociażby, by rozerwać świat na strzępy.

- Co za duch – pochwalił elf.

Nut odwrócił się w stronę sterówki i zmierzył fotel wzrokiem.

- *Nie będzie pasował do moich pleców* – wystukał.

- *Zaradzimy...*

Na mosiężnym oparciu pojawiły się rysy. Okazało się, że mebel nie jest wykonany z litego kawałka metalu, ale bardzo wielu drobnych elementów. Na oczach Simona oparcie przemorfowało niczym talia kart i za chwilę mebel był tak ukształtowany, by plecak Simona miał się gdzie zmieścić. Nut podszedł powoli i usiadł na fotelu.

- Ujmij drążek sterowniczy, Simonie Nut.

Nasz bohater spojrzał na podługowaty kształt wystający ze środka podłogi. Był bogato rzeźbiony, a głowica przedstawiała mordę diabła. Niewiele myśląc ujął ją metalową dłonią. Poczul, jak w golemie budzi się nieznana, magiczna moc. Jak wszystkie podzespoły potwora wypełnia egzotyczna energia, poczul, jak ta energia zaczyna również wnikać w niego, mrowić w końcówkach palców i na czubku nosa...

Właz do sterówki się zatrzasnął, a nogi i tułów pilota zostały oplecione grubymi metalowymi kłamrami, mocując go na stałe do siedziska. Nut stał się więźniem. Nie miał czasu, by przemyśleć wszystkie konsekwencje tego faktu, ale jedna myśl, zapewne wywołana starymi przyzwyczajeniami, wypłynęła na wierzch.

- *Jednego nie przewidziałeś, mości elfie* – wystukał.

- Czegóż to, Simonie? – uśmiechnęła się zjawą, która wniknęła do wnętrza sterówki i rozświetlała jej czerwone wnętrze niebieską aurą.

- *Za kilkanaście godzin mój akumulator się wyczerpie i nie będę mógł się z tobą*

komunikować, moja lewica zaś osłabnie.

- Och, doprawdy? Hm. To niedobrze.

Ze ściany po lewej stronie wysunęła się mechaniczna łapa i cicho rżąc przekładniami wyjęła porcelanową, ciężką wtykę z haka przy przedramiennej prowadnicy Simona, po czym podłączyła ją do gniazda w ścianie. Takiego samego trójkątnego gniazda, jakie posiadał jego cenny generator.

Nut uniósł brwi. Skąd we wnętrzu golema gniazdo pasujące do tej wtyczki?! I taka łapa, zupełnie jakby specjalnie skonstruowana do tego, by chwytać za łamane miedziane ramię przesyłające maniczną energię do akumulatora? Krzywa twarz Simona wygięła się jeszcze bardziej. Nasz bohater rozejrzał się po sterówce, jakby zbyt niskiej dla normalnego człowieka... Wyciągnął ręce do mosiężnych dźwigni, lewarów, kamiennych przełączników i guzików, zamontowanych na panelach będących przedłużeniem podłokietników fotela. Wszystko było idealnie dopasowane do zasięgu jego ramion...

I nagle zrozumiał.

A gdy zrozumiał, coś odezwało się w jego mózgu i przebiegło po kończynach niczym macki ośmiornicy.

- *Tak* – odezwał się głos w jego głowie, a usta elfa pozostały nieruchome, złośliwie uśmiechnięte. – *Tak, spryciarzu. Ten golem od początku miał być twój. Ale widzisz, magia, którą ożywiłeś, dotykając głowy demona, mogła być obudzona tylko wtedy, gdy ktoś sam, z nieprzymuszonej woli tego chce. Jessica nie chciała i nic by mi nie przyszło z jej usług. Była przynętą, wabikiem, a ty po prostu chwyciłeś haczyk.*

- *Wiedziała?* – odparł Simon w myślach i, paradoksalnie w tej sytuacji, z niejaką ulgą odkrył, że wreszcie może... mówić.

- *Ach, nie. Nie jest okrutna, tylko po prostu naiwna.*

- *Ta intarsja w moim mózgu...*

- *To artefakt kontrolujący. Teraz mam nad tobą władzę. Ja wydaję rozkazy, ty słuchasz.*

- *Czyli mój ojciec, matka...*

Elf ostentacyjnie ziewnął i wykonał taki ruch dłonią, jakby przewracał karty książki, która znajdowała się poza zasięgiem wzroku Simona.

- *Usunięci, gdy okazali się zbędni.*

- *Belisarius...*

- *Za bardzo interesował się twoim wzrostem, jak widzisz, dostosowanym do tej sterówki, oraz intarsją.*

- *Ale to przecież Luigi... długi...*

Elf machnął ręką z lekceważeniem:

- *Tataglia to pionek nieświadomy swojej funkcji. Podobnie jak jego pan. No a długi, tak – elf uśmiechnął się drapieźnie – taaak, nawet nie wiesz, jak bardzo zaciążyły na twoim przybranym ojcu...*

- *Co masz na myśli?!*

- *Och, opowiem ci kiedy indziej. Poczucie winy to taka straszna kula u nogi...*

- *Czyje poczucie winy?*

Elf pokręcił powoli głową:

- *Twoje, mości niziolku. Naprawdę nie wiesz, ile kosztuje twój akumulator many? Toż to warte majątek.*

Nut zadrżał. Czyżby Belisarius zginął... przez niego?

- *Och, nie martw się – odezwała się zjawą czytająca jego myśli – Twój ojczym zginąłby tak czy owak, więc w sumie ten szczegół, ten dług, nie ma znaczenia.*

Simon spojrział z nienawiścią na eterycznego rozmówcę.

- *Zabiłeś go. Zabiłeś mojego ojca.*

- *Zabił go Tataaglia.*

- *Na twoje polecenie.*

- *Och, polecenie. Tak gęsta, subtelna siatka zależności łączący ludzi władzy, że trudno wysledzić, gdzie kończy się sugestia, a zaczyna inicjatywa... Nie ciekawi cię, jak to się stało, że się tutaj zatrudniłeś?*

- *W Gol Trust?*

- *Najprostsze. Gołąb reklamowy.*

Simon przez dłuższą chwilę próbował się opanować, ale wspomnienia, które tłoczyły się na progu jego świadomości, były zbyt natarczywe. Pocziwa twarz Belisariusza, jego troska i opieka, miłość i starania, to wszystko zostało zniszczone przez tego, tego... chorego artystę?! Nut spojrział na przekłętą zjawę i zmusił umysł do koncentracji. Musi znaleźć wyjście z tej sytuacji, musi. Aby to zrobić, potrzebuje więcej danych...

- *Ale tyle czasu? Planowałeś to... dwadzieścia lat?*

Elf uśmiechnął się.

- *Jesteśmy długowieczni. Gdy pożyjesz pięćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, jak twoi ziomkowie, zrozumiesz, że planowanie na dwie dekady wprzód nie jest niczym nadzwyczajnym nawet dla ludzi, co dopiero dla elfów. A w ogóle wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?*

- *Dwudziesty października?*

Zjawą wybuchnęła gładkim, arystokratycznym śmiechem. Cień przesunął się jeszcze wyżej po jej twarzy i teraz Simon widział nie tylko usta, ale także dolną część wąskiego nosa.

- *O, biedna istoto nieznająca dnia swoich urodzin... A w ogóle zorientowałeś się, w czym siedzisz?*

- *W golemie przecież.*

- *Nomis zero dwa. Przeliteruj wstecz.*

Nut otworzył szerzej prawe oko. Dwadzieścia... s i m o n.

Elf wciąż się uśmiechał:

- *Magia uwielbia koincydencje, konwergencje i koniunkcje. Dzisiaj, Simonie, w dzień festiwalu małp, obchodzisz dwudzieste urodziny i siedzisz w golemie oznaczonym literami twojego imienia oraz cyframi wieku. Oooooch, aż wszystko wibruje od magii...*

- *Ale... dlaczego ja? Dlaczego to wszystko jest tak złożone? Nie mogłeś po prostu kupić golema i znaleźć do niego pilota? Nie mogłeś sam tutaj usiąść?*

- *Żartujesz. We wnętrzu śmierdzącego żelazem molocha? Uwięziony na wieczność? Wystawiony na ciosy? Bez sensu. Znaleźć pilota gotowego na taki los? Dobrowolnie? Ach, przestań. Utkanie tak potężnej magii wymaga czasu i sztuki. Akurat dwudziestu lat z okładem. Pisarze piszą swoje dzieła w takim czasie. Ja też stworzyłem swoiste opus magnum... Szkoda tylko, że nikt nie pozna autora. Ty o mnie nie opowiesz, prawda?*

Elf roześmiał się tak serdecznie, jakby opowiedział najlepszy dowcip na świecie.

- *Mam komunikator...*

Ramię, które podłączyło wtykę akumulatora do gniazda, machnęło nagle i połamało złożone ramki Komu.

- *Już nie.*

Nut patrzył zdumiony na akt zniszczenia. Jego jedyne narzędzie komunikacji, jego język i usta zaprojektowane przez Belisariusza, zostały właśnie połamane jednym, bezmyślnym ruchem automatu. Zacisnął krzywe usta w bezsilnym gniewie. Racjonalna część jego umysłu oceniła szkodę i wiedziała, że gdyby tylko miał dostęp do narzędzi, potrafiłby to naprawić, ale w obecnym stanie... Zrozumiał też, że jedyną istotą, z jaką będzie mógł się teraz porozumieć, jest przeklęta zjawia.

- *Na piachu też można pisać palcem* – pomyślał.
- *Nigdy nie wyjdiesz z tej sterówki, mości Simonie.*
- *Czyli umrę z głodu.*

Elf się roześmiał, a z góry, z głośnym sapaniem zjechały dwie tuby, grubsza i cieńsza. Nut domyślił się, że z jednej będzie dostawał jedzenie, a z drugiej picie.

- *Obesram się i zasikam. I taki będzie twój opus magnus.*
- *Aj! Co za okropny język! Simonie! Jeśli mamy współpracować, musisz się poprawić!*
- *Chuj ci w dupę, bladawcu.*
- *Takie dictum dżentelmen może zbyć tylko milczeniem.*

Elf znowu wykonał ruch przewracania karty księgi. Nut usłyszał szelest papieru.

- *Co ty tam robisz, podły człowieku?* – spytał.
- *Czytam sztukę, mości niziołku, to po pierwsze, nie sądzisz chyba, że rozmowa z tobą dostarcza mi wystarczająco dużo rozrywki, po drugie jestem elfem, co musiałeś przecież zauważyć, a po trzecie zajmij się teraz bardziej przyziemnymi sprawami, że się tak wyrażę...*

Podłoga w sterówce drgnęła, otworzyła się w niej dziura i wyjechały z niej dwie rury, grubsze i masywniejsze od sufitowych, a z nimi ramiona zaopatrzone w ostrza i nożyce. Wykonały kilkanaście brutalnych ruchów i cięć i ze skórzanych spodni oraz butów Simona nie został nawet strzęp. Jego pośladki i genitalia zostały umieszczone w odpowiednich otworach, usłyszał syk i poczuł, że został szczelnie... skanalizowany.

- *To... to co robisz, jest potworne* – pomyślał do elfa.
- *Ooo, tak, jest! Jest, nawet się nie domyślasz, jak bardzo!*
- *Czego chcesz?*
- *Wbrew temu, co sądzą majstrzy montowni, Nomis zero dwa jest skończony. Aktu rozruchu dokonałeś własno, że tak powiem, ręcznie. Nomis jest zamówieniem firmy Scott Meadows Inc...*

Elf machnął od niechcienia chusteczką. Simon zauważył, że haft ją zdobiący jest monogramem, jakby literą, ale nie zdążył uchwycić, jaką.

- *Och wiem* – ciągnął arystokrata - *to nietypowe dla elfa posiadać firmę, więc powiem tylko, że stworzyłem ją, z niejakim obrzydzeniem, tylko po to, by zamówić tę... zabawkę, golema o specyfikacji jakiejś tam, w każdym razie największego. Wiesz, elfy pomijają szczegóły techniczne. Scott Meadows będzie nadzorować konserwację Brass Bridge, tego mostu, niziołku, który przebiega tuż obok parlamentu, rozumiesz... A gdy tam się znajdziesz...*

Elf ziewnął i znowu zakrył usta chusteczką. Tym razem Nut miał dostatecznie dużo czasu, by uchwycić haft. Była to litera „H” napisana jednym ciągiem, przypominająca fantazyjnie ułożoną linię.

- *...wniknie w golema znacznie potężniejszy duch niż ten, który teraz go zasiedla. Jeśli jesteś ciekaw, dlaczego nie wniknął od razu – odpowiem. Wszyscy w Gol Truście wyczuliby, że z Nomisem jest coś nie tak, a poza tym nie dałoby się go kontrolować. Najpierw uśpiony demon, potem zniewolony pilot, potem dopiero demon potężny. Rozumiesz, takie domino z coraz większymi klockami...*

Elf na chwilę zamilkł, jakby coś sobie przypominał.

- *Duch uwięziony jest w kamieniu na dnie rzeki – podjął po chwili. - Wystarczy, że na niego nadepniesz. Skąd to wiem? Wybacz, znowu techniczne szczegóły. Tak czy owak, gdy to się stanie... zniszczysz parlament i zastąpisz go swoim jestestwem...*

Czerwona sterówka i błękitna zjawiały się przed oczami Simona i zostały zastąpione płomiennymi wizjami: Nut zobaczył golema, ale nie takiego, jakim widział go w montowni, lecz barwnego, ozdobionego złotymi inkrustacjami, demonicznymi ornamentami, poplamionego licznymi metalicznymi wstawkami, z pewnością stworzonymi jakimiś zaklęciami, niezrozumiałą magią. Potwór rozbijał parlament w pył. W powietrzu leciały fragmenty murów, kolumn, z mgłą Lyonesse mieszał się czarny dym i szary pył. Wojskowe pojazdy uderzały weń ze wszystkich stron, ale pociski odbijały się od pancerza ozdabiając go kwiatami wybuchów. Na czerwonym niebie płonęły oślepiającym, białym ogniem sterowce ostrzeliwujące golema, kroczące parowe maszyny strzelające do giganta z okolicznych dachów były rozdierane demonicznymi promieniami tryskającymi z gorejących ślepi potwora, ogień buchał z kominów behemota i szedł w górę rozdierając niskie chmury... Zobaczył Simon niezniszczalną maszynę, która właśnie otrzymała duszę. A potem ujrzał jej wnętrze i siebie samego, uśmiechniętego w szalonym, krzywym grymasie, zrosniętego z nią w stopniu o wiele większym niż obecnie, będącego jej nienawidzącym sercem, napędową, sprawczą siłą...

Wizja się rozwiła.

Simon przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle. Odchrząknął. Więc to tak? Więc tak ma wyglądać jego przyszłość? Z jednej strony przerażała, z drugiej fascynowała, bo oto on, Simon Nut, kaleka budzący litość, miał stać się demiurgiem zniszczenia, on, który był niezauważalny, miał być widoczny w całym Alfheimie. Oprócz grozy, którą wzbudziła w nim ta wizja, odczuł także cień... fascynacji.

Jego mózg jednak, przyzwyczajony do pracy z maszynami, wciąż widział luki i niedopowiedzenia. Domagał się informacji. Przewyciężył część umysłu, która trzymała się apokaliptycznej wizji i zadał pytanie:

- *Dlaczego wplątałeś w to Jessicę?*

- *Ach, te wady wychowania i edukacji – westchnął elf i drapnął się długim palcem w czoło. – Wiesz, co to jest nexus? To węzeł magiczny. Największe znajdują się w miłości, zwłaszcza, gdy miłość odczuwa osoba ułomna, pokrzywdzona przez los. Słowem, najpotężniejszym nexusem jest nieodwzajemniona, romantyczna, krwawa miłość kaleki.*

Ostatnie słowa elf wypowiedział chrapliwym, pijackim głosem, jakby naśladował kloszarda.

- *Kogoś takiego jak ja.*

- *Dokładnie tak. Nawet jeśli miłość ci przejdzie, zastąpi ją żal i nienawiść. Uczucia zawsze były w tobie silne, Simonie. A golem potrzebuje nexusa. Sam demon, ten rzeczny, posiadłby maszynę i tyle by było z mojej władzy. Potrzebuję człowieka, żeby zapanować nad tą potęgą. To takie, rozumiesz, mości niziołku, puzderko w puzderku w puzderku. Najmniejszym jest maszyna. Potem demon. Potem ty. I na końcu – elf wyszczerzył drobne, równe zęby – ja. Och – uniosł rękę w udanym geście pokuty – Powtarzam się. Przecież już mówiłem o dominie.*

- *Ale w innym kontekście.*

- *Dziękuję, miły panie. Widzę, że się dogadujemy.*

- *Odgryzę sobie język. Wykrwawię się. Demon przejmie panowanie nad golemem.*

- *A... próbowałeś już tego?*

Simon poruszył krzywą szczęką i... zdziwił się.

- *Ach, nie, nie potrafisz? No widzisz, kochany, właśnie po to skrzywiłem twoje stawy jarzmowe. Nie zdołasz dokonać tej sztuki. Co najwyżej poranisz sobie ozorek, ale to wszystko...*

Simon ciężko odetchnął, bo zaczął mieć wrażenie, że w sterówce zaczyna brakować powietrza:

- *Pomyślałeś o wszystkim?*

- *Tak, pomyślałem o wszystkim.*

Nut szukał w myślach, czym jeszcze mógłby zagadać rozmówcę. Miał nadzieję, że rozmowa będzie dostatecznie długa, by mieć pewność, że Jessica ucieknie i będzie bezpieczna. W tym czasie elf znowu przewrócił kartę swojej księgi.

- *Po co ci to?* – spytał Simon.

- *Władza?* – arystokrata, jak się wydawało, uniósł wzrok. Trudno było stwierdzić to na pewno, bo górną część twarzy wciąż zasłaniał cień ronda kapelusza. - *Znudziła mnie dotychczasowa egzystencja. Marność. Prozaiczność. Ten kraj potrzebuje poezji, dynamiki, ruchu, epiki! Co lepiej ją odda od nowego monarchy i jego symbolu – golema stojącego w sercu Alfheimu? Moi kuzyni i kuzynki rządzący tym krajem są nadto romantyczni, nadto... puchowi. Ja dostarczę prawdziwej, artystycznej rozrywki!*

- *Zginą ludzie.*

- *O tak!* – elf zapalił się i rozrzucił ramiona. – *Ludzie, orki, ogry, gnomy, elfy wreszcie, elfy! I wiele innych istnień. Ale czy epika nie jest tego warta?*

- *Nie jest.*

Zjawie opadły ręce w teatralnym geście.

- *Widzę, że rozmowa z tobą to marnacja czasu, niziołku. Wyjdź z montowni. I rozpocznijmy pierwszy akt.*

- *Tak, panie...* – Simon odpowiedział machinalnie, bezrefleksyjnie i to go przeraziło.

Poczuł, że naprawdę nie może się sprzeciwić woli swojego pana. Nie miał władzy nad swoimi decyzjami! Zostało mu to odebrane, zupełnie jakby centrum kierownicze wycięto z jego mózgu tak, jak ośrodek ruchowy mowy! Wykonał wahnięcie manetką, dotknął przycisków i dźwigni (nagle wiedział, co do czego służy!) i potwór drgnął, a w miedzianych ramach, które wisiały w sterówce, pojawiły się obrazy utkane z bardzo drobnych eterycznych wyładowań. Były trójwymiarowe, przedstawiały jakby rusztowania, jakby zabawki dla dzieci... Ależ to... montownia! Inne golemy! Hala! W sterówce przygasło światło i obrazy na ekranach wyostrzyły się, jakby dostosowały do możliwości percepcyjnych Nuty. Nabrały nawet bladych barw.

- *No dobrze* – zjawa zatarła ręce. – *Na początek sprawdźmy moc tego maleństwa... Dostałem pozwolenie od Grabba, żeby zniszczyć maszynę o kodzie...* – Duch wyciągnął rękę gdzieś poza zakres widoczności i podniósł pergamin. Na nim także Simon dostrzegł monogram „H”. – *...o kodzie ksaol trzynaście. Zniszcz go.*

O nie. Tylko nie trzynastka! Ale nie miał już Nuty władzy nad swoim ciałem i umysłem. W środku czuł rozpacz, lecz to uczucie, jak miał wrażenie, tylko syciło magię spowijającą maszynę, a w żaden sposób nie pomagało mu w odzyskaniu władzy nad sobą.

- *Tak, panie.*

Poruszył drążkiem i Nomis obrócił się w prawo przy akompaniamencie głośnych stąpnięć i jęków serwomechanizmów. Nut przeniósł obie ręce na drążki i olbrzym wzniosł pięści. Nasz bohater usiłował wstrzymać ruch kończyn potwora, zawahać się choć przez chwilę, ale nie potrafił. Nie potrafił nawet na sekundę zwolnić ciosów, które spadły na niczego się nie spodziewającego Xaola. Halę wypełnił huk, a przestrzeń rozjaśniły iskry lecące spod pięści

Nomisa. Trzynastka powoli, jakby sennie, obróciła głowę w stronę golema Simona i cicho jęknęła. *Dlaczego mi to robisz?*, spytała, spoglądając ledwo rozjarzonymi ślepiami. *Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Przepraszam*, odparł w myślach Simon, *przepraszam, grubasku, wybacz mi!* Kanonada uderzeń nie zwolniła nawet o jotę. Nut m u s i a ł być posłuszny panu. Wgiął się czerep Xaola, złamała się jego szeroka pierś, urwał się bark wraz z ramieniem, które poszybowało w dół, by się roztrzaskać na żelaznej posadzce.

Gdyby ktoś widział tę scenę z boku, zobaczyłby w pełni uruchomionego golema, z którego kominów wali świecący dym, a ślepie buchają parą, przez którego szczeliny prześwieca światło, a poszycie z szarego powoli zamienia się w czerwone, lamowane złotem. Widziałyby, jak ten strojny olbrzym okłada zdziwionego poczwiwa, uderza w głowę, która odrywa się od tułowia i szybuje w bok, a tłący się w niej ogień zaczyna gasnąć. Jeszcze jeden cios i jednoręki, bezgłowy gigant przewraca się w zwolnionym tempie, uderza biodrami, a potem tułowiem o posadzkę w akompaniamencie ogłuszającego grzmotu, kołysze się jeszcze przez chwilę i wreszcie zamiera.

- *Bez sensu, bez gracji* – elf był rozdrażniony i zawiedziony – *zupełnie nieepicko. Musisz się wysilić. Ryknąć. Zamachnąć, strzelić dymem, ogniem, przecież to wyglądało jak bójka wiejskich chłopców z połowicznym paralizem! No szkoda, szkoda, myślałem, że masz w sobie więcej pasji.*

- *Przepraszam, panie.*

- *Ach, na co mi te twoje przeprosiny. Mamy zagrać operę, rozegrać wielkie przedstawienie, a ty się zachowujesz jak podrzędny aktorzyzna z wędrowniej trupy!*

- *Poprawię się, panie.*

- *Mam nadzieję. Dam ci większe uprawnienia...*

Coś się stało. Nut przestał czuć różnicę między sobą i golemem. Był golemem. Teraz nie potrzebował przycisków czy lewarów. Samą myślą kierował potworem. To odczucie było, nawet w tej sytuacji, odświeżające i zaskakujące. Raptem Simon miał pięćdziesiąt stóp wysokości i moc... boga. Zrobił krok. Potem drugi. Podłoga drżała pod jego mocarnymi stopami. Co za uczucie!

- *Lepiej?* – spytał elf.

- *Tak, panie.*

Nagle jego percepcja przełączyła się z powrotem do sterówki. Na jednym z bocznych ekranów przedstawiających biegnący przy ścianie chodnik, dostrzegł małą sylwetkę, którą wprowadzały do montowni dwa rosłe automaty.

To była Jessica.

- *No właśnie* – zjawa przeciągnęła palcem po rondzie kapelusza błyskając opierścienioną ręką – *Rozumiesz, że panna Jessica nie może żyć, prawda? Usłyszała za wiele... Co prawda nie zobaczyła mojej twarzy, ale wie, że jestem elfem i poznała mój głos. Musi umrzeć, czyż nie?*

- *Tak, panie* – odparł Simon, choć w jego sercu wybuchła bomba rozpacz. Jessica musi żyć!

Elf wyszczerzył kły:

- *Jakie to miłe. Jakie to miłe i niezwykle literackie: zakochany karzeł uśmierca obiekt swojej miłości, ach, jakie to artystyczne! Nexus będzie, że hej! Że ha! No! Pokaż, na co cię stać!*

Nagle Simon wpadł na szalony pomysł.

- *Epicko, mój panie?*

- *Wreszcie zaczynasz rozumieć! Tak! Epicko! Z rozmachem! Niech usłyszę grzmienie boskich organów!*

Nut nabrał w płuca powietrza, zatrzymał je na szczycie wdechu, a potem ryknął z całej mocy, a razem z nim wydał z siebie smoczy wrzask golem. Był to dźwięk, w którym metaliczne,

basowe brzmienia mieszały się z wybuchami kotłów i ogłuszającym sykiem pary.

- *Tak, właśnie tak!* – ucieszył się elf.

Jessica szarpnęła się w złotych rękach robotów, ale na próżno. Trzymały ją mocno. Nut widział na ekranie jej przerażone oczy. Tak kochane. Tak piękne.

Simon ryknął jeszcze raz i po raz pierwszy w życiu usłyszał w swoim głosie nie bełkot, ale najprawdziwszy krzyk nienawiści. Nienawiść oczywiście nie była skierowana przeciwko dziewczynie, ale przeciwko przekłętemu elfowi.

Golem krzyknął ponownie, a z jego pyska trysnęły ognie.

- *Brawo, Simon! Będą z ciebie ludzie!*

Golem wyrzucił oba ramiona w górę, jakby chciał zmiażdżyć Jessikę, jakby chciał zniszczyć całą montownię.

- *No! To mi się podoba! Dalej, dalej! Tylko nie psuj całej hali, bo nie tak się umawialiśmy z Grabbem, a szlachcic słowa dotrzy...*

Z podwieszonych pod sklepieniem hali przewodnic spadły łańcuchy z magnesami, a tuż potem te zaopatrzone w haki. Golem szarpnęło, gdy go oplotły i unieruchomiły z głośnym grzechotem ogniów sunących po poszyciu.

- *Co to jest?! – krzyknął elf.*

- *Podobno lubisz niespodzianki, panie.*

Simon uniósł nogę golema i potężne kolano uderzyło od spodu w chodnik, na którym stały automaty i dziewczyna. Złote automaty zachwiały się i puściły więźnia, a Jessica wykorzystwała to i po krótkim locie wzwyż chwyciła krawędź wyższego chodnika. Nut wiedział, że jest przyzwyczajona do takich akrobacji i gdy już pewnie się trzyma, bez trudu zdoła się podciągnąć. W tym czasie automaty stoczyły się ze zniszczonego chodnika na dno montowni i roztrzaskały o twardą posadzkę.

Zjawa wyszczerzyła kły:

- *Nie! Nie znoszę niespodzianek, których sam nie zaaranżowałem!*

- *Jakie ładne słowo, panie.*

Nut liczył w myślach sekundy. Uplłynęło ich już dziesięć. Jeszcze dwadzieścia i uruchomiona zostanie zapadnia. Znowu ryknął. Tak na wszelki wypadek. Szarpnął się, ale na tyle słabo, żeby nie zerwać łańcuchów. Trzydzieści sekund.

- *Zerwij je!*

- *Co, panie?*

- *Łańcuchy przecież, na wielką piątkę!*

- *Tak, panie.*

Dwadzieścia sekund. Syrena wciąż wyje. Simon wydaje z siebie ryk, bucha para, ogień i dym z kominów, oczu i wielkich ust potwora, który wznosi wielkie ręce, chwytą łańcuch i zrywa go. Jest istotnie silniejszy od zwykłej maszyny. Normalny golem nie podołałby temu zadaniu. Ciężkie ogniwa lecą w dół i uderzają o podłoże z głośnym szczękiem.

Dwadzieścia osiem sekund.

Golem chwytą kolejny łańcuch i odrywa go od tułowia z wrzaskiem dartej stali.

Trzydzieści sekund. Podłoga drży i zaczyna się zapadać, a pośrodku montowni otwiera się ognista dziura.

- *Co to jest?! – krzyczy elf – Co to jest, na wszystkie demony?!*

- *Dodatkowe oświetlenie, panie.*

- *Ach, przestań bredzić i odpowiadaj mówiąc prawdę, bez ogródek i przerośnięć!*

Nut poczuł, jak na jego psychikę ktoś nakłada potężne imadło. Teraz nie mógł już zasłaniać się metaforami.

- *To lawa, panie. Jej zadaniem jest zniszczyć zbuntowane golemy.*

- *Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?*

- *Elfy pomijają techniczne szczegóły.*

Podłoga nachyliła się już na tyle, że inne golemy zaczęły się zsuwać, ale zatrzymały je podpory i zabezpieczenia. Z golemem Simona było inaczej. Krępujące go łańcuchy ciągnęły go na sam środek sali, prosto w poszerzającą się czeluść.

- *Wyrwij się z tej pułapki! Zerwij łańcuchy i wyjdź z montowni! Szybko!*

- *Epicko?*

- *Zamknij się durniu i rób, co ci każe!*

W sterówce sypnęły się błyskawice, które uderzyły w Simona jak dziesiątki ostrzy. Poczuł ból w zębach, kościach, oczach i samej głowie. Światło ekranów na chwilę zamigotało.

- *Tak, panie.*

Golem ryknął i zerwał kolejny łańcuch. A po nim jeszcze jeden. Ale okręcając się spowodował, że trzy inne skrępowwały go jeszcze mocniej i ciągnęły ku przepaści, zaś pochyła podłoga nie dawała już oparcia. Potwór zsuwał się ku żółtej, gotującej się mazi i Simon już wiedział, że wygrał.

- *Przecież sam zginiesz, durniu! –* darł się elf.

- *Tak, panie.*

Łańcuchy szarpnęły i jedna z nóg behemota znalazła się poza podłogą. Trysnęła lawa i rozświetliła wnętrze hali. Golem zawył i sypnął ze ślepi iskrami, jakby demon, który nim władał, wściekał się i rzucał na wszystkie strony. Druga noga straciła oparcie i gigant zanurzył się po pas w gotującej zupie, chwytając krawędź podłogi potężnymi rękami.

W tym momencie elf stracił nadzieję na to, że Simonowi uda się wyrwać z pułapki. Podłoga była zbyt pochyła, a dolna część golema zaczęła się już topić. Nut poczuł, że w sterówce wzrosła temperatura. Jeden z ekranów zamigotał i zgasł.

- *Ech – westchnął elf. – dwadzieścia lat przygotowań i taki koniec.*

- *Epicki?*

- *No epicki, ale co z tego. A ty? A ty, niziołku? Warto tak umierać? Przecież nie wyrwiesz się z tej pułapki. Upieczesz się. Bo nie usmażysz ani nie ugotujesz. Chcesz tak skonać, biedny, skrzywdzony przez ludzi niziołku? Taki marny koniec sobie wybrałeś?*

Golem zapadł się po pachy. Simon wciąż próbował wykonać powierzone mu zadanie, czyli wydostać się z lawy, ale, że elf nakazał mu szczerą, odpowiadał też na jego pytania. Zgodnie z prawdą.

- *Mylisz się, elfie. Od ludzi spotkało mnie głównie dobro. Poznałem współczucie, opiekę, pasję, a na końcu miłość. Nie wyobrażam sobie lepszego życia. A mój koniec nie jest marny tylko piękny.*

Elf westchnął.

- *Poetycko powiedziane. No cóż, Simonie. Do zobaczenia w krainie snów.*

Zjawa zniknęła.

Kolejny ekran zamigotał i zgasł, a za nim następny i następny. Nagle golemem coś wstrząsnęło i opuściła go, z głośnym, żalonym rykiem, niepojęta magiczna siła. To demon, domyślił się Nut, wyzwolił się z więzienia i uciekł do swojej krainy. Teraz była już tylko cierpiąca machina i on. Simon Nut, zatrzaśnięty w pułapce.

Ostatni, niewygasły ekran pokazywał sklepienie montowni. A na nim... kołyszącą się na linach Jessikę! Dziewczyna błyskawicznie zsunęła się i stanęła na okrągłym czerepie behemota, który wystawał już nad powierzchnią tylko na metr. Musiała zablokować żelazną kulę, która powinna była spaść na potwora, bo inaczej nie ryzykowałyby lądowania na jego głowie. Usiłowała odśrubować jedną z płyt czerepu, ale żar był zbyt wielki. Lina, która ją podtrzymywała, zaczęła się tlić. Simon wyciągnął wielką łapę, ujął ją delikatnie i odstawił dalej, na wysunięty pomost.

- To nie ma sensu – powiedział w myślach. – Nie dasz rady, kochana.

A Jessica uklękła, patrzyła na zanurzającą się głowę olbrzyma i łzy płynęły jej po policzkach. Gigant podniósł rękę, jak na pożegnanie. Dziewczyną wstrząsnął szloch. Szukała sposobu na ocalenie Nuta, ale jej umysł nie potrafił znaleźć żadnego rozwiązania. W tym czasie olbrzym wyciągnął wskazujący palec.

- Co chcesz mi pokazać, Simonie? – szepnęła.

Golem narysował w jeziorze lawę fantastycznie wygiętą... literę „H”.

Jessica patrzyła na mechaniczną dłoń, która powoli niknęła pod gotującą się powierzchnią, a potem na wyglądającą się magmę i bąble, które wydobywały się z niej z głośnym sykiem. Nie było już golema. Nie było Simona.

Łzy mieszały się z wściekłością. Rozpacz z nienawiścią. Spotkała człowieka, który podarował jej życie i miłość. A ona nie dała mu nic.

A teraz go już nie ma.

Nie ma.

Nie ma.

Ginie straszną śmiercią pod powierzchnią piekła.

Nie mogła sobie wyobrazić cierpienia, jakie teraz odczuwa.

- Czekaj – syknęła i powoli wzniosła pięść. – Czekaj, przeklęty elfie, chamie zbuntowany, czekaj ty oznaczony literą „H” potworze! Znajdę cię! Znajdę się, skurwysynu, na końcu świata i pomszczę! Pomszczę cię, Simonie, przysięgam na swoje nic nie warte życie! Słyszysz mnie, Simonie?! Wybacz, że nie odwzajemniłam twojej... – Zachłysnęła się łzami – Miłości! Wybacz! Pomszczę cię! Pomszczę cię, słyszysz?!
Fotel, drążki, podłoga, całe wnętrze zaczęło parzyć. Powietrze rozdygotało się i przy każdym wdechu gryzło gardło i płuca. Nut zamknął płonące, suche oczy i poprosił los o utratę przytomności. Ale ta nie przychodziła. Zamiast niej, w sterówce zamigotało światło, zupełnie jakby zjawą postanowiła jeszcze z nim pokonwersować. Simon odemknął powieki i uniósł nagie stopy, bo podłoga zamieniła się w krzyk bólu. Z magicznych błyskawic formował się przed nim kolisty kształt przypominający dziwną soczewkę... Jedna z lamp jego akumulatora strzeliła z głośnym trzaskiem. Za nią wybuchła druga. Fotel szarpał skórę na plecach i udach, już tworzyły się tam bąble. Powietrze stało się tak gorące, że Simon zdał sobie sprawę, że nie zdoła zrobić kolejnego wdechu. Zacisnął krzywe usta, które także zaczynały piec. Parzył czerep i uprzęż. Sięgnął prawą ręką do klamry jednego z pasów, które ją mocowały, ale natychmiast oderwał od niej palce. Była tak gorąca, że mroziła. Oderwać się, oderwać od tego przeklętego fotela i klamr! Cała skóra zamieniła się w wyjący ogień, a przez szczeliny sterówki zaczęła się sączyć magma. Wtedy Simon otworzył krzywe usta i wydał z siebie ryk bólu.

Ubrany w koronkową, luźną koszulę, szeroki, skórzany pas ozdobiony złotą klamrą w kształcie litery „H” i wąskie, beżowe spodnie do jazdy konnej, które poniżej kolan były osłonięte przez połyskujące, o ton ciemniejsze buty z wysokimi cholewami, baron Nelson Maria Victor Hildebrandt patrzył uważnie, jak przez uwięź z eterycznych błyskawic soczewkę, generowaną przez dwa oddalone od siebie o metr mosiężne słupy, sączy się bursztynowa smuga, konsystencją przypominająca gęsty aerozol czy świetlisty dym. Ten wijący się eteryczny wąż, który, gdyby ktoś przytknął bliżej ucho, emanował odległym, przepelnionym bólem, ludzkim krzykiem, wpadał do niewielkiego, kryształowego flakonika postawionego na drobnym, złotym trójnogu umieszczonym na wąskim, miedzianym postumencie. Spektakl ten oglądała w napięciu dwójka elfów siedząca w cienistej części salonu na ozdobnych, wysokich krzesłach. Gdy ostatnie strzępy bursztynowych zawojów wpadły do naczynia, Nelson zatkał go szklanym korkiem, ostrożnie ujął flakon, podszedł do otwartej, oprawnej w niebieską skórę książki leżącej na mahoniowym postumencie i poczekał, aż wyłonią się na jej kartach zapisane magicznym atramentem zdania. Upewniwszy się, że ostatnim, oddalonym od najniższego akapitu, słowem jest „koniec”, zamknął ją teatralnym gestem. Wtedy w dyskretnym świetle wieczornej lampy można było dostrzec na jej okładce srebrny tytuł ozdobiony zębatymi kołami.

„Simon”.

Baron sięgnął wolną ręką do szerokiego kapelusza, zdjął go powolnym, eleganckim ruchem, potrząsnął głową rozsypując na ramiona długie, jasne włosy, rozłożył ramiona i uśmiechnięty wykrzyknął:

- Tadaaaa!

W sali kominkowej zamku siedziby Hildebrandtów dały się słyszeć powolne, elegancko odmierzone oklaski.

- Brawo, brawo, drogi przyjacielu! – z połączanego krzesła poderwał się hrabia Ernest von Braun, znany z doskonałych pamfletów i kupletów, jak żartowano na salonach. Ubrany był w granatowy surdut, białą koszulę, modne bryczesy i wysokie, czarne buty. Miał ciemne, błyszczące oczy i pieprzyk na lewym policzku. – Brawo! Doskonały spektakl, doskonały! Co za emocje, co za intryga!

Na drugim krześle siedziała kobieta. Ona także się podniosła i weszła w zasięg światła lampy. Była to starsza siostra barona Hildebranda, Luiza Elza Veronica, miłośniczka jazdy konnej i astronomii. Miała na sobie bordową, długą suknię obsypaną brokatem. Na szyi czerniła się oprawiona w platynę kolia. Jej twarz była piękna, ale poznaczona już śladami upływającego czasu. Uśmiechnęła się życzliwie:

- Dołączam się do gratulacji. Brawo, bracie. Perfekcyjnie rozegrane.

- I obyleś się bez suflera! – dodał Ernest.

- No, kilka razy zaglądałem do notatek... – Nelson uśmiechnął się, że ociera pot z czoła.

- Ale ogólnie – fantastyczna, epicka opowieść – odezwał się hrabia Ernest. – Cóż za genialny pomysł: zamiast książek, pisać żywe historie! Od poczęcia po zgon! Aż mnie ciarki przechodzą – elf zabawnie się wzdrygnął. – Szczyt artyzmu, szczyt tworzenia, żywa, krwista opowieść zamiast martwej, wydumanej grafomanii...

Baron von Hildebrand, słysząc te komplementy, uklonił się z gracją, po czym, zapraszając przyjaciół gestem, odwrócił się i spojrzął na kamienny, okrągły stół wykonany z czarnego marmuru. Wygrawerowano na nim złotym śladem pentagram, w którego rogach i przecięciach

linii wydrążono zagłębienia. We wszystkich oprócz jednego tkwiły kryształowe flakoniki zawierające substancje podobne do tej, którą przed chwilą Nelson pobrał z soczewki. Różniły się jednak kolorami. Jedne zawierały eteryczne ciecze barwy szarej, inne były sino-błękitne, w jeszcze innych przelewała się ciecz miodowa, a dwa były zabarwione niemal na czarno.

- Piękny kolor – szepnęła Luiza patrząc na trzymany przez barona kryształ. – Orzechowy.

- Tak – odparł brat i wetknął flakon w ostatnie zagłębienie. – Dziesięć esencji życiowych, dusz, dziesięć dwudziestoletnich historii zakończonych przepięknym aktem samopoświęcenia...

- Muszę powiedzieć – odezwał się hrabia von Braun podchodząc do hebanowego barku znajdującego się za stołem i nalewając do trzech złotych pucharów czerwone wino – że obawiałem się. Jesteś ostatnio przemęczony, Nelsonie. Zakończyłeś wszystkie te opowieści w ciągu jednego tylko roku. Kawał roboty, że tak się wyrażę...

Baron uniósł brwi:

- Wysilek wart zachodu, jak mi się wydaje. Bez wielkiej pracy nie ma wielkich efektów.

- Dobrze powiedziane – pochwaliła go siostra.

- Zresztą, nie udałooby mi się bez waszej pomocy – poddał Nelson. – Bez twoich, Erneście, urządzeń śledczych i twojej, Luizo, wiedzy psychologicznej.

- Och – kobieta machnęła ręką przyjmując kieliszek od Ernesta. – I twojej magii, dodaj.

Baron skinął głową i dwornie się uśmiechnął.

- Wracając do tego niziołka – odezwał się hrabia Ernest - bałem się, że nie kupi bajeczki o zniszczeniu parlamentu.

- Dlaczego? – spytał Nelson ujmując podane mu naczynie.

- No wiesz, golem depczący kamień w rzece... – von Braun uśmiechnął się krzywo, a jego pieprzyk zbliżył się do oka. – Naciągane, lekko naciągane, czyż nie, Luizo?

Kobieta ledwie zauważalnie skinęła głową

- I ta apokaliptyczna wizja – dodał Ernest lekko krzywiąc usta. – Olbrzym rozbijający w pył potężny gmach? Przejmujący władzę? No, wysokie ce, powiedziałbym, wysokie ce. Szczęście, że ten nieszczęśnik nie do końca znał się na architekturze...

- I jeszcze mniej na magii – dodał Nelson von Hildebrand wychylając łyk wina. Było gorzkie, aromatyczne i mocne.

Przelknął.

- Wszystko, drogi przyjacielu – spojrzał na Ernesta – jest kwestią sugestii, dramaturgii, budowania napięcia i dobrego przygotowania. – Zerknął na siostrę, szukając jej potwierdzenia.

- A to mój brat potrafi doskonale – Luiza uśmiechnęła się i postawiła swój puchar na kamiennym stole.

Nelson powtórzył jej ruch i oparł się o zimny blat.

- Taaak, tak, tak, tak... – Spojrzał z podnieceniem na pentagram i tkwiące w nim flakony. – To była niezła robota.

- Prawdziwe opus magnum – kielich Ernesta także wylądował na stole. – Dziesięć fenomenalnych historii... Czegoś takiego nie dokonał jeszcze nikt. Stworzyć tyle życiorysów, tyle opowieści, zaaranżować tyle wydarzeń i doprowadzić do tak spektakularnych, s p e k t a k u l a r n y c h finałów! Jesteś geniuszem, Nelsonie. Ge-niu-szem.

- No ale trochę to trwało – westchnęła Luiza.

- Droga siostrzo. – Nelson spojrzał na kobietę z przyganą. – Dwadzieścia obiegów Ziemi wokół słońca to minimum jeśli chodzi o ludzką egzystencję. Minimum. Dopiero po dwóch dekadach można mówić o dojrzewaniu, domknięciu emocjonalnych form, przekroczeniu jakichś

progów. Poza tym, jak zauważyłaś, wszystkie te wątki rozegrałem równocześnie, więc uzysk jest niebagatelny...

- Jedna powieść na dwa lata – zgodził się Ernest – jak dla mnie w sam raz.

- Tyle – wtrąciła Luiza – że zakończenia były dopiero w tym roku.

- Ależ ona narzeka! – roześmiał się hrabia.

Baron von Hildebrand wciągnął w płuca powietrze, napawając się widokiem stołu.

- Ależ moc. Aaaależ moc – szepnął. – Dziesięciokrotna multiplikacja, zamknięte we flakonach akty poświęcenia tego, co było i dekad potencjalnego przyszłego życia, nexusy ludzi oddających egzystencję dla miłości! Czujecie tę wibrację?

Istotnie, odkąd Nelson postawił ostatni flakon, powietrze nad stołem zaczęło gęstnieć, a blat rozgrzał się i zaczął ledwie zauważalnie drżeć. Baron zerknął w kieliszek. Na winie pojawiły się koncentryczne fale. Podniósł puchar, a pozostali uczestnicy rozmowy powtórzyli jego ruch.

- I jakość, jakość – Ernest wyszczerzył zęby. – Rozumiecie, jakość historii! Opowieść opowieści nierówna! Musi być romantyzm, epika, dynamika, a tutaj była! Zero wątpliwości, zero rozdarcia, zero żalu, pełne, czyste, czystsze poświęcenie! Miał tyle do zaoferowania światu, taki talent i oddał to wszystko bez wahania! Co on powiedział na koniec? „Od ludzi spotkało mnie głównie dobro, poznałem współczucie, opiekę, a na końcu miłość...”

- „Nie wyobrażam sobie lepszego życia”. – dodała Luiza. – I: „Mój koniec nie jest marny tylko piękny”.

- Cudne, cudne, czyż nie? – zachłysnął się Ernest.

- A pamiętacie tę gnomkę? – Nelson wskazał długim, opierścienionym palcem jeden z czarnych flakonów.

- Ooo, do dzisiaj mam gęsią skórkę – uśmiechnął się hrabia i podniósł podbródek, jakby usiłował sobie przypomnieć sceny z jej życia – „Mój koniec to twój początek, kochany. Niczego nie żałuję.”

- Piękne – przytaknęła Luiza Elza Veronica. – I ta sceneria: skały, przepaść, burza...

- Jakby wszystko na zamówienie – pochwalił von Braun, a Nelson uklonił się w geście podziękowania.

- Wszystkie twoje historie – odezwała się elfica upijając łyk wina – były wyjątkowe. Niziołek z puszczy, ogr z rodu Hemsworthów...

- Mój ulubiony – szepnął Ernest.

- Bezwłosy krasnolud – ciągnęła Luiza.

- O, tak – rozmarzył się hrabia.

- Wszystkie, wszystkie były fenomenalne.

- Zgadza się z twoją siostrą w stu procentach – odezwał się Ernest odchodząc od stołu i pozostawiając Nelsona oraz Luizę obserwujących, jak pentagram zaczyna się odkształcać i mienić, a powietrze nad nim robi się zamglone i lekko tężowe.

Von Braun zbliżył się do mahoniowego postumentu, na którym leżała zamknięta, niebieska księga. Zdjął ją ostrożnym ruchem, przeszedł kilka kroków i delikatnie położył ją na stojącym w pobliżu czarnym, połyskliwym fortepianie. Leżały tam inne, podobne w rozmiarze woluminy, chociaż różniące się barwą. Ich tytuły, wytłoczone srebrnym śladem, ale różnie stylizowane, były imionami: „Elaine”, „Gustav”, „Tanya”, „Ethan”... Ernest pogładził kilka z nich, uśmiechnął się i rzekł:

- Doprawdy, caczuszka. Białe kruki. Prawdziwe pociechy na długie wieczory. Wrócę do nich jeszcze nie raz.

- Nie ty jeden – rzuciła przez ramię Luiza.

Ernest trzymał w ręce swój puchar i przez chwilę się zastanawiał, co z nim zrobić. Nie chciał go stawiać obok książek, bo gdyby ktoś przypadkiem go potrafił... wołał o tym nie myśleć. Podeszedł więc do czerwonego, marmurowego parapetu wysokiego, łukowato sklepionego okna i tam odstawił naczynie.

- Perfekcyjny plan zbliża się do finału – rzucił, podchodząc do ozdobnego regału, na którego półkach tkwiły potężne, pysznie wydane inkunabuły.

- Powiedziałałabym – Luiza podniosła kielich do ust i upiła mały łyk – że wbrew temu, co na początku powiedziałam, nie do końca perfekcyjny...

- Jak to? – hrabia odszukał na półce właściwy tom i wyciągnął go. Był oprawiony w czerwoną skórę i ozdobiony złotym pentagramem.

- A ta mała? – uśmiechnęła się Luiza. - Zobaczyła rodowe oznaczenie, poprzysięgła zemstę...

- Oooch – Nelson wykrzywił drwiąco usta. – To się doskonale składa! Obietnica zemsty? Czym by była zabawa bez odrobiny pieprzu?

- Masz rację, bracie – Luiza von Hildebrand podeszła do niego i pogładziła go po policzku.

- Oczywiście, że ma – potwierdził Ernest niosąc wielką księgę pod pachą.

Ze zdumiewającą łatwością uniósł drugą ręką mahoniowy postument, podeszedł do stołu, postawił przed nim mebel i ułożył na nim inkunabuł.

Nelson, widząc to, wziął głęboki wdech.

- No to co? – podeszedł powoli do księgi i, lekkim ruchem poprawiając koronkowe mankiety koszuli, otworzył ją.

W pomieszczeniu dał się słyszeć basowy pomruk, a powietrze wokół stołu zgęstniało jeszcze bardziej. W spowijającym blat dymie pojawiły się wielobarwne łuki łączące poszczególne fiołki. Wydawało się, że flakony zaczęły między sobą gorączkowo szeptać, zupełnie jakby dusze zmarłych zorientowały się, jaki czeka je los i szukały ratunku.

- Gotowi na piekło? – spytał lekko Nelson.

Ernest von Braun uśmiechnął się szeroko:

- Już myślałem, że nie zapytasz.

Przemysław Zańko

Pajęczarka

Opowiadanie ukazało się w „Fantastyce Wydaniu Specjalnym” 4/2015 (49)



– Rozbierz się.

Lionel Mann przyglądał się uważnie, jak drżącymi dłońmi rozpinałam haftki i zsuwałam ramiączka przydziałowej sukni. Brązowa tkanina, przetarta i sprana, prawie się rwała pod palcami. Oddychając głęboko, na ile pozwalał mi gorset, zmusiłam się do uważności. Obnażałam się dla Opiekuna starannie, cal po calu, na tyle prędko, by nie uznał mnie za opieszłą, lecz

zarazem na tyle powoli, by zdążył bez pośpiechu dotknąć spojrzeniem wąskich łopatek, szczupłych ramion, usianego piegami dekoltu. Spuściłam wzrok na kaszmirowy dywan, by nie widzieć kandelabrow i złocen na ścianach, nie patrzeć na odbicia w lustrach, nie dostrzegać konsylium brodatych doktorów, przyglądających się badaniu zza mahoniowego stołu.

– Nie garb się – rzekł Mann, podchodząc. – To niezdrowo.

Stanął za mną, poluźnił tasiemki gorsetu i w jednej chwili zmięklam, zwiotczałam jak kocie za kark podniesione. Wstrzymałam dech. Bawełniana prudentia wypuszczała mnie wolno z fiszbinowych objęć, a gdy opadła w końcu na podłogę, mimo halki poczułam się naga. Boże, przecież oni patrzą. On patrzy. Piorun Imperium. Mój Opiekun. Człowiek, od którego osądu zależy, czy jutro wzleczę, czy upadnę. Patrzy – i widzi, jak to krnąbrne ciało, słabe, nieforemne, ten mięczak odarty z pancerza, spływa na powrót ku zwierzęcym kształtom.

Nie ma cię tutaj, myślałam sploniona, nie śmiejąc unieść wbitych w dywan oczu. Zapomnij o stu piętach pod stopami, o jeździe windą aż pod niebo, o złotej sali na szczycie wieży ze stali i szkła. Nie stoisz obnażona na oczach doktorów – rozbierasz się do snu w swym pokoiku. Te szepty za stołem – to wołania przekupek za oknem, stłumione przez wieczorną mgłę, te dźwięki pracujących pod podłogą maszyn – to końskie kopyta na bruku i odległy gwizd lokomotywy. Jesteś daleko stąd, bezpieczna, nikt ci nie zagraża, a te dłonie sunące po ciele to tylko palce drogiej Iry, pomagającej ci zdjąć gorset...

Wprawne ręce doktora badały mnie prędko, jak co miesiąc, ściskając talię i sunąc wzdłuż żeber, mierząc przez tkaninę płaskość piersi, wyczuwając pod palcami kręgi.

– O wiele lepiej niż ostatnio. Patrzcie uważnie, panowie. Morze Spokoju przybiera, Morze Roztropności także... Podnieś ręce, dziecko. Mhm, Morze Pokory wciąż maleńkie, zebro stawia opór. Podciągniemy tasiemki. Jezioro Smutku zbyt rozlane, lecz u niej to norma. Jezioro Snów... o czym tak śnisz, Mary? Pracować, pracować więcej! Łopatkę w tył proszę. Bardziej. Jeszcze. O.

Dłoń w białej rękawiczce dotknęła mych pleców, gładząc płytkie zagłębienie.

– *Sinus amoris* – rzekł cicho Mann. – Ty kogoś kochasz.

Lodowy sopel przeszył moje serce. Doktorzy wymieniali półgłosem uwagi.

– To... to jakaś pomyłka, sir, ja bym nigdy...

– Spójrz na mnie.

Podniosłam przerażony wzrok. Opiekun stał tak blisko, zbyt blisko, górował nade mną, woń tytoniu odurzająca, wojskowa czerń surduta napierała na mnie i choć chciałam się cofnąć, nie mogłam, bo wciąż mnie dotykał. Uczułam słabość. W gładkim zwierciadle guzika dostrzegłam swą twarz, obróconą i zmniejszoną do szarawej plamki. Spoglądając w wygolone, surowe oblicze, poryte bruzdami jak pole bitewne, znów poczułam się niesfornym pacholęciem.

– Od jak dawna nosisz gorset, Mary?

– Od sześciu lat, sir. Ścieżka Pracownicy.

Skinął głową.

– A czy jesteś świadoma, dlaczego go nosisz?

– Tak, sir. Aby uleczyć przyrodzone mi słabości.

– Zrozum zatem, że ciało nie kłamie. Wszelkie wypadki życiowe, wszelkie przelotne uczucia odciskają się w nim jak pieczęć w miękkim wosku, a kto pozna tę tajemną mowę, może czytać w ciele jak w księdze. To ono powiedziało mi, że kochasz. Tym wgłębieniem. Czyż nie rozpoznaje się tchórz po chodzie? Nie odczytuje siły charakteru z linii szczęki? Somatologia bada ciało, aby poznać duszę, i formuje ciało, aby duszę tę umocnić. Na froncie ta wiedza dała mi zwycięstwo – wychowałem żołnierzy sprawnych jak maszyny. Teraz inną wojnę toczę. Pragnę,

żebyś była silna, Mary. Chcę, żebyś została lepszą pracownicą. Wierną, posłuszną, skłonną do poświęceń. Ale żeby gorset pomógł, najpierw ty musisz pomóc jemu. Poddać się jego woli. Nie walczyć. Rozumiesz?

Jego wzrok hipnotyzował, przenikał, pożerał, nie sposób było odwrócić spojrzenia, choćby bardzo się chciało. Doktorzy patrzyli w milczeniu. Przeszyta na wylot jak owad na szpilce, obnażona aż do nagiej duszy, zaczęłam drżeć i już nie mogłam przestać.

– Tak, sir – szepnęłam przez ściśnięte gardło.

– To nic złego kochać, Mary. Natura czasem w nas zwycięża. Ale jeśli pozwolisz tej zatoce się rozlać – zatoniesz. Małe zmiany prowadzą do wielkich. Grzechów także to dotyczy. Jutro twoja wielka szansa, a ty skrycie marzysz o powrocie do haniebnego, zwierzęcego stanu, z którego obiecałem cię uleczyć. Nie schodź ze ścieżki, którą kroczysz za swą Gracją. Pamiętaj, jesteś poczwarką w kokonie. Przemiana nie nastąpi sama. Musisz pragnąć przedzierzgnięcia się w motyla.

Szloch wyrwał się sam z głębi piersi. Doktor Mann wydobył z zanadru jedwabną chusteczkę i otarł delikatnie moje łzy.

– Przez najbliższy miesiąc wciąż prudentia, tylko podwiązywać mocniej. Tu, zebra i *mare humorum*. Co do miłości, cóż, dziś tylko przestrzegam cię, dziecko, lecz strzeż się, bo następnym razem będę karał. A tymczasem wystawiam notę pozytywną. Powodzenia.

– Dziękuję, sir! Po stokroć dziękuję!

Ponowne sznurowanie prudentii bolało. Krnąbrne ciało walczyło z gorsetem, opierało mu się jak co wieczór, gdy musiałam zdjąć go do kąpieli i na powrót założyć do snu. Nienawidziłam tych chwil słabości i nieposłuszeństwa, a teraz, pod okiem Lionela Manna i doktorów, nienawidziłam ich podwójnie: we własnym i jego imieniu. Och, zabić, zniszczyć tę podłą naturę, wznieść się wreszcie! Bądź mężna, pouczałam siebie, zaciskając zęby, ignorując ból. Wytrwaj. Nie płacz. Jeszcze chwila – i poczujesz się bezpiecznie.

Dociągane tasiemki skrzypiały. Biło głośno moje serce. Zamknęłam oczy i znów byłam w moim pokoiku, wsłuchana w odległy świst fabrycznych gwizdków oznajmających koniec dziennej zmiany, patrząca przez wąskie okienko na Londyn i migoczący nad nim blask Latarni Jutra. Zapatrzona, uwiedziona rytmem, śniłam, że rozrywam kokon gorsetu i lecę na skrzydłach wprost w tę wielką jasność.

*

O szóstej rano zbudziły mnie dzwony. Ira była już na nogach, w zasznurowanej do połowy industrii, szcزتkując włosy przed ułamkiem lustra; zakopana w pierzynę, patrzyłam przez chwilę, jak wyczesuje z jasnych loków wszędobylskie płatki sadzy. Na kuchence kipiał głośno imbryk. To dziś. Lęk poraził mnie jak piorun. Wskoczyłam z łóżka i ucałowałam towarzyszkę w czubek głowy.

– Aj, co robi, wariatka?

– To dziś, Iro, to już dziś!

Obmyłam twarz w miednicy, przełknęłam z trudem kromkę chleba i włożyłam przydziałową suknię: brązową, z ciemnozłotym lamowaniem. Serce pod naszywką z imieniem nie chciało się uspokoić. Dzień Mianowania. Pracowałyśmy na to tak długo, tak ciężko. Gdy Ira dała znać, że jest gotowa, prawie sfrunęłam po schodach.

Błotnistą uliczkę wypełniał już tłum spieszących do pracy kobiet, technicznych i agentek

pospołu, lecz w miejsce zwyczajnego gwaru dziwna panowała tego ranka cisza i powaga. Niebo było pogodne, jak na dobrą wróżbę, słońce pięło się powoli ponad mgłę. Szeroki strumień idących wlewał się na schody do stacji West Croydon. Uniosłyśmy rąbki sukien, aby zejść po stopniach, a półmrok ceglanych łuków zamknął się nad nami.

Mknąc pneumatyczną kolejką ku Dartmouth Arms, otoczona towarzyszkami już to drzemiącymi, już to w świetle rurek doktora Geisslera czytającymi „Damę Doskonałą”, wpatrywałam się w wizerunki mych idolek na drewnianych ścianach. Otoczona wianuszkiem dzieci Norah Elam. Sophia Singh o talii osy. Wyprostowana dumnie Ada Nield. Trzy Gracje. Trzy Ścieżki ku Perfekcji. Idealne matki, żony, pracownice, spoglądające z rycin na mnie, właśnie na mnie. Słyszałam ich nieme pytania. Czy wytrwasz? Czy jesteś dość mężna? Czy gotowa jesteś walczyć ze słabością, by kiedyś stać się nam podobną? Zaciskałam złożone na podolku dłonie, by się uspokoić, ale na nic się to zdało. Z zaaferowania omal przeoczyłam naszą stację. Wysiadając na podziemnym peronie trzeciej klasy, wciąż czułam na sobie palący wzrok Gracji.

Przed drzwiami do maszynowni, gdzie pracowała Ira, jak co rano zdjął mnie lęk. Ścisnęłam jej dłoń.

– Bądź ostrożna, błagam!

– Ja wie, Maryjka. Obiecuję.

I zniknęła w drzwiach, a ja ruszyłam dalej wraz z tłumem, starając się nie myśleć o tym, jak miażdżą ją stalowe tryby.

Winda wyniosła mnie wprost do budynku i punkt siódma siedziałam już przy swoim stanowisku na czwartym piętrze Imperialnej Kompanii Kapitałowej Bennett & Sons. Podbijając kartę, zerknęłam wzdłuż rzędów biur: wielkie godło naścienne NESSAN LTD., spółki-matki naszej, wypolerowano do połysku, a wszystkie koleżanki wyglądały jak spod igły, schludne i wyprostowane, z gorsetami zasznurowanymi do oporu. Nikt nie rozmawiał. Wielki dzień, tak, wielki dzień dla nas wszystkich. Wkręciłam czystą kartę w maszynę do pisania i otwarłam kluczykiem kłapkę poczty pneumatycznej. Prawie natychmiast w wylocie rury pojawiła się kapsuła. Wydobyłam papierowy rulon, rozwinęłam go i pod czujnym okiem salowej Cohle zabrałam się do pracy.

Choć wciąż nakazywałam sobie pośpiech, do południa zdołałam odpowiedzieć na zaledwie sto cztery depesze. Nie mogłam się skupić, gubiłam litery, myliłam wciąż kody nadawcze, a cichy świst przybywających wiadomości, który dawno już przestałam słyszeć, tego dnia wciąż zwracał mą uwagę. Przez ostatnie miesiące pracowałam wyjątkowo ciężko, do perfekcji ćwicząc z Irawą mój angielski, ucząc się obsługi telegrafu i tajników giełdy, by zaprezentować się jak najlepiej w dniach poprzedzających Mianowanie. Ten rok był ważniejszy niż inne, zbliżała się planowana z dawną fuzją spółek, a z nią przesunięcia w działach i promocje... Nie zważałam na zmęczenie. Wiem, że nikt nie ceni dobrych chęci. Tylko wysiłek przynosi owoce, a małe zmiany prowadzą do wielkich. Jeśli chcę się piąć ku górze, jeśli mam kiedykolwiek stać się pełnoprawną obywatelką Imperium, muszę na to zapracować, bo na leni nic nie czeka. Tego dnia chyba wszystkie to czułyśmy: wśród karteczek przesyłanych pneumatyczną pocztą nie było ani jednego zwyczajowego żarciku, ani pół ploteczki. Tylko akcje i weksle. Tylko praca. Schylona nad biurkiem, otoczona stukotem trzystu maszyn do pisania, uderzałam z furią w klawisze, komponując dowody wpłat i zestawienia notowań giełdowych.

Awans na piąte piętro, do Działu Transakcji Zamorskich, był marzeniem wielu, lecz moje sny sięgały dalej. Pragnęłam pracować w Latarni. Każdego wieczora, ledwie opadły zmęczone

powieki, stawała mi przed oczami lśniąca w słońcu szklana wieża, wznosząca się ponad miastem niby pochodnia postępu, i ja sama na najwyższym jej piętrze, pracująca pod okiem Lionela Manna. Nie było kwartału, by spółka się nie wzbogacała, nie było dnia, by ceny jej akcji nie rosły. Śniłam o telegramach mknących w świat z szybkością myśli, o kontraktach z Imperium Ottomańskim i Nipponem, o najszybszej maszynie rachującej świata, NESSAN, kalkulującej co sekunda milionowe zyski. Każdego roku Mann wybierał sto kobiet, by zatrudnić je w swych biurach. Tego roku będę jedną z nich.

Muszę.

O trzynastej zaczęło się wywoływanie. Pierwsza poderwała się z krzesła białowłosa Kjersti. Mnąc w dłoni zaproszenie na rozmowę, prawie bez tchu w ściśniętej zanadto patientii, znikła w gabinecie dyrektora; kwadrans później patrzyliśmy w kamiennym milczeniu, jak kroczy przez salę, by zebrać rzeczy i przenieść się na piąte piętro. Nikt jej nie pogratulował, znikła gdzieś nagle codzienna życzliwość. Czekałyśmy. Jedna po drugiej wstawały kolejne: uśmiechnięta nerwowo Yi, ponura Esther, Lena z Tanią, Fatma, Aiko, Kamala. Powracały zapłakane lub szczęśliwe, blade lub splonione, siadały ciężko za biurkami lub pospiesznie je sprzątały. Mnie wciąż nikt nie wzywał. Dwukrotnie złamałam stalówkę. Salowa Cohle tylko sznurowała usta.

Myślałam z niepokojem o tych, które odrzucono, dobrych, pracowitych dziewczynach ze wszystkich stron świata, dla których brak awansu często oznaczał rejs powrotny. Ze zniszczonych Wielką Wojną krajów przybyły nas tu niezliczone rzesze. Zapewne odesłano by nas w morze, lecz kimś trzeba było przecież zapełnić wakaty po mężczyznach poległych na froncie. Jej Wysokość Królowa Wiktoria postawiła sprawę jasno: kto udowodni swoją użyteczność, może pozostać na ziemiach Korony, ale dla darmozjadów nie ma miejsca. Niech wracają, skąd przybyli! Dzień Mianowania mógł nas wywyższyć, ale jeśli ocena wypadła szczególnie źle, mógł też bezpowrotnie strącić w przepaść. To sprawiedliwe, wiem, lecz nieposłuszne serce wie swoje i ściska się żalem, ilekroć któraś z agentek znika, aby więcej nie powrócić. Być może za krótko noszę mą prudentię; być może, gdy już będę uleczona ze słabości, nauczę się losem towarzyszek cieszyć.

Wreszcie wywołano mnie. Złożyłam starannie kartonik z zaproszeniem, wstałam i ruszyłam powoli ku obitym skórą drzwiom, jakbym szła na ścięcie. Próbowałam wzrok skupić na szklanych gablotach, ustawionych tuż przed gabinetem, gdzie żywe motyle trzepotały ku serc pokrzepieniu, lecz złe myśli, przy biurku trzymane na wodzy, teraz dopadły mnie wreszcie. Dygocząca, z duszą na ramieniu, obróciłam klamkę.

Augustus Maxwell Bennett ledwie rzucił mi spojrzenie znad zasłanego papierami blatu. Gabinet był niewielki, lecz pełen przepychu; zawitałam tu uprzednio tylko raz, w pierwszym dniu mej pracy dla Bennett & Sons, i tak samo jak wtedy poczułam się onieśmielona. Wysokie okno z widokiem na City, ciemna boazeria, zastawione książkami półki i stoliki, cztery mosiężne wyloty poczty pod złotym zegarem, a pośrodku, przy ogromnym biurku, wąsaty mężczyzna o posturze byka, tytan somatologiczny, który w przepastnych szufladach, na wyciągnięcie ręki, trzymał teczek z naszymi losami. Dygnęłam i opadłam na krzesło, cicha i pokorna.

– Khem, tak – zaburczał dyrektor, wkładając złoty monokl w lewe oko i przekładając dokumenty. – Panienci nazwisko.

– Joteyko, Mary Josephine.

– Joteyko... Joteyko... – powtórzył, zniekształcając z angielska. – Tak. Tak, istotnie. Zatem mam oto przed sobą raport na temat panienci i rzec muszę, że pozytywna, khem, pozytywna to wielce opinia. Salowa Cohle chwali tu panienkę bardzo.

Pomyślałam o surowej nadzorczyńi i jakoś w to nie uwierzyłam.

– Tak, dobrego dużo przeczytałem, bez wątpienia. Pracowita, owszem. Rzetelna. Lojalna. Gdy trzeba zostać po godzinach, zostaje. Mową naszą piękną dobrze włada, w Boga Jedynego wierzy, gorset przepisowo nosi. Opiekun panienki, sir Mann we własnej osobie, wielki somatolog i przyjaciel mój serdeczny, świadectwo zdrowia moralnego piękne tu panience wczoraj wystawił. Do noty jego już się przychyliłem, aprobatę dając, by panienkę wzięto do terminu. Jednakowoż.

Pobladałam.

– Jednakowoż, rzekłem, inna zapadła decyzja. Inna całkiem. Zrozumieć panienska musi, że NESSAN to nie byle co! Tam się, proszę panienska, odkryć dokonuje, tam się wynalazki wdraża, tam umysły najtęższe pod wodzą geniusza w pocie czoła całe dniie pracują, by Imperium Brytyjskie w swej potędze wciąż wzrastało. Na giełdach Europy, ba, świata, ceny akcji NESSAN od lat ciągną w górę! Czy panna widzi, jaka to ważna posługa? Czyż mogę ja polecić do niej kogoś, kto doskonałości nie osiągnął? Sama panienska rozumie. Lecz frasować się nie trzeba, bo i w naszej spółce okazji do awansu wiele. Otóż wyszło na jaw, iż telegrafistka moja, Elsa Turner, dopuściła się była, khem, postętku wielce niegodnego i pozostać tu dłużej nie może. Jest tedy wakant. Więc panna Joteyko, w uznaniu jej zasług, z dniem dzisiejszym wakant ten obejmuje, z przeniesieniem zarobków obecnych, czego gratuluję serdecznie w imieniu Kompanii oraz własnym. Żegnam.

Uczułam, że spadam. Chciałam krzycheć, wielki krzyk narastał we mnie, lecz zdławiłam go całą siłą woli.

– Ale... dyrektorze... – wyjąkałam bez tchu. – Ale dlaczego?

Przeszył mnie spojrzeniem zza monokla. Twarz mu pociemniała. Wstał wolno od biurka ze złowrogą miną.

– A cóż to ma znaczyć? – warknął. – Głosu udzieliłem?

Skuliłam się w krzesle.

– Przepraszam, ja tylko...

Uciszył mnie jednym uderzeniem w blat. Po wymuszonej jowialności nic nie pozostało. Patrzył teraz na mnie z góry tak, jak patrzyli gapie lata temu, gdy zawszona i brudna schodziłam wraz z tłumem z okrętu w Southampton: jak na szczura.

– Panna skąd przybyła? – spytał zimno. – Moskwa?

– W-warszawa...

– Jeszcze słowo i może panienska tam wracać. A teraz precz.

*

– Głowa do góry, nie łam się, kochana – pocieszała Elsa Turner, kiwając się groźnie na dwóch nogach krzesła. Obity gąbką maleńki pokoik wypełniał terkot telegrafu. – Marudzisz tylko i marudzisz! A tu przynajmniej będziesz miała ciszej. No zgoda, owszem, ciasno trochę. Ale żeby od razu rozpaczać? Ty przynajmniej nadal masz pracę, a ja... Gdzie mnie przyjmą brzemienią? Towar bez wartości... Ach, zaraza niech weźmie to wszystko. Dlatego trzeba korzystać, póki można! No już, nie maż się, nie bądź taka przerażona. Tu masz książkę kodów, tu słowniczek, jak przyjdziemy z obiadu, to cię zapoznam z drutowymi w innych spółkach. Jest parę niegłupich, a sama zobaczysz, jak przyjemnie się te głupie obgaduje Morse'em. I dadzą ci wejściówkę do Ogrodów! Nieźle, co? Byłaś kiedyś? Mary?

Nie czułam nic, zupełnie nic, siedząc na wyścielonym szmaragdowo krześle jak woskowa figura od Madame Tussauds i wpatrując się we własne dłonie, jakbym zobaczyła je pierwszy raz w życiu: papierowo białe, porcelanowo kruche. Wzmocnione fiszbiny prudentii boleśnie uciskały żebra przy każdym spazmatycznym wdechu, ale ten ból nie był mój, dotyczył kogoś innego, napływał tylko z daleka jak fala przyboju. Jak dziwnie. Jak dobrze. Kawalek drewna niesiony przez wodę. Czy to już? Czy właśnie się przepoczwarzyłam? Obiecano mi kres wszelkiej kobiecej słabości, a teraz nie jestem słaba, bo nie czuję nic.

– Mary, no, do diaska!

Podskoczyłam; to Elsa uszczypnęła mnie dotkliwie. Spojrzałam w jej zniecierpliwioną, bladą twarz.

– Przebacz mi, Elso, ja... Boże mój. Ja po prostu nie pojmuję.

Parsknęła śmiechem, podając mi stosik blankietów.

– A co tu jest do pojmowania? Życie, Mary. Wszystkie upadamy. Masz, posortuj, to są poranne depesze. NESSAN tutaj, pozostałe – obok. Dziwne wyrzucaj.

– Dziwne?

– Ach, krążą takie. Ktoś się bawi telegrafem, śle po liniach bełkot. Pewno z nudy. Jak zobaczysz podpis „Pajęczarka”, ciskaj od razu do kosza.

Zacisnęłam wargi i zabrałam się do pracy, układając kartoniki w odpowiednich przegródkach. Elsa poszła grzebać w tekturowych teczkach, których stopy zalegały w wąskiej szafie; słyszałam, jak próbuje nucić, ale każda zaczęta melodia rwała się zaraz i cichła. Telegraf wciąż stukał miarowo. Minęła chwila błogiej znieczulicy, zdławiony przedtem krzyk znów we mnie narastał, aż wielki balon rozpaczy i żalu wreszcie pękł.

– Ale przecież to niesprawiedliwe! – wybuchłam, mnąc depesze. – Dlaczego odebrano mi szansę? Nie wiem nawet, co zrobiłam źle! Jak mam się poprawić, skoro nie wiem, w czym zawiodłam? Musiała zająć pomyłka, ja się przecież tak starałam!

Posłyszałam gorzki śmiech za plecami.

– Mary, kochana, i cóż z twoich starań? Dostrzegł je kto? Jesteś czasem tak naiwna... Albo masz coś, czego pragną, a wtedy biorą to sobie, albo po prostu tego czegoś nie masz.

Jej słowa pełne jadu ubodły mnie do żywego. Zesztywniałam. To nie była moja Elsa. Co się stało z roześmianą, życzliwą dziewczyną, która powitała mnie w firmie przed zaledwie kilku laty?

– Zamilcz! – warknęłam, nim zdołałam się powstrzymać. – To wszystko przez ciebie! Gdyby nie ty, nie twoje schadzki z mężczyznami, może byłabym teraz w Latarni!

Odpowiedziało milczenie tak głucho, że aż mróz mnie przeszył. Obróciłam się na krześle i ujrzałam, wstrząśnięta, jak Elsa płacze, przyciskając dłoń do ust, przykucnięta przy szafie pełnej szarych teczek.

– Och, Elso, przebacz, ja nie chciałam...

– Nie, masz rację, Mary – szepnęła przez palce. – To moja wina. Mogłam być silniejsza... Mocniej sznurować gorset, spuszczać wzrok. Zostawiać drzwi otwarte, gdy przychodził tu dyrektor...

Zabrakło mi tchu.

– Elso, o mój Boże!

Podniosła na mnie pełne łez spojrzenie.

– Jak ja mogłam mu to zrobić?

*

Sama w obitym gąbką pokoiku, otoczona ciszą i rwanym rytmem telegrafu, straciłam rachubę czasu. Zegar mego życia ruszył wstecz. Ponownie byłam na okręcie, skulona w kącie pod pokładem, niesiona przez zimne, groźne morze ku nieznaney przyszłości.

Wielka Wojna. Śmierć papy. Nędza. Emigracja. Cała ta cierniowa droga, którą z matką przebyłyśmy, wierząc, że gdzieś czeka lepszy los. Gdyby było tu okno, dostrzegłabym może Latarnię, ku której zmierzałam, odkąd uciekłyśmy z kraju. Lecz teraz mogłam tylko dryfować na ślepo, daleko od bezpiecznych brzegów.

Pracowałam, nie wiedząc, co czynię, rozdarta między lękiem o Elsę a żalem nad sobą. Stukały przychodzące pneумы. Z wirujących wolno trybów telegrafu wysuwały się ku mnie papierowe węże, szeleszcząc i sycząc. Może przynajmniej Irze się udało? Może jest już w drodze do Latarni, już widzi światło na jej szczycie, już stoi szczęśliwa przed doktorem Mannem? Czy usłyszę dziś wieczór, jak wygląda miasto z czterdziestego piętra, gdy złote słońce odbija się w wodach Tamizy, a statki powietrzne z godłem NESSAN suną majestatycznie nad dachami?

Pracowałam, aż nie mogłam już pracować dłużej, bo z oczu popłynęły łzy. Pozwoliłam im płynąć. Lada moment wypełnią pokoik, a ja pójdę na dno...

Złożyłam dłoń na mosiężnej gałce telegrafu i poczęłam wołać w pustkę, wystukując niekończący się rytm kropek i kresek – *Save Our Souls. Save Our Souls. Save Our Souls* – wiedząc, że nikt nie odpowie.

Westchnęłam. Osuszyłam chustką twarz. Dosyć, Mary. Musisz być mężna. Musisz wytrwać, jak wytrwała mama. Przypomnij sobie rady z „Damy Doskonałej”. Musisz starać się bardziej, walczyć mocniej, pracować dłużej, ciężiej i spokojniej. Dosyć, dosyć tych porywów serca.

Telegraf po raz setny zastukał miarowo, wysuwając ku mnie białą wstęgę. Ujęłam ją w dłonie. Odczytałam znaki Morse’a. I zamarłam.

NIE ZATONIESZ. IDZ ZA BIAŁYM MOTYLEM. PAJECZARKA.

*

– Ty musiała coś pomylić – powiedziała Ira, wierząc się pod pierzyną, jakby nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nocny deszcz bębnił głośno w szyby.

– Nic nie pomyliłam. Przysięgam ci, sprawdziłam linię wiele razy. Wiadomość nie miała kodu nadawczego.

– No ale jak to? Znikąd przyszła?

– Nie wiem.

Leżałyśmy w łózkach, rozmawiając, choć w pobliskim klasztorze szarytek dawno już dzwoniło na spoczynek. Odległy blask Latarni raz po raz rozświetlał ciemność, zmieniając ją na mgnienie w szarość. Zbyt byłam przejęta, aby spać: rozprawiałyśmy o Dniu Mianowania. Iry także nie awansowano, co tak ją rozgniewało, że podczas naprawy o mało nie wpadła w wirujące tryby. Zemdlałam prawie, gdy o tym mówiła, i długo jeszcze ochłonać nie mogłam.

– Słuchaj, ja nie pracowałam nigdy z telegrafem, ale teorię, psia mać, zna – rzuciła teraz Ira w ciemność, przewracając się znów z boku na bok. – Gdy maszyna nadaje, jest kod zawsze, ale człowiek, jeśli zechce, może maszynę ominąć i wiadomość wprost na linię nadać. Może drutowa jaka w innej firmie robi żarty?

– Taka była moja pierwsza myśl. Ale byłam potem z Elsą na posiłku i ona twierdzi, że za te

kobiety ręczy. Same były zaintrygowane, podpytywały się, wymieniały tymi depeszami. Krąży od lat. „Nie ufaj NESSAN”. „Zbudź się wreszcie”. „Przyjdź do mnie”. Zgłosiły to nawet kierownictwu. W końcu dały za wygraną, bo nic nie wskórały.

– No to nie wiem.

Zamilkłyśmy na chwilę. Gdzieś pod fiszbinowym uściskiem prudentii, w głębi serca, wzbierał smutek, ale nie dopuściłam go do głosu, uciekłam przed nim czym prędzej.

– Rany, ja ma ochotę ubić dyrektora – mruknęła Ira, jak gdyby usłyszała te stłumione myśli. – Ma ochotę wziąć ten jego tłusty ryj i wydłubać mu te świńskie oczka. Biedna Elsa.

Nawet tutaj, w ciemności, nie miałam odwagi przytaknąć.

– Uch, ale ten gorset dziś pije... Maryjka, słucha, ta depesza. „Idzie za białym motylem”.

– Tak?

– Do głowy coś wpadło. Na peronie jest zawsze afisz. „Ogrody Królowej Wiktorii zapraszają”. Pokaz roślin i zwierząt z kolonii. I godło, śliczny biały motyl. Ja się nieraz zapatrzy, takie чудо. Ty widziała?

Znieruchomiałam, rozmyślając nad tą wieścią. Lecz zaraz opadły mnie wątpliwości.

– I ja tak po prostu tam pójde? Ale po co? Przecież to wszystko jedna wielka kpina...

– A czy ja zmusza? Sama chciała o tym mówić. Ja sobie myśli po prostu, że i tak jutro całą niedzielę po kościele my będą siedziały tutaj i łyły łyły. Myśli, że nie? Mnie też, Maryjka, przecie smutno. Ja też chciała do Latarni. Bardzo. Robić przy NESSAN. Najprędza maszyna rachująca świata, ech... To skoro jutro smutek, może niech idą do ogrodu? Jak dali bilecik... Uch, jaki gorset niewygodny, uch, uch.

Jej łóżko zaskrzypiało przeraźliwie. Pomyślałam o Elsie, o wielkich rękach dyrektora Bennetta, i coś ukłuło mnie w serce, jakby stopniał w nim okrucieństwo diabelskiego lustra. Dłonie same ścisnęły się w pięści.

– Masz rację, Iro. Zróbmy to. Niech się dzieje wola nieba. Pójdiesz ze mną?

– Na przyzwoitkę ja zawsze chętna.

Okienko nad głową poszarzało, rozjaśniło się na moment, gdy padł na nie blask Latarni Jutra. Leżałam z otwartymi szeroko oczami, czując, jak cichy, lecz gorący gniew obmywa falami me ciało. Ira westchnęła głośno, teatralnie, niecierpliwie, kotłując się w pościeli tak, że stare łożo zajęczało doprawdy piekielnie.

– Maryjka kochana, no nie może ja dziś z tym gorsetem. Pije industria i pije! Ktoś mi musi troszeczkę rozwiązać tasienki...

Zamarłam, czując pełną po licach rumieniec. Serce zatrzepotało jak ptaszek.

– Ira...

– Maryjka, no nie zostawi mnie chyba w potrzebie?

Zacisnęłam powieki. Odnalazłam w talii Morze Roztropności. Zdusić, zdławić ten ogień, co się we mnie rodzi, nie pozwolić się spopielić! Nie ulec znów ciału, głupiemu porywowi serca, grzechowi zrodzonemu ze słabości, z samotności i tęsknoty. Z pragnienia miłości. Nie ulec. Nie!

– Maryjka...

Zerwałam się z łóżka i wślizgnęłam w gorącą jamę pod pierzyną, prosto w głodne ręce Iry.

*

Gdy po popołudniowej mszy wyszłyśmy z kościoła na pochmurny plac, ja w najmniej zniszczonej z trzech moich sukien, Ira w pożyczonej, deszcz przestawał już padać. Lato wciąż

nie mogło opuścić Londynu, ociągało się, drzemało na ciepłych dachach jak leniwy kocur, z pociętego drutami telegrafu nieba słońce rzucało na bruk pajęczę cienie. Towarzyszka wzięła mnie pod ramię i poszłyśmy w stronę przeciwną niż reszta, zmierzając ku dalekiej przeszklonej budowli.

Ścisnęłam mocno w urękawiczonej dłoni mój służbowy bilecik z motylem, przyznający prawo wstępu do Ogrodów Królowej Wiktorii pannie Marii Józefinie Joteyko, córce Józefy Franciszki, zatrudnionej na stanowisku drutowej w Bennett & Sons, wraz z jej damą respektową, ważny przez jeden dzień za okazaniem. Nigdy przedtem nie byłam w Ogrodach; pracując przy wpłatach, nie miałam tam wstępu, a choćbym nawet wstęp ów miała, nie skorzystałabym zapewne, włóczęgi po mieście uznając za zbytek. Podjęta zeszłej nocy decyzja z każdym krokiem zdawała mi się coraz bardziej szalona i byłabym zapewne zawróciła, gdyby nie silne ramię Iry. Szłyśmy więc zatłoczonymi ulicami, podziwiając część Londynu, jaką rzadko dane nam było oglądać.

Miasto pięło się ku niebu. Im bliżej centrum, tym wyżej wzrastały budynki, wyciągając iglice i dachy ku górze, jakby chciały się znaleźć na równi z Latarnią, która nawet teraz, z wygaszoną lampą, przyciągała wzrok z najdalszych zakątków. Świeciła zresztą i za dnia, przy dobrej pogodzie jej przeszklone ściany odbijały słońce jak wielkie zwierciadło, aż zmieniała się w iglicą zwieńczony miecz ognisty, pomnik i pamiątkę Wielkiej Wojny. Zapatrzonej w tę jasność Londyn przemieniał się, przepoczwarzał, ciężkie stare kamienice ustępowały z wolna miejsca budowlom lekkim i strzelistym, o surowych, ale pięknych rysach. Duch nowej epoki wsiąkał w miasto, zastępując blask gazowych lamp mocnym elektrycznym światłem, rozpinając nad głowami druty telegrafu, powlekając nagie przedtem mury setką barwnych afiszów i szyldów. Ponad głowami niedzielного tłumu Londyńskie Koleje Próżniowe ogłaszały rozbudowę linii Central, NESSAN zapraszało na Wystawę Światową, Szkoła Żon imienia Trzech Gracji polecała usługi somatologiczne Madamy Butterfly – a wszystko to lśniące, mieniące się barwą rurek doktora Geisslera.

– Wzbudzone elektrycznie gazy szlachetne – objaśniła podniecona Ira, obracając wciąż głowę na prawo i lewo, by pochłonąć spojrzeniem jeszcze więcej cudów. – Uch, ile ja by dała, żeby móc robić wynalazki...

Kiwałam głową, nic a nic nie pojmując, urzeczona jak mała dziewczynka, zapatrzonej w zajmujące pół fasady uśmiechy Trzech Gracji, dziękujących darczyńcom za hojne datki na Program Odnowy Moralnej. Poglaskałam przez suknię mój gorset. Może doktor Mann miał rację? Może potrzebna mi temperamentia? Od sześciu lat w ślad za Adą Nield kroczę Ścieżką Pracownicy, lecz może powinnam kroczyć Ścieżką Żony? Temperamentię nosi Sophia Singh, egzotyczna, kolonialna piękność, by wypłenić z siebie nieczystość i pychę... Przypomniałam sobie noc minioną i spojrzenie Gracji wydało mi się nagle pełne potępienia. Co by matka powiedziała, Mario?

Mama by przebaczyła grzech z miłości, odparłam w duchu i przerażona swą śmiałością, pociągnęłam Irę naprzód, by czym prędzej umknąć spod afisza.

Ogrody Królowej Wiktorii wyłoniły się zza domów. Zmrużyłam oczy, gdy uderzył w nie blask słońca odbity od ogromnych szklanych kopuł. Zapięły dech. Pawilonów było kilkanaście, wybrzuszały się ponad dachy w nierównych odstępach; pomiędzy dalszymi widziałam pajęczę nitki powietrznej kolejki dla odwiedzających pierwszej klasy. Zeszłyśmy wysadzaną kwieciami promenadą wprost ku kopule najbliższej, największej, ku bramie, nad którą mienił się tysiącem iskieł motyl z brylantów i białego złota. Okazałam w wejściu mój bilecik,

młodzieniec w surducie wpisał mnie do księgi i weszliśmy do środka.

W jednej chwili wróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa, z letnich wycieczek do majątku dziadka, co zdawały się wtenczas wyprawami aż na kraniec świata. Teraz, gdy od tamtych lasów dzieliły mnie morza i lata, mogłam jedynie smutno się uśmiechnąć. I natychmiast pojęłam, porażona przepychem, otoczona puszcza w sercu Londynu, że tę samą tęsknotę czuł twórca Ogrodów: pragnienie, by zamknąć dni rajskiej beztroski w szklanej kuli i nie pozwolić im przeminąć.

Ira pociągnęła mnie w boczną alejkę, między spacerowiczami, mijając stateczne damy pod parasolkami i zadbanych dżentelmenów w melonikach. Nawet tu, w tym pięknym miejscu, można było dostrzec ślady wojny: wśród obecnych wciąż niewielu było mężczyzn. Pograżona w ponurych wspomnieniach, dopiero po chwili spostrzegłam, czym się kierowała moja towarzyszka: do drzew i lamp przypięto motyle z papieru, trzepoczące w wietrzyku białymi skrzydłami, wskazujące drogę. Uczułam zwątpienie, gdy stało się jasne, że motyle wiedzą nas w gęstwinię, w dróżki mało uczęszczane, zarośnięte miejscami tak bardzo, że gdy szłyśmy, liście ocierały się o suknie. A potem ścieżka nagle się skończyła, wyprowadzając nas na trawiasty skwerek ze wszech stron otoczony lasem, gdzie towarzyszem był nam tylko zgarbiony nad krzewem czarnoskóry ogrodnik w liberii. Motyle, żywe, wielobarwne, fruwały wokół jego pochylonej głowy, przysiadając na czerwonych i błękitnych kwiatach.

Przystanęłyśmy, niepewne, dokąd zmierzać dalej.

– Ja przeprasza! – zawołała Ira. – Proszę pana! My się chyba zagubiły, czy pan będzie miły wskazać dro...

Urwała w pół słowa. Ja krzyknęłam, zasłaniając usta. Orodnik obrócił się ku nam powoli, a wtedy ujrzałyśmy twarz jak z koszmaru: szklane oczy w czarnej twarzy, dwie zegarmistrzowskie soczewki wysunięte ku nam w objęciu metalowych gogli. Cofnęłyśmy się o krok, przestraszone, a on wyszczerzył śnieżnobiałe zęby.

– Nie jesteś zagubiona – szepnął. – Podejź bliżej.

Pochylił się znowu nad krzewem. Obejrzałam się na Irę; minę miała równie nietęgą jak ja, ale pokiwała głową. Wzięłam głęboki wdech, aż prudentia ścisnęła mi żebra, i z duszą na ramieniu zbliżyłam się do Murzyna.

– Szukam Pajęczarki – bąknęłam, unosząc rąbek sukni i przykucając tuż obok. – Czy wiesz może...

– A ona, Mario Józefino, szuka ciebie.

Wciągnęłam głośno powietrze. Poczulałam lęk przed tym człowiekiem.

– Skąd znasz moje imię?

Skinął ręką w stronę krzewu.

– Popatrz.

Podążyłam za jego kryształowym wzrokiem. Na grubej łodydze, tuż pod rozłożystym liściem, dostrzegłam brązową tulejkę: zamkniętą w kokonie poczwarkę, nad którą polatywały niespokojnie pręgowane, czarno-żółtawe motyle. Zdawało się, że stoją tu na straży, czuwając nad tajemną przemianą, gotowe powitać istotę, która wnet się narodzi, by po raz pierwszy wzlecieć w słońcu. W zieleni i ciszy Ogrodów, pod szklaną kopułą, uczułam się świadkiem czegoś cudownego, kapłanką najświętszej przemiany. Usłyszałam, jak Ira zbliża się troszeczkę, ciekawie wyciągając szyję.

– *Heliconius charithonia* – wyszeptał ogrodnik, przyglądając się poczwarcie przez swe gogle.

– Śniesz, Mario, że chcesz być motylem. Pajęczarka słyszy twoje sny. I pragnie, abyś wreszcie się

zbudziła. Patrz uważnie.

Przykucnięta, schyliłam głowę jeszcze niżej. Na moich oczach kokon pękał. Ujrzałam, jak coś porusza się pod pancerzykiem, jak niespiesznie lgnie ku światłu, jak z wolna wydobywa się z osłonki – w pierw głowa, potem mokre, pozlepiane, drżące skrzydła...

Lecz wtem zakłębiły się pasiaste strażę i rzuciły na nowo narodzoną jak tygrysy. Największy musnął mój policzek. Ujrzałam, zmartwiała ze zgrozy, jak spada z góry na bezbronną, jak siłą przytrzymuje ją w kokonie, a później nagłym rzutem odwłoka przyszpila...

Krzyknęłam, zrywając się na równe nogi. Spłoszone motyle furkotały wokół twarzy. Odpędziłam je ze wstrętem.

– Niezwykle istoty – rzekł ogrodnik, kiedy Ira pochwyliła mnie za ręce i poczęła uspokajać. – Gdy przychodzi pora godów, samiec parzy się z poczwarką. Zapładnia ledwie narodzoną samiczkę, by nie ubiegł go żaden zalotnik. Wie dobrze, że nie ma czasu do stracenia. Czym skorupka nasiąknie za młodu...

Wskazał ręką między drzewa.

– Pajęczarkę znajdziesz tam, w Terrarium Groźnych Stworzeń. Idź, jeśli czujesz się gotowa. Lub wróć do domu, jeśli wolisz. Wybór należy do ciebie.

I pochylił się znów nad poczwarką, a pasiaste motyle wzbiły się nad błękitne i czerwone kwiaty.

*

Terrarium Groźnych Stworzeń odnalazłyśmy po krótkim marszu, skryte w gąszczu rozłożystych, cienistych platanów. Czarna brama z kutego żelaza otwierała tutaj zejście do podziemi. Dolne stopnie ginęły w półmroku. Ze szczytu łuku, znad gotyckich liter nazwy pawilonu, szczyrzyła diabelsko zęby ludzka czaszka, z której oczu wypęłzały węże.

– O, nie – oświadczyła stanowczo Ira. – Nie, nie, nie.

– Zaszłyśmy tak daleko... – wyszeptalam.

– To idzie sama, Maryjka. Ja się boi węży.

Pozbawiona uścisku jej ciepłej dłoni, uczyniłam niepewny krok naprzód i poczułam, jak całe męstwo mnie opuszcza. Żelazna czaszka uśmiechała się złowrogo. Czy ja postradałam zmysły? Co tu w ogóle robię? To przecież czysty obłęd, biec tak w las za motylem, gonić bezcielesne wołanie gdzieś z sieci...

Zeszłam po wyłożonych drewnem stopniach.

Nawykle do patrzenia w słońcu oczy nic z początku nie widziały; gdy zeszłam wprost w gorącą, duszną ciemność, stanęłam w bezruchu, otoczona chrobotem, trzepotem, szelestem, aż kształty jęły wyłaniać się z mroku. Długi, kręty, wąski pasaż, w którego mury wpuszczono przeszklone gabloty. Podeszłam z wahaniem do najbliższej. Było to podświetlone słabo wiwarium, wypełnione ćmami niezwyklej rozmiarów, co krążyły za szybą pośród roślinności. Dotknęłam szyby, patrząc, jak trzepoczą skrzydłami, i poczułam dreszcz. Ruszyłam wolno, oglądając kolejne gabloty, a w nich owady fantastyczne, groźne, węże zwinięte na gładkach, ohydne wiję dłuższe od mej dłoni, akwaria pełne ryb o ostrych zębach, szerszenie, skorpiony, pająki. Zdjęta grozą, wpatrzona w zamknięte za cienkim szkłem potworne życie, które się wiło, roiło, pełzało, zapomniałam niemal, po co tu przybyłam – i dlatego aż krzyknęłam, gdy za plecami posłyszałam głos:

– Przyszłaś.

Obróciłam się gwałtownie. W kącie za insektarium czarnych wdów zamajaczyło coś białego. Twarz tak blada, że przywodząca na myśl ducha.

– Już wątpiłam... Próbowałam od tyłu miesięcy...

Nie postać przestraszyła mnie najbardziej – lecz to, że mówiła po polsku.

Cofnęłam się z przestachem, wpadając niemal na gablotę. Pajęczarka wyszła z cienia. Jej strój zlewał się z ciemnością, lecz gdy wyciągnęła ku mnie lewą rękę, w zielonkawym elektrycznym świetle coś zalsniło metalicznie na jej dłoni: misterna konstrukcja z drutów i pierścieni, oplatająca żywe ciało na podobieństwo rękawiczki. Rozciągnięte od opuszków druty niknęły w rękawie, a gdy podążyłam wzrokiem za ich biegiem, zaczęłam drżeć: łysą czaszkę kobiety też oplatał metal, pajęczyna stali zbiegająca się po lewej stronie głowy w bulwiastą narośl. Oczy kryła za czarnymi szklami ociemniałej.

– Nie krzycz. Chcę cię zobaczyć.

Przywarłam plecami do szklanej tafli. Drżąca jak osika, z prudentią dławiającą mi dech, czekałam na dotyk zimnej metalowej dłoni, lecz dotknęła mnie ręka prawa, ciepła, żywa. Objęła łagodnie policzek, musnęła usta, nos i oczy, jak prędko pająk przebiegła po skroniach i zanurzyła się we włosy. Zebrałam w sobie całą odwagę.

– Kim ty jesteś? Czego chcesz? Po co mnie wezwałaś?

Pajęczarka opuściła dłoń. Błede usta złożyły się w uśmiech. Zdawała mi się na przemian to potworem, to zjawą, i gdyby nie bolesny kurcz trzewi, uwierzyłabym, że muszę śnić.

– Nie wzywałam cię, Mario – rzekła. – Przyszłaś sama. Chciałaś mnie odnaleźć, bo cię okłamano. Bo skrzywdzili cię i wiesz, że skrzywdzą znowu.

Zbliżyła się jeszcze i ujrzałam swoją twarz odbitą w czarnych szklach.

– Oni wiedzą, kogo kochasz. Augustus Bennett i Lionel Mann. Twoja miłość to dla nich policzek. Pamiętaj, Mann to żołnierz. Oficer. A dla oficera nie ma zbrodni cięższej niż bunt.

Poczułam łzy pod powiekami. Poczulałam, że znowu stoję obnażona przed mym Opiekunem. Pozwoliłam się dotknąć – czy ciało znowu mnie zdradziło? Czy wydało w obce ręce swe sekrety, pozwoliło ślepym oczom zajrzeć w otchłanie mej duszy, gdzie sama tak bardzo boję się zaglądać?

Ręka z metalu ścisnęła mą dłoń.

– Nie pojmujesz? – wyszeptła Pajęczarka. – Nie czujesz, jak z dnia na dzień słabniesz, poczwarko? Przywłaszczyli sobie twoje ciało. Zwrócili na nie swe lunety, sporządzili mapy, nazwali twoje morza i zatoki. Skatalogowali wszystko. Wskazali części piękne i niepiękne, pożądane i wstydlive. Wycenili cię jak towar. Obiecali, że będziesz motylem, że ich nauka, stworzona dla wojska, ciebie też uczyni doskonałą, więc pozwoliłaś się zamknąć w kokonie. I nie czujesz, że to nie jedwab, tylko pajęczyna.

Serce tłukło mi dziko o klatkę prudentii. Dostrzegłam coś, co w półmroku umknęło mi przedtem: pod przylegającym ściśle czarnym strojem Pajęczarka nie miała gorsetu.

– Jesteś obłąkana – wykrztusiłam.

– Jak myślisz, Mario, czemu nie awansowałaś? Miałaś świetne wyniki, sprawowałaś się wzorowo. Doktor Mann wystawiał ci wysokie noty. Wiem, czytałam sprawozdania. Powinnaś była trafić do Latarni. A mimo to upadłaś, zamiast wzlecieć – zostałaś telegrafistką pod bokiem Bennetta, objęłaś niskie stanowisko po kobiecie zhańbionej. Nie ciekawi cię, czemu tak się stało?

Metalowa dłoń sięgnęła za pazuchę i wyjęła coś białego: rulon papierowej taśmy.

– Zobacz sama.

Z wahaniem przyjąłem telegram i podsunęłam go pod słabe światło insektarium. Odcyfrowałam kod Morse'a.

OD: [#BENNETT13] DO: [#NESSAN92] M. JOTEYKO ZOSTAW DLA MNIE.

Podniosłam wzrok na Pajęczarkę. Ręce mi drżały. Nie chciałam uwierzyć, lecz sekretne kody nadawczo-odbiorcze były autentyczne: nikt poza spółką nie miał prawa ich znać.

„Zostaw ją dla mnie”.

– S-skąd to wzięłaś?

Uśmiechnęła się tylko.

– Czas już na mnie, Mario. Ale nim odejdę... jeszcze coś dla ciebie.

Sięgnęła znowu za pazuchę i podała mi kapsułę poczty pneumatycznej. Od tych, których używałam w firmie, różniła się tylko zamknięciem: na rzeźbionej zakrętce zamiast znaku Bennett & Sons widniał pająk.

– Nie otwieraj tego pod żadnym pozorem – powiedziała, a ja znów ujrzałam siebie w czarnych szklach. – Daję ci wybór. Jeśli wolisz żyć, jak żyłaś dotąd, ciśnij kapsułę do rzeki i zapomnij, że się spotkałyśmy. Ale jeśli pragniesz się wyzwolić, zabierz ją do pracy i poślij Augustusowi Bennettowi. Nikt nie będzie wiedział, że to ty. A to, co Bennett znajdzie w środku, raz na zawsze go zniszczy. Zwracam ci siłę, którą ci zabrano. Sama zdecyduj, czy chcesz z niej skorzystać.

Obracałam lekki przedmiot w dłoniach, skołowana. W środku zaszeleścił papier. Co takiego mogło być tam zapisane? Jakie słowa miały w sobie moc, by obalić dyrektora potężnej kompanii? I kim, na Boga, była ta kobieta?

– Posłuchaj, Pajęczarko, muszę wiedzieć...

Lecz kiedy podniosłam wzrok, nikogo już przy mnie nie było. Zostałam sama w ciemnościach, otoczona bestiami, ścisnąc w rękach moją przyszłość.

*

– Mary Joteyko. Ja do mamy.

Zakonnica poprowadziła mnie długim korytarzem, przyświecając nam kagankiem. Po niedawnym spotkaniu w Ogrodach nie potrafiłam dojść do siebie: zdawało mi się stale, że za mijanymi drzwiami hospicjum czają się węże, skorpiony, pająki. Nie jadłam od rana, lecz nie czułam głodu, brzuch ścisnął cichy, tępy ból, pulsujący w rytm uderzeń serca. Szarytka wskazała mi salę.

Mama leżała w najdalszym kąci, pod biało malowanym oknem, przez które wpadało światło późnego wieczoru. Długo stałam w progu, patrząc na dwa rzędy łóżek, z których dobiegały szeptane modlitwy, głuchy kaszel, zawodzenie ciche a bolesne. Nie przyszłam tu po miłość, powtórzyłam sobie. Nie ma nadziei. Maszyna, którą mama wówczas naprawiała, zmiażdżyła kręgosłup. Mogę płacić za opiekę, lecz nie mogę jej uzdrowić. Decyzja, by zaprzestać odwiedzin, była słuszna. Rozsądna. Konieczna.

Zmusiłam się wreszcie, by uczynić krok.

Twarz mamy, wychudła, woskowa, nawet nie drgnęła na mój widok. Chciałam wyrzec pozdrowienie, lecz słowa uwięzły mi w gardle. Przysiadłam tuż obok na zydlu, poprawiłam poduszkę, okryłam bezwładne ciało aż po szyję. Ucałowałam chłodną skroń. Jakbym układała ją do snu. Jak ona układała mnie. Mama. Czy po to tylko ludzie płodzą dzieci? By potem sami na powrót dziećmi stać się mogli?

Głaskałam siwe, przerzedzone włosy, do bólu przygryzając usta.

– Dobry wieczór, mamó – szepnęłam w końcu. – Nie wiem, czemu przyszłam. Przestałam rozumieć, co czynię.

Skuliłam się, na ile pozwolił mi gorset, pochyliłam głowę jak przed spowiednikiem.

– Pamięta mama tamten bal, w dziadkowym majątku, gdy pierwszy raz poproszono mnie do tańca? Mój Boże, ileż lat temu to było... Muzyka grała tak prędko, kawaler wirował tak szybko, próbowałam dotrzymać mu kroku, lecz nie mogłam, a on przyspieszał tylko i przyspieszał, muzycy podchwycili tempo, inne pary zeszyły nam z drogi, tańczyłam już na czubkach palców, nie widziałam już świata wokoło, pęd mnie dławił, smugi, światła w sali wirowały, okrężały mnie szaleńczo, a może to ja wokół nich krążyłam, nie pamiętam, nie wiem – i nagle pomyliłam krok. Upadłam. Nie mogłam się podnieść, tak bolało, a wszyscy wokoło się śmiali, kawaler i papa i goście...

Podniosłam wzrok i spojrzałam w puste oczy, w tę twarz przed wypadkiem tak piękną, kochaną, teraz bez jednego śladu życia.

– Śnię o tym czasami, wiesz? Jest zmierzch, wuj na poddaszu gra na skrzypcach, a my wychodzimy na ganek, ty i ja, słuchać ciszy. Pamięta mama ciszę nad łąkami? Tyle czasu i tyle przestrzeni. I wszystko widać tak wyraźnie. Pachnie maciejka, pachnie ziemia, kołyszą się trawy, niebo nad głową jest takie ogromne, przepastne, próbuję zliczyć na nim gwiazdy, a ty trzymasz mnie mocno za rękę, bym nie zgubiła się na gwiazdnej dróżce. Pamiętasz? Ja pragnęłam zapomnieć, bo wojna zabrała to wszystko. I zapomniałam, na długo, na lata, a dziś znów pamiętam. Po co ja pamiętam, mamó?

Odnalazłam zimną dłoń pod pościelą i ścisnęłam z całej siły.

– Budzi się we mnie coś, czego się lękam – szepnęłam. – Sny ciemne, przecucia dzikie, myśli straszne. Jeszcze wczoraj wiedziałam, jak wygląda świat, lecz dziś już nie wiem. Nie wiem...

Głos uwiązał mi w gardle. Czy dłoń mamy drgnęła? Dopadłam wezglowia, zawisłam nad twarzą jak jastrząb, szukając choć śladu uśmiechu, choć błysku w półotwartym oku. Lecz ona wciąż spała, odległa, choć bliska, bezpieczna w swoim śnie na jawie, w ciemności, która ją skryła przed złem tego świata.

Wróciłam do domu pod bezgwiezdnym niebem, w strumieniach rześkiej ulewy. Nikt nie widział, że płaczę, deszcz połykał łzy.

*

O szóstej rano jak co dzień zbudziły mnie dzwony. Wydostałam się spod ramienia drzemiącej wciąż Iry. Obmyłam twarz w miednicy, nie dojadłam kromki chleba i włożyłam przydziałową suknię: brązową, z ciemnozłotym lamowaniem. Dociągnęłam tasiemki gorsetu najciaśniej, jak mogłam. Pojechałam kolejką do pracy.

Liczyłam na jakąś wieść od Pajęczarki, na jakikolwiek znak, co czynić, lecz nic na mnie nie czekało. W samotności mego pokoiku, wsłuchana w terkot telegrafu, popadłam z wolna w odrętwienie. Jakbym nie zbudziła się do końca i trwała wciąż w pustce między snem a jawą; przychodziły pneумы, spływały depesze, a ja brałam je do rąk jak marionetka i słałam gdzie trzeba, ani myśląc, ani pamiętając. Kursy akcji. Zapytania kredytowe. Wpłaty. I tylko gdzieś głęboko, pod prudentią, wzbierał smutek.

Myślałam o trybach maszyn różnicowych, wirujących pięć pięter pode mną, mielących jak

młyny cyfry i litery, rozcierających je na mialki pyłu. O mamie wciąganej w te tryby. O papie miażdżonym pod cielskimi tanków, rażonym z elektrycznych karabinów, rozrywanych bombami z powietrznego statku. I o sobie, kręcącej się w tańcu.

Odnalazłam przy sercu Morze Pokory, jak kazano w „Damie Doskonalej”, i ucisnęłam je mocno, do bólu. Pajęczarka była snem, złudą, majakiem, nocną zmorą zrodzoną z gnuśności. Kto pracuje jak należy, ten nie śni o głupstwach. Zbudź się, Mario.

Lecz ledwie pochyliłam się nad depezsami, z myśli tych wyrwał mnie hałas. Do pokoiku włął się stukot maszyn do pisania, a gdy się obróciłam, ujrzałam Augustusa Bennetta. Zerwałam się i już chciałam dygnąć, lecz on powstrzymał mnie gestem.

– Panienska siedzi, siedzi, ja z wizytą tylko.

Opadłam na krzesło. Dyrektor zamknął za sobą drzwi. Mężczyzna tak słusznej postury ledwie się tu mieścił, nie garbiąc pleców i nie kuląc barków; zdało mi się, że pokoik zmalał jeszcze. Próbowałam odsunąć się nieco, lecz oparcie krzesła stuknęło o biurko.

– Panno Joteyko, khem, dzień dobry – rzekł dyrektor, gładząc wąs. – Przeszkadzać w pracy nie zamierzam, bynajmniej. Dowiedzieć się tylko pragnąłem, jak panienska znajduje nowe obowiązki i czy pomóc w czym nie trzeba.

Poczułam się nieswojo na ton jego głosu: jowialny, serdeczny, jak wówczas, gdy mnie chwalił, by zaraz potem zdruzgotać marzenia. Nerwowo wygładziłam suknię.

– Dziękuję za troskę, sir... radzę sobie.

– O, ja nie wątpię, ja nie wątpię! – odrzekł z uśmiechem. – Że panienska pojętna i że pracowita, mnie pouczać nikt nie musi. Tak, tak, od dawna miałem panienkę na oku! Com słyszał od salowej Cohle albo co Lionel wspomnieć raczył, tom myślał od razu: o, ta jest warta pamiętania. Szansę jej dać trzeba, drzwi przed nią otworzyć. Tak zrobiłem. I teraz przyrzekam paniencie: pod moją opiekę ją biorę. Dzisiaj fuzja spółek, wielkie zmiany. Za godzinę spotykam się z zarządem NESSAN, będę mówił z Lionelem. Kto w taki czas pod mą opieką, wysoko zajść może... pojmuje mnie panna?

Nachylił się ku mnie i w jego uśmiechu zadrgało nagle coś strasznego, przez mgnienie wyjrzał spod wąsa uśmiech inny, głodny. Zbladłam. Nie uszło to jego uwadze.

– A, tak – powiedział, ze smutkiem opuszczając głowę. – Tak, tak. Słuszność ma panienska całkowitą. Nim interesa, przeprosiny pierwsze być powinny. Za słowa me grubiańskie w Dzień Mianowania. Nie po dżentelmeńsku do panny wyrzekłem! Kajam się tedy, a panienska niechże będzie łaskawą winę mi przebaczyć.

Wściekłość nagła, dzika, rozpaloną igłą mnie przeszła, lecz cóż odrzec miałam?

– Ależ... przebaczone już... sir.

– Wybornie! – rozpromienił się cały. – No, to skoro przeprosiny przyjęte, a obietnice uczynione, będzie teraz panienska tak uprzejmą i pokaże mi, jak z telegrafem sobie radzi. Ja chwilę popatrzę i do obowiązków własnych wracam. No, proszę.

Tłumiąc obcy głos we mnie, krzyczący, bym nie traciła dyrektora z oczu, okręciłam się z wolna wraz z krzesłem i skupiłam na depezsach. Przez tych kilka minut, gdyśmy rozmawiali, wysunęła się z maszyny taśma tak długa, że utworzyła na blacie spiralę. Rozwinęłam ją i poczęłam transkrybować znaki na blankiet, w zdenerwowaniu myśląc co chwila litery.

Bennett nie odzywał się w ogóle i skupiona na pracy, prawie o nim zapomniałam – więc aż podskoczyłam, gdy cudzy oddech usłyszałam tuż za sobą.

– Znakomicie, moja panno – rzekł półgłosem, nachylony nisko. – Tak właśnie. Cierpliwie, sumiennie, posłusznie. Będę z panny miał wielką pociechę. Mam rację?

I złożył wielkie dłonie na moich ramionach.

Poderwałam się na równe nogi, serce łomotało, wstręt przemieszany z lękiem przebiegł po ciele jak prąd. Dyrektor ledwie zdążył się usunąć. Patrzyliśmy na siebie z tak bliska, że starczyłoby rękę wyciągnąć, by się wzajem sięgnąć; ja zaskoczona tym, co uczyniłam, on z chwili na chwilę coraz bardziej gniewny.

– No tak – wycedził po chwili przez zęby. – No tak...

I wyszedł, pozostawiając mnie tak roztrzęsioną, że musiałam usiąść, bo nogi przestały mnie dźwigać.

Telegraf terkotał, przychodziły pneумы, za ścianą trzysta imigrantek uderzało w klawisze maszyn do pisania, lecz ja słyszałam tylko swój oddech, prędkie i płytkie, na granicy zachłyśnięcia. Chciałam zwinąć się w kłębek jak kot, lecz gorset nie pozwolił. Siedziałam więc, dygocąc od stóp do głów i modląc się szeptem do Boga.

Wolno, jakbym cała w ołów się zmieniała, sięgnęłam do złożonej przy krześle torebki i odnalazłam kształt podłużny, zimny. Kapsuła nie ważyła prawie nic w mej dłoni. Ciało przestało mnie słuchać, zadziałało samo, mogłam tylko biernie patrzeć, jak wstaję, podchodzę do końcówki poczty i nadaję przesyłkę, jakbym do lufy ładowała kulę. Usiadłam znowu i czekałam, czekałam nie wiadomo na co, nie zważając na depesze, pozwalając, by taśmy z papieru wiły się przez całą długość biurka i spływały na podłogę.

Minęło pół godziny, więcej może. Nic nie nastąpiło. Nadzieja moja, i tak wątła, zgasła całkiem. Pomyślałam, że przesyłka musiała być pusta, że to wszystko tylko żart okrutny i zdało mi się, że z oddali słyszę śmiech. Zniszczenie Bennetta? Na co ja liczyłam?

Położyłam dłoń na telegrafie.

WYBRALAM.

Odpowiedź przysła natychmiast.

CZEKAM NA CIEBIE.

Podniosłam się wolno, stanęłam w drzwiach i objęłam wzrokiem salę: godło NESSAN Ltd. na ścianie, taniec rąk na klawiaturach, trzysta głów pokornie pochylonych, dzień jak co dzień, bez zmiany, bez żadnej przyszłości. Zadrżałam. Wysłałam w ten ogłuszający stukot, nie wiedząc wcale, dokąd zmierzam, a nogi poniosły mnie same wprost pod obite skórą dyrektorskie drzwi. Motyle w gablotach trzepotały wdzięcznie. Zastukałam, obracając klamkę.

Augustus Maxwell Bennett leżał w kałuży wymiocin, z czerwoną, zlaną potem twarzą, oburącz ściskając swą krtań. Nogi drgały jeszcze. Poczułam, jak krew mi uderza do głowy. Nim zemdlałam, zdążyłam jeszcze dostrzec trzy czarne pająki niktające w jego włosach i fałdach surduta.

*

Powróciłam do zmysłów wśród odłamków szkła. Upadając, straciłam wiwaria; uwolnione motyle tańczyły w powietrzu nad salą jak barwny korowód weselny. Wyrwałam się cucącej mnie salowej Cohle i wśród łkania złęczonych agentek pobiegłam do wind.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Nie wiedziałam, co powinnam czuć. Wiedziałam tylko, że jeśli nie przytulę się zaraz do Iry – rozpadnę się jak zepsuty mechanizm. Ledwie kabina zwolniła ze zgrzytem i poczęły rozsuwać się kraty, przecisnęłam się pomiędzy nimi i pognałam korytarzem.

Dopiero przy wejściu stanęłam jak wryta. Dwa łęki zderzyły się we mnie i przez długą,

straszłą chwilę nie wiedziałam, co przeważą: pamięć tego, co zrobiłam, czy tego, co spotkało mamę. Lecz w końcu zacisnęłam powieki i pchnęłam ciężkie, metalowe drzwi, wbiegając w stęchłą duszność, gorąco i łoskot.

W ogromnej, wysokiej na dwa piętra hali maszynowni panował hałas nieludzki. Stałam w progu, zamieniona paniką w słup soli, a wokół mnie wznosiło się miasto, monstrualna metropolia stali: kamienice wałów, wieże z tłoków, przeszła mostów z elektrycznych kabli, powietrzne chodniki z taśm perforowanych, buchające parą kotły jak katedry, wszystko w ruchu, wirujące, rozpędzone. Patrzyłam na głowy nitów większe od głów ludzkich, na koła zębate niby koła młyńskie, na pokrętła, dźwignie, przekładnie, zegary napierające na mnie zewsząd, jakbym była tu intruzem, zabłąkanym ciągiem cyfr, który trzeba czym prędzej wchłonąć i przemieścić.

To Ira dostrzegła mnie pierwsza; zsuwając się po rurach, pnąc po nitach, znalazła się przy mnie i zajrzała w oczy.

– Maryjka? Co tobie? Co się dzieje?

Nie słyszałam jej prawie w łoskocie obliczeń, nie byłam zdolna wyrzec słowa, więc chwyciła mnie za rękę i pociągnęła gdzieś w wąską uliczkę, poprowadziła labiryntem żelaza, aż pchnęła jakieś drzwi i znalazłyśmy się w komórce, nie większej niż kabina windy. Oparłam się ciężko o ceglana ścianę, a umazana sadzą Ira poczęła mnie w ciemności całować.

– Maryjka, uspokoi się, no nie mdleje... Już dobrze, wszystko dobrze, ja tu jest, już ty bezpieczna! Ćśś, przyjaciółka moja...

Z każdym pocałunkiem wracały mi siły, jakby ogień z jej warg rozżarzał i we mnie ogniska, od których krew na nowo zaczynała krążyć. Poczułam dłonie wilgotne od smaru luzujące me tasiemki i głęboko zaczerpnęłam tchu. Przytomność niemal stracona powróciła.

– D-dyrektor B-bennett... – wykrztusiłam. – On nie żyje...

– Co ty mówisz?!

– Ta pneuma... pneuma od P-pajęczarki... wysłałam...

Objęła mnie mocno, a ja zapłakałam.

– Dobrze będzie, Maryjka, ty nic się nie boi – szeptała, gładząc mnie po włosach. – Nie wyśledzą pneumy, nie znajdą.

– Ale t-to j-ja go...

– Ćśś, nieprawda, nie, Maryjka! To Pajęczarka, wszystko ona, ty nic nie wiedziała. Okłamała, oszukiwała ciebie...

Nic już nie odrzekłam, zaszlochałam tylko głośniej i ukryłam twarz w jej sukni.

Lecz wtem łoskot machin wzmógł się, Ira krzyknęła z przestachu i ktoś skierował lampę prosto na nas, oślepiając, przyszpilając do muru. Brutalne ręce wywlekły nas obie, szarpiąc za suknie i włosy, a potem upadłyśmy na podłogę pod maszyną, ciśnięte jak szmaciane lalki. Podniosłam wzrok. Obok rozpędzonych trybów stał nade mną Lionel Mann, wsparty na dziwnej, metalowej lasce, a czterech ogromnych drabów z latarniami odcinało nam drogę ucieczki – gdyby nawet biec było dokąd.

– Mary – powiedział głośno, lodowato, i mimo hałasu usłyszałam każde słowo. – Przyznać muszę, że zawiodłem się na tobie.

Pomyślałam, jak wyglądam teraz w jego oczach: w prudentii na pół rozwiązanej, w brudnej sukni, z twarzą całą w sadzy, spłoniona, we łzach. Pomyślałam o trupie jego towarzysza, leżącym w nieczystościach pięć pięter nad nami – człowieku umarłym z mej winy. Wyciągnęłam rękę na ślepo, szukając Iry, lecz doktor Mann smagnął laską. Poczułam uderzenie prądem elektrycznym; padłam na podłogę, łkając z bólu.

– Bardzo przykra komplikacja – rzekł zimno Mann, gdy skuliłam się, tuląc do piersi dłoń porażoną. – Potrzebowałam Bennetta do fuzji. A teraz będę musiał tłumaczyć w gazetach, że zabiły go dwie szalone ladacznice.

Wzniósł laskę ponad głowę i skuliłam się znowu, ale on uderzył Irę; jej krzyk przeraźliwy targnął moim ciałem, jakby to mnie cios zadano. Patrzyłam z ziemi na wygolone oblicze żołnierza, nieruchome na tle wirujących kolumn, na jego nadludzko umięśnione ciało, somatologią wyrzeźbione do perfekcji, i czułam, jak nienawiść wzbiera we mnie, potężna niczym przyływ morski.

– Tę larwę pod eskortą wieźć do Szkoły Żon – rozkazał Mann swym pomagierom, a ci podnieśli mnie z podłogi. – Rok z Madamą oduczy ją głupot. Tę drugą sam przeszkolę, brać ją do Latarni.

Wzniósł laskę, by jeszcze raz Irę uderzyć – lecz nie zdołał. Skoczyła jak lwica. Nim któryś z drabów zdołał ją pochwycić, z dzikim wraskiem pchnęła Manna wprost w stalowe tryby i ujrzałam, oszołomiona, jak Opiekun traci równowagę, a prędkie zębatki chwytają za rękaw surduta.

– W nogi, Maryjka!!!

Pobiegłam przed siebie niemal na czworakach, prześlizgując się między drabami, co rzucili się ratować Manna. Nie miałam czasu się obejrzeć, nie widziałam Iry – lecz choć pragnęłam zawrócić, lęk wciąż gnał mnie naprzód, lęk zwierzęcia, co ujść chce pogoni. Biegłam przez żelazne miasto, ścigana tupotem i krzykiem, przeciskałam się między kablami, mknęłam jak na skrzydłach w duszny półmrok, w wirujący, huczący labirynt.

Biegłam długo, obierając kierunek na ślepo, aż ujrzałam przed sobą metalowe drzwi. Pościg nadal deptał mi po piętach, słyszałam krzyki gdzieś w pobliżu. Rozejrzałam się, ale nigdzie nie spostrzegłam Iry.

Myśl, nakazałam sobie. Myśl! Mama ci pomóc nie może. Mieszkanie, tak jak wszystko, co posiadasz, należy do Kompanii – tam cię znajdą. Elsa opuściła Londyn, Ira sama w opresji, a innych przyjaciółek nie masz. Kto pozostał? Pajęczarka.

Pognałam na peron kolejki.

Biegłam zgięta w pół, bok kłuł niemiłosiernie, na mięśnie jakby kto lał wrzątek. Modliłam się o szczęśliwe ocalenie – lecz kiedy z trudem zstąpiłam na peron, pociągu nie było; tylko pustka ciemnego tunelu jak zimne, obojętne oko. Wiedziałam, że muszę dotrzeć do Ogrodów, lecz nie miałam już siły iść dalej. Grzesznica. Larwa. Towar bez wartości. Osunęłam się na bok przy kolumnie z cegły i załkałam sucho na zimnym kamieniu.

Z wielkiego afisza na ścianie za torem przyglądały mi się Trzy Gracje. Otoczona wianuszkami dzieci Norah Elam. Sophia Singh o talii osy. Wyprostowana dumnie Ada Nield. Idealne matki, żony, pracownice, wychowanki Lionela Manna. Motyle. Dłoń Ady wskazywała za mnie, ku window do biura Kompanii.

KROCZ Z NAMI KU DOSKONAŁOŚCI!

Powstałam, choć nogi mi drżały. Sięgnęłam pod brudną, poszarpaną suknię i do reszty połuziłam gorset. Odetchnęłam pełną piersią. A potem zsunęłam się na tory i pobiegłam przed siebie, wprost w ciemność tunelu.

*

Nie wiem, jak długo uciekałam, zdyszana, raniąc ręce i nogi o kamień, kryjąc się w załomach

mur, ilekroć światło obwieszczało, że oto się zbliża kolejka. Raz i drugi omdlałam, na wpół uduszona, gdy przed mknącym po szynach wagonem pompy wytwarzały próżnię. Mięśnie rwały coraz bardziej, tak bardzo, że nie mogłam już cierpienia wyprzeć z myśli; słabsza z każdym krokiem, brnęłam naprzód, w głąb mrocznych tuneli, jak modlitwę powtarzając imię Pajęczarki.

Moje życie dobiegło końca. Nie mam pracy, domu ni środków do życia. Ira jest pochwycona lub ucieka, tak jak ja zaszczuta, i nie ma szans, byśmy się znów odnalazły w tym mieście ogromnym jak świat. Już nigdy nie ujrzę twarzy mej matki. Wirowałam w tańcu lata całe, coraz prędzej, lecz wreszcie pomyliłam krok.

Pełzłam, krwawymi dłońmi czepiając się torów, byle w głąb, byle dalej od okrutnych rąk i oczu, ku Ogrodom, nie wiedząc, czy naprawdę się ku nim kieruję, a fantazja znarowiona płatała mi figle, wyciskając z ciemności kołysanie traw i woń maciejki. Szłam pod rozgwieżdżonym niebem, zmierzając przez łąkę ku światłu, a ono rosło, aż mnie całkiem oślepiło...

– Jesteś – rzekł ogrodnik, odstawiając na bok lampę i podnosząc mnie, na wpół martwą, z ziemi. – Witaj w domu.

*

Co działo się później, pamiętam w okrucinach.

Była twarda prycza pod plecami i szorstkie dłonie Pajęczarki; ściągnęła ze mnie resztki sukni, wyłuskała z gorsetu, zdjęła przepoconą halkę. Był wilgotny dotyk gąbki.

Było cierpienie tak wielkie, że i łkać nie mogłam, gdy ciało uwolnione po latach z prudentii powracać jęło do kształtu dawnego.

Był gorzki smak wywaru w ustach, a ogrodnik szeptał:

– Wypij, Mario... Prześpij ból najgorszy. Ciało uleczyć się musi.

I były sny, przedziwne sny, w których spadałam, wirując, w głąb króliczej nory, rosłam i malałam, rozpadałam się na cząstki, a potem biegłam po spiralnej Mlecznej Drodze, po kobiercu z rozsypanych gwiazd, ku gwieździe największej, Polarnej, Betlejemskiej, ku Słońcu...

Budziłam się, rozpalona od gorączki, w bólu, i na powrót zapadałam w sen. Pajęczarka czuwała nade mną.

*

Leżałam na pryczy, naga i słaba jak dziecko, w wilgotnym półmroku podziemi, przy jednej pełgającej słabo świecy, lecz i tego światła było mi za wiele. Rzadko otwierałam oczy. Gdy Pajęczarka przyszła mnie napoić, chwyciłam ją z trudem za rękę.

– Gdzie... Ira?

– W Latarni. Mann umyślił ukarać ją pracą.

– Czy ona...

– Cierpi, bez wątpienia. Ale jest silna. Wytrwa.

Pozwoliłam opaść dłoni ciężkiej jak z ołowiu.

– Mama...

– Nie zdążyłam. Mann próbował ją przesłuchać. Zmarła dwa dni temu. Przykro mi.

Nie miałam nawet siły płakać. Poczulałam wnet na palcach coś jakby naparstki, zimne druty oplotły mi rękę i głowę. Uniosłam zmęczone powieki i ujrzałam, jak Pajęczarka dociska pierścienie, dziwną uprzężą z metalu, gumy i skóry czyniąc mnie sobie podobną. Końce

przewodów biegnących od dłoni pięły się po policzku i niknęły w czymś ciężkim, niewidocznym, zakrywającym bok głowy. Brakowało mi sił, aby się bronić.

– Co...

– Nasłuch. Mój wynalazek. Tu w ścianach wszędzie biega linie. Przyłóż dłoń, a palce chwycą sygnał i prześlą do ucha. Możesz słuchać rozmów Morse'em, nie wstając.

Zdumiona, dotknęłam kamienia i usłyszałam cichy, rwany pisk. Kropka – kropka – kropka – kreska...

– Ale... po co ja...?

– Bo musisz wiedzieć. Musisz poznać prawdę. Marzyłaś, by pracować w Latarni, dla Manna... Chciałaś być motylem, bo oni tak chcieli. A ja pragnę, byś pojęła. Słuchaj.

Wyszła, zamykając drzwi za sobą. Leżałam długo w ciemnościach, przełykając łyżki, lecz w końcu przytknęłam dłoń do chłodnych cegieł. Początkowo ledwie składałam litery, lecz prędko nabrałam w tym wprawy; z rytmu długich i krótkich sygnałów wyłoniły się słowa, zdania, rozmowy. Meldunki oficerów. Polityczne ustalenia lordów. Notowania giełdowe wielkich spółek. Relacje z badań i podróży. Donosy o wojnach, rozejmach, katastrofach, plotki dzikie, obliczenia niepojęte, tysiąc głosów przemieszanych, wzajem się przekrzykujących, jak rzeki wiedzy spływające z łoskotem do morza.

Wśluchiwałam się, otepiała, w huk rwącej powodzi, nie pojmując z początku, dokąd płyną wieści, jaki pajak tkwi na środku sieci drutów pod Londynem rozciągniętej i wciąż wiedzę pożera, nasycić się nigdy nie mogąc. Lecz potem przesunęłam dłoń po murze i usłyszałam słowa inne. Sygnały w kierunku przeciwnym, na zewnątrz płynące, opatrzone kodami NESSAN jak piętnem Kaina. Polecenia krótkie jak rozkaz żołnierski, zimne nakazy maszyny, najszybszej maszyny rachującej świata, dyktujące spółkom, na których akcjach spekulować, pastorom – jak z ambony zagrzewać do boju, oficerom – jak somatologią kształtować rekrutów i ile produkować bomb, pocisków, tanków.

Skulona w podziemnej kryjówce jak zwierzę, słuchałam Manna szykującego nową, jeszcze większą wojnę.

*

Gdy przyszła znowu, siedziałam na pryczy milcząca, obejmując rękami kolana. Nasłuch leżał splątany na ziemi. Moje ciało było tkliwe jak po długiej chorobie, czułam wszystko po stokroć wzmocnione, jakby zdarto ze mnie skórę, odsłaniając nagie nerwy.

– Wydrążono te tunele w trakcie wojny – rzekła cicho Pajęczarka. – Ukrywam się tu, odkąd uciekłam. Tajemna sieć telegraficzna, stworzona po to, by uczeni w służbie armii mogli szybko i w sekrecie tworzyć wynalazki, które później szły na front. Sterowce, karabiny elektryczne, tanki... Mann wygrał dla Imperium Wielką Wojnę, nie ruszając się z Latarni. Tam było główne centrum dowodzenia i tam narodziła się potęga NESSAN. Bo kiedy wojna się skończyła, sieć pozostała. Największe umysły Korony w służbie jednej organizacji. Kapitał większy niż budżet Imperium, wciąż rosnący. Somatologia i milion zagubionych dusz, które można formować jak glinę. Teraz pojmujesz, dlaczego trzeba ich powstrzymać?

Ukryłam twarz w dłoniach. Pajęczarka nachyliła się ku mnie.

– Pamiętasz, co powiedziałam ci w Ogrodach? Mann to żołnierz. Człowiek, który trzymał los świata w swych rękach, rozporządzał tyloma duszami... dla niego wygrana wojna była klęską. Bo co po żołnierzu, gdy jest pokój? Przecież on musi zwyciężyć, tylko to potrafi. Wiesz, ilu jest

dziś w Anglii takich jak on? Drapieżników bez ofiar, generałów bez armii... Założyli wielkie spółki, by walczyć o zyski, wojują pieniędzem, by choć na chwilę nasycić ambicję. A zamiast rekrutów szkolą nas.

Zmusiłam się, by spojrzeć na nią.

– Pojmuję – wyszeptałam, drżąc. – Lecz... somatologia... gorsety, Trzy Gracje...

Pajęczarka długo nie odpowiadała. A gdy w końcu przemówiła, w jej głosie zadźwięczała stal.

– Byłaś kiedy w maszynowni wielkiej spółki, Mario? Przedstaw sobie ten widok, te bestie z metalu, cały ogrom wiedzy w nich zamkniętej. W najwyższej części wieży Manna znajduje się machina rachująca, przy której tamte zdają się karłami. NESSAN. Całe piętra szaf liczących stłoczonych przy sobie, dziesiątki mil przewodów elektrycznych, ściany pełne lamp próżniowych, co mrugają w ciemności jak oczy... Wyobraź sobie, że to wszystko, co słyszałaś w murach, te meldunki spływające tysiącami – to zaledwie ułamek całości, jaką NESSAN przetwarza w jedno uderzenie serca. Wspaniała maszyna, istny cud techniki. Aż szkoda, że nikt nie wie, kto ją stworzył. NESSAN. Norah Elam, Sophia Singh, Ada Nield.

Oniemiałam.

– Nie zastanowiło cię nigdy, że Trzy Gracje widzisz tylko na rycinach? Nie ma fotografii, nie pokazują się publicznie. Doskonałe matki, żony, pracownice... Gdy wybuchła wojna, wojsko przejęło ich maszynę. Nie chciały się na to zgodzić, próbowały ją zniszczyć. Spotkałam je, gdy zesłano mnie do Szkoły Żon. Wraki ludzkie. Nie dały rady stać się doskonałe.

Ukryłam twarz w rękach. Chciałam na powrót schronić się w kokonie, zasznurować prudentię tak mocno, by zdławić wszystkie straszne myśli – ale raz wysłuchanych słów nie mogłam już zapomnieć. Zapłakałam więc tylko bezsilnie, a Pajęczarka dotknęła mej dłoni.

– Wiem, że cię teraz ranię, Mario – wyszeptała. – Lecz zła prawda jest lepsza od pięknego kłamstwa. Wiem, bo żyłam tak jak ty. Jak my wszystkie. Wstawałam rano, sznurowałam gorset, pracowałam, czytałam „Damę Doskonałą” i wierzyłam w Trzy Gracje... A pod ziemią płynęły sekretne rozkazy, które mówiły mi, czego mam pragnąć i jak żyć, by stać się jeszcze sprawniejszą, jeszcze bardziej użyteczną, jeszcze ciężiej pracującą w imię cudzego zwycięstwa. Łgarstwa, których celem jest zmienić nas w to.

I podała mi kółko zębate.

*

Nie wiem, jak długo spałam bez snów, lecz zbudziłam się silna, z sercem mocno bijącym, głęboko zaczerpując tchu, aż powietrze wypełniło mnie po brzegi. Własne ciało zdało mi się odmienione: ból przeminął, czułam jasno każdą cząstkę siebie, każdą grę mięśni pod napiętą skórą, jakbym była świeżo wyklutym pisklęciem, co wszystko czyni po raz pierwszy. Wstałam, trzymając się muru, a nogi, choć chwiejne, udźwignęły mnie bez trudu. Wdziałam przewieszoną przez zydel prostą suknię, pchnęłam drzwi i ruszyłam wolno korytarzem, zmierzając przez ciemność ku światłu.

Długie pomieszczenie, w którym się znalazłam, przypominało piwnicę na wino lub tunel techniczny: między rzędami ceglanych filarów, na których wsparły się łuki sklepienia, stały stosy skrzyń i worków, w blasku lampy naftowej rzucające wielkie cienie. Po ścianach wiły się rury i przewody, niknąc w mroku. W jednym kącie spostrzegłam stół pełen retort i słoików aptecznych, pachnący siarką i eterem, zawałony odczynnikami, szczypcami, pudłami zapalek.

Pajęczarki nigdzie nie było, lecz obok lampy, na paczce obwiązanej sznurem, czekał na mnie bochen chleba. Ogarnięta z nagłą wilczym głodem, opadłam przy nim na kolana i poczęłam jeść łapczywie, palcami wydzierając kęsy. Smakował jak pokarm z królewskiego stołu.

– Apetyt wrócił. Dobry znak.

Poderwałam głowę i przeszył mnie dreszcz: Pajęczarka wisiała w powietrzu, rozpięta wysoko między filarami, niewidoczna prawie w swoim ciemnym stroju. Trwała tak przez chwilę wbrew prawu ciężenia, a potem skoczyła, lądując lekko niby akrobatka. Oddech miała równy i spokojny. Nie włożyła nasłuchu ani czarnych szkieł i gdy podeszła, po raz pierwszy ujrzałam jej oczy: dwie zmętniałe gałki, poznaczone krwawymi niteczkami żył. Usiadła obok i także zaczęła jeść.

– Wybacz, proszę, że tak skromnie – rzekła. – Nieczęsto przyjmuję tu gości. Ale Samuel przyniósł świeże jabłka. Tamta skrzynia.

– Samuel? Ogrodnik, prawda? Mieszka tu?

– Nie, skądże. Tutaj mieszkam tylko ja.

Zmieszana tym wyznaniem, długo milczałam. Jej polszczyzna, chropowata, lecz staranna, musiała przebyć długą drogę, pobrzmiwały w niej akcenty ze wszystkich stron świata. Patrzyłam w blade oblicze i próbowałam zgadnąć, ile to już lat wiecznej nocy, ile lat ciszy pośród zimnych murów. Jak dziwny musiał prowadzić ją los... Czy ją też przygnała do tych brzegów nędza? Czy też drżała pod pokładem, niepewna przyszłości, gnana naprzód tylko myślą, że najgorsze już przecież za nami?

Stała mi przed oczyma twarz mamy i żal daremny ścisnął serce. Sięgnęłam do skrzyni i włożyłam Pajęczarce w dłoń soczysty owoc, a ona chyba pojęła ten gest, bo uśmiechnęła się bez wesołości.

– Posłuchaj, nie miałam okazji cię spytać...

– O przeszłość? A cóż komu po niej, Mario?

Wstała. Poderwałam się i ja.

– Nie chciałam... Wybacz... Czy mogę chociaż poznać twoje imię?

Zawahała się.

– Julia. Julia Ochorowicz. Ale nie mów tak do mnie. Chodź, mamy wiele do zrobienia.

Z lampą w dłoni podążyłam w głąb podziemia, gdzie, obok wlotów kolejnych tuneli, mieściła się główna pracownia. Zalśniły zimno dziwaczne maszyny, bryły i sploty metalu, wzniesione wysoko, pod strop, powiązane przemyślnie pajęczyną drutów, ogarnął mnie terkot i szelest papieru. Niski stół zajmowały aż trzy telegrafy, wypluwające nieustannie zwoje taśm. Na haczykach wbitych w mur wisiał rząd narzędzi, klepisko wokół zydła pokrywały wióry, w skrzyni piętrzył się stos płaskich deseczek, rzeźbionych w schematy techniczne, obliczenia, notatki. Pajęczarka przysiadła, sięgnęła gdzieś w głąb, jej dłonie zatańczyły pośród machin.

– Twoja przyjaciółka żyje – powiedziała, podając mi krótką depeszę. – Mam w Latarni sporo zaufanych dziewcząt, zdołałam nawiązać z nią kontakt. Została wdrożona do obsługi NESSAN. Techniczna Irina Kondratiuk, moduł SS-113, system łączności wewnętrznej. Nie patrz tak. Tylko ci się wydaje, że to raczej nagroda niż kara.

Przebiegłam palcami po szorstkim papierze, pokrytym nakłuciami ze znakami Morse’a.

TESKNIE ZA TOBA MARYJKA.

Przycisnęłam te słowa do serca.

– Czy mogę...?

– Odpowiedzieć? Nie. Zbyt duże ryzyko. Ale jeśli mi pomożesz, wkrótce ją zobaczysz.

Nie wahałam się ani przez mgnienie.

– Zrobię wszystko!

Obróciła się z wolna w moją stronę.

– Nie – powiedziała po chwili milczenia. – Nie składaj przysięg, póki nie pojmiesz, o co proszę. A widzę, że wciąż nie rozumiesz. Od lat toczę wojnę przeciw NESSAN. Zdołałam uciec z ich niewoli, przełamałam wpływ somatologii, zgromadziłam zasoby, kontakty, wspólników. Latami snułam moją sieć. Tej Hydry nie sposób pokonać w równej walce, odcięte głowy odrastają – a odcięłam ich już wiele. Potrzeba planu. Stworzyłam ten plan. Poświęciłam dla niego wszystko, przyszłość, wzrok i zdrowie. Poświęciłam ludzi. Nie jesteś tu pierwsza. A teraz, gdy bliżej mi do zwycięstwa niż kiedykolwiek przedtem, jestem gotowa poświęcić znacznie więcej. Czy rozumiesz mnie, Mario?

Zadrżałam od grobowej powagi tych słów.

– Jaki to plan?

– Nie musisz wiedzieć. Nie powinnaś wiedzieć. Jeśli pragniesz odegrać w nim rolę – jest miejsce dla ciebie. Irina już swą część wprowadza w życie. Gra dobiega końca. Niedawno zginął z twojej ręki Bennett. Jego śmierć zniweczyła plany wielkiej fuzji, inwestorzy wycofują środki, kurs akcji NESSAN po raz pierwszy od miesiący opadł. Zaczyna się szerzyć niepokój. Szepcze się o kolosie na glinianych nogach. Mam dziewczęta w strukturach NESSAN od lat czekające na rozkazy, mam kochanki w łóżkach dyrektorów, mam drutowe wielkich spółek. Są wynalazki moje, co tylko czekają, by ze słowa uczynić je ciałem. Mann upadnie. Jeszcze tylko kilka dni.

Poczułam dreszcz. Błede oczy zdawały się jaśnieć.

– A do czego... Jaką rolę przewidywałaś dla mnie?

– Muszę dostać się do NESSAN – rzekła krótko. – Znam to miejsce, pracowałam tam. Mam klucze do szybów technicznych. Ale potrzebuję tam kogoś, kto wie, czego się spodziewać – i widzi.

Zacisnęłam usta i długo milczałam. Serce pod suknią biło prędko. Wejść prosto do jaskini lwa?

Wejść. Po Irę.

– Zgadzam się.

Ujęła moją rękę i ścisnęła krótko.

– Bóg sprzyja cierpliwym – szepnęła. – Idź, odpocznij teraz, nabierz sił. Wkrótce powiem ci, co robić. Drugiej szansy nie będzie. Mówią, że Wielka Wojna zamknie stulecie, że nastaje nowy duch czasów... Przysięgam ci: wiek dwudziesty będzie naszym wiekiem.

*

Wyszliśmy na powierzchnię nad brzegiem Tamizy, w złotym słońcu września. Było późne popołudnie, Londyn tętnił życiem, na ulicach i mostach kłębiły się tłumy; stałam długo, wpatrzona w ruch, wsłuchana w zgiełk, zdumiona, że miasto trwa, jak zawsze trwało, choć przecież zmieniło się wszystko.

Pajęczarka, pod ziemią tak sprawna i władcza, teraz oddała się pod moją pieczę. Z twarzą skrytą za wdowią woalką, w staromodnej czarnej sukni, kroczyła powoli, dając pozór podeszłego wieku, a ja prowadziłam ją pod ramię, zmierzając z biegiem rzeki ku Latarni. Nie zdołałam się zmusić, by założyć gorset; szłam przez tłum bezwstydną, naga prawie, dźwigając w wolnej ręce ciężką torbę, i lekko mi było jak nigdy.

Z każdym zakolem rozlewała się Tamiza szerzej, odsuwając od siebie dwa brzegi, coraz gęściej żeglowały okręty i łodzie, aż za kolejnym meandrem ukazał się mym oczom widok, jaki dech zapierał każdemu, kto odwiedzał Londyn: wielkie jezioro, złote w świetle popołudnia, migotliwe. Na jego środku, na sztucznej wyspie, wznosiła się budowla potężna, strzelista, gigant ze stali i szkła, co odbijał ku nam tysiąc słońc – Latarnia Jutra.

Przystanąłam na szczycie skarpy, mrużąc oczy, zaczarowana ogromem przestrzeni, patrząc, jak powietrzne statki z godłem NESSAN, z daleka małe niby zabawki, cumują przy lśniącej iglicy.

– A oto i cud techniki – rzekła Pajęczarka, wystawiając twarz ku bryzie. – Ale o tym, ilu ludzi wysiedlono, żeby spiętrzyć rzekę, nie przeczytasz w bedekerach... Kiedy Bismarck w sześć tygodni wziął Paryż, przelękła królowa dała armii wolną rękę. NESSAN mógł obliczyć zwycięskie strategie, ale zużywał tyle prądu, że gdy maszyna szła w ruch, przygaszały lampy w całym mieście. Dopiero Mann wpadł na myśl, że przecież rzeka też może pracować.

Spojrzałam na daleki kraniec wielkiej wody, gdzie cieniutką linią rysowała się Tama Londyńska.

– Już są w środku – dodała z cicha Pajęczarka. – Cały zarząd NESSAN. Mają dziś wielkie zebranie, dużo pilnych spraw. Mianowanie zastępcy Bennetta, temat fuzji, plan uspokojenia inwestorów i giełdy. Plany wojenne. Czasu będzie dosyć.

Nic jej na to nie odrzekłam. Długo zbierałam odwagę, wsłuchana w krzyk mew.

– Zabiłam przez ciebie człowieka – rzekłam wreszcie.

Nie drgnęła, stała wciąż jak posąg, jakby nic jej to wzruszyć nie mogło.

– Bennett musiał zginąć. Nie bierz bydląt na sumienie.

– Wykorzystałaś mnie – wyszeptalam przez ściśnięte gardło. – Gdybym wiedziała, co ukryłaś w pneumie, nigdy bym jej nie nadała! Obiecałaś wyzwolić mnie z kłamstwa, a sama... Czym ja jestem, Pajęczarko? Narzędziem twojej zemsty.

Milczała, tylko wiatr szarpał woalką i suknią.

– Zasłużyłam na nią – rzekła w końcu i zeszała ku wodzie.

*

Ledwie opadł trap, podróżni poczęli się tłoczyć, wylewając się na pomost szerokim strumieniem. Zeszałam z promu wraz z tłumem pracowników, z Pajęczarką u boku, starając się nie patrzeć na rosłych żołnierzy, co z bronią w ręku strzegli przeprawy. Agentki zmiany dziennej, wracające z pracy, blade, wymęczone, czekały wielką cizbą na trawiastym skwerku, aż zwolni się dla nich miejsce na pokładzie. Latarnia z tak bliska przesłaniała niebo, gigantyczna, złowroga, i gdy zerknęłam w górę, zdjął mnie lęk dziecinny, że ten kolos lada moment runie na nas. Szłyśmy szybko brukowaną ścieżką, pomiędzy szpalerami cisów, ku szerokim szklanym wrotom, wzywane donośnym dzwonieniem.

Przy wejściu także stały strażę. Minęłyśmy je, kolejne twarze w tłumie, a choć skóra mi cierpła, bliskość Pajęczarki przywracała spokój. Znalazłyśmy się w holu ogromnym, wysokim, o posadzce z drewna tak wyszlizganego, że świeciło jak zwierciadło, odbijając godło NESSAN większe od człowieka. Zieleń królowała na skąpych zdobieniach i zdało mi się, że wchodzę do koszar, tak surowe było wnętrze, pełne szkła, skąpane w zimnym elektrycznym świetle. Nawet rośliny, pośrodku sali posadzone dla ozdoby, nie oswajały wcale tego miejsca; długie liście wyglądały jak ostrza bagnatów. Agentki nocnej zmiany zmierzały ku wodom, lecz nasz cel był

gdzie indziej. Pajęczarka dała znak i skręciłyśmy w lewo, kryjąc się w cień za filarem.

One śpią wszystkie, pojęłam wówczas ze zgrozą, patrząc na tłum kobiet w identycznych sukniach, o pustych twarzach bez wyrazu. Lunaticzki śniące ten sam sen, ómy krążące wokół ognia. A ja byłam jedną z nich.

Nie miałam jednak czasu, by nad tym rozmyślać. Pajęczarka szła tak pewnie, jakby mogła widzieć, wiodąc mnie ku wąskim drzwiom w murze. Strzegł ich wartownik, tylko jeden, lecz z postury i rozmiarów istny Goliat, dłutem somatologii rzeźbiony tak długo, aż stał się równy antycznym herosom. Staralam się kroczyć spokojnie, nie podnosząc głowy, jakbym była tu codziennym gościem, nie intruzem.

– Stój! Kto idzie?

Pajęczarka uniosła woalkę.

– Techniczne.

Spojrzały na żołnierza dwie soczewki szklane, szkła zegarmistrza w metalu zamknięte, które kiedyś tak przelękły mnie w Ogradach. Strażnik zmarszczył brwi.

– A klucz gdzie?

Wydobyłam zza pazuchy pęk kluczy. Zważył go w wielkiej dłoni, zwrócił i kazał mi otworzyć torbę, a gdy ujrzał wewnątrz narzędzia i części, skinął głową.

– Tak jest.

Wślizgnęłyśmy się czym prędzej do środka. Korytarzyk pełen rur i kabli, żarówkami z rzadka oświetlony, tak był wąski, że musiałyśmy iść gęsiego. Cuchnęło rozgrzanym metalem, trwał tu stłumiony łoskot maszynowy, od którego dreszcze przechodziły. Przeciskałam się z trudem, spoglądając wciąż przez ramię. Pajęczarka szła przodem, nic nie mówiąc, a gdyśmy znalazły się na rozwidleniu, dotknęła mej ręki.

– Jakie są oznaczenia?

– A dziesięć, B trzynaście, C...

– Korytarz B. Pospiesz się. Nie było na dzisiaj planowanych napraw, zorientują się, gdy tylko zajrzą w dokumenty. A przez spotkanie zarządu będą w dwójnasób uważni.

Przełknęłam z trudem ślinę. Skręciłyśmy. Staralam się uważnie liczyć kroki, by móc drogę odtworzyć z pamięci, gdyby coś nas rozdzieliło. Jeszcze sto, jeszcze dwieście, kolejne rozstaje – i wyszłyśmy w nisko sklepioną piwniczkę ubitym piaskiem wysypaną, gdzie w murze tkwiły ciężkie wrota. Wsunęłam klucz w zamek, szarpnęłyśmy obie: powiało zimnem i wilgocią. Zrzuciłyśmy suknie, zostając w ciemnych strojach ułatwiających wspinaczkę.

– Pniesz się pierwsza – rzekła Pajęczarka, mocując ciężką torbę w uprząży u pasa. – Oszczędzaj siły, droga długa. Właz na szczytce otwiera się kluczem. Trzymasz się mnie, nie mogą nas zobaczyć, dopóki nie zamontuję aparatu. Potem pójdziemy po Irę.

– Czy ona...

– Wie, co ma robić. Módl się, żeby nie zawiodła.

Weszłam w ciemność. Żelazne szczeble, w górę, w czarną nieskończoność, bez drobinki światła, i woda ciekąca po murze, spływająca wąskim gardłem ku mnie. Wzięłam głęboki wdech.

– Mnie Ira nie zawiodła nigdy.

*

Trwało to wieki. Przestałam czuć, przestałam myśleć, straciłam z oczu cel i przyczynę; został

tylko ruch, tylko wspinaczka, ciągle w górę, wbrew słabości. Raz i drugi nieomal runęłam, lecz Pajęczarka była blisko. Podtrzymywana, popychana, brnęłam wzwyż, zęby z bólu zaciskając, chwytając za szczeble omdlałymi dłońmi, aż skończyła się droga przez mękę i popchnęłam właz, a on otworzył się ze zgrzytem. Wypelzliśmy w półmrok.

Długo tam leżałam, ledwie zdolna dech złapać. Pajęczarka napoiła mnie z manierki.

– Powoli – przestrzegła, gdy wreszcie usiadłam, drżąca i słaba jak dziecko. – Daj ciału odpocząć. Jeszcze wiele do zrobienia.

Rozejrzałam się wokoło, ścierając pot z twarzy. Wyszliśmy z szybu w rogu wielkiej sali, gorącej, dusznej, prawie ciemnej, pod wiązką elektrycznych przewodów tak grubą, że trzech ludzi by jej nie objęło. Więcej kabli wiło się po ziemi, splątanych jak w węzowym gnieździe, spinając ze sobą długie rzędy szaf stalowych, pancernych jak tanki, najeżonych dziesiątkami lamp, co jarzyły się ledwie. Wszystko skapane było w ciemnożółtym blasku. Ani ruchu, ani żywej duszy, tylko my dwie, otoczone trzaskami, zgrzytaniem, hukiem, niskim śpiewem prądu.

Uniosłam wzrok ku górze i struchlałam: nie było nad nami sklepienia, lecz potworna pajęczyna, chodniki i przewody nad pustką rozpięte, szyby wind, rury grube, kratownice, stalowe zbiorniki na dwa piętra wielkie, kolumna za kolumną platform pełnych szaf liczących, co mrugały miriadami oczu, coraz dalej, coraz wyżej, aż niknęło to wszystko gdzieś w czerni. Patrzyłam, porażona, na potęgę NESSAN, na ogrom niemożliwy do objęcia wzrokiem, teraz dopiero pojmując, z czym przyszło się nam zmierzyć.

Dopiero po dłuższej chwili wychwyciłam ruch: po zawieszonych nad pustką mostach przechadzali się z wolna potężni strażnicy, tu i ówdzie krążyły techniczne, reperując i strojąc maszynę. Wcisnęłam się jeszcze głębiej w kąt sali. Pajęczarka ścisnęła me ramię.

– Moduł AN-15 – szepnęła. – Szukaj oznaczeń na ścianach. Litery to bloki logiczne, cyfry to sektory. Trzymaj się przejść dla obsługi, nic nie mów. Nikt nie może nas zobaczyć.

Najbliższy korytarz techniczny, wąski tunel oznaczony żółtym H, majaczył przy ścianie po lewej. Wzięłam głęboki wdech, chwyciłam jej rękę i ruszyliśmy w głąb potwora.

Serce nie chciało się uspokoić, wszystko tu było zbyt obce, groźne. Całą uwagę skupiłam na szukaniu drogi w labiryncie, lecz nie mogłam nie słyszeć trzeszczenia i zgrzytu, nie mogłam nie czuć dusznego gorąca. Na twarz raz po raz skapywała wilgoć. Stalowe plecy machin drżały, w rzadkich prześwitach wirowały szpule taśm. Hałas ogłuszał. Skradałyśmy się na palcach, prędko, bez wytchnienia, przystając tylko, gdy zbliżały się kroki strażnika. Ubranie znowu przesiąkło mi potem.

Pajęczarka szła cicho jak kot, nie słyszałam nawet jej oddechu, choć dźwigała przecież ciężką torbę. Na rozstajach wyciągała tylko dłoń, bym zapisała na niej palcem cyfrę, a potem wskazywała drogę.

Moduł AN znajdował się piętro powyżej. Spiralne stalowe schody pokonałyśmy biegiem. Przykucnięta w ciemnej wnęce pod maszyną, łapiąc oddech, wyjrzałam ostrożnie zza przewodów i zamarłam. Nie było więcej tuneli technicznych: otwierała się przed nami rozległa platforma, jasna przestrzeń zastawiona szpalerami szaf liczących, przy których na wysokich, wąskich stołkach siedziały kobiety.

Każda miała przed sobą panel pełen świateł, migoczący barwami, i płataninę wpiętych w gniazda kabli, które agentki stale przemieszczały, to wyjmując, to wtykając do otworów. Przyglądałam się, struchlała, ich milczącej pracy; wydały mi się maszynami, tak sztywno siedziały, tak niestrudzony był taniec ich rąk, tak martwo wyglądały senne twarze.

– Pajęczarko...

– Ajentki?

– Tak.

– Widzisz strażę?

Wyrzałam znów.

– Nie.

– Więc musimy iść. AN-15 jest na wprost. Prędko, one nie zwrócą uwagi. To więźniarki, im już wszystko jedno.

Wyjście z ukrycia w jasne światło było trudne. Wystawiona na spojrzenia poczułam się obnażona, bezbronna. Staralam się iść szybko, lecz nie mogłam, ciało nie chciało mnie słuchać, pragnęło tylko znów zniknąć z widoku. Czekałam, napięta, na pierwszy krzyk, pierwszy alarm, lecz żadna z kobiet na nas nie spojrzała. Pracowały, zobojętniałe, przygarbione, wpatrzona tępo w swe światełka, w czarnych sukniach NESSAN brudnych i zniszczonych, w prudyciach zasnurowanych z całej siły, z głowami ogolonymi tuż przy skórze. Dopiero z bliska dostrzegłam, że noszą kajdany: od każdego nadgarstka biegł łańcuch, nikiąc gdzieś w trzewiach maszyny.

Całą siłą woli przyspieszyłam kroku. Strzelista kolumna stalowa, opięta przewodami niby bluszczem, była już blisko, połyskując zimno w białym świetle. Szpalery szaf liczących zbiegały się przy niej. Dopadłam czym prędzej wąskich drzwiczek z boku i otwarałam je kluczykiem Pajęczarki – a zawias jęknął przeraźliwie.

– Kto...?

Zamarłam. Najbliższa z kobiet obróciła ku nam głowę – ale nim jej senne oczy zdołały się skupić, silne ramię pociągnęło mnie w głąb modułu. Trzasnęły drzwiczki i zapadła ciemność.

– Rozum straciłaś? – syknęła ostro Pajęczarka, przyciskając mnie do ściany. – Chcesz ginąć, droga wolna, ale mojego życia nie narażaj!

– J-ja...

Ale ona już nie słuchała. Przykucnęła nad skórzaną torbą i wydobyła z niej dziwny, stalowy aparat, cylinder opleciony zwojem drutu, który zaraz ją podpinać do NESSAN. We wnętrzu modułu AN-15 aż ciasno było od przewodów, lamp, kół zębatych, linii telegrafu rozpiętych pionowo niby struny wielkiej harfy. Skuliłam się w kącie, roztrzęsiona, patrząc bez słowa, jak Pajęczarka wpina kable, przestawia dźwignie i dostraja pokrętła. Potem wydobyła z torby nasłuch i długo przesuwała palcami po drutach.

– Gotowe – rzekła wreszcie, ściągając z głowy i ramienia stalową plecionkę. – Powinno działać. Ten odbiornik to i tak pomysł na przyszłość, zabrakło mi czasu, by skończyć nadajnik, ale sabotaż nie mógł dłużej czekać. Przynajmniej on przebiega zgodnie z planem.

Spodziewałam się, że na jej twarzy dojrzę ulgę, lecz byłam w błędzie.

– Udało się?

– Niemal. Przeciek ruszył przed minutą, moje dziewczęta już gaszą alarmy. Drutowe w innych spółkach wstrzymują depesze. Już rano puściłam plotkę, że spadnie cena akcji NESSAN, kazałam swoim ludziom z wolna wyprzedawać... Lada moment na giełdzie zacznie się panika.

– Więc chyba pora iść po Irę.

Przytaknęła i podniosła z ziemi torbę.

– Moduł SS-113 jest piętro nad nami – powiedziała, wskazując stalową drabinkę. – Idziesz pierwsza. Jeśli się nie mylę, będzie przypięta jak inne – musisz prędko operować kluczami. Potem wracamy czym prędzej do szybu. Znajdziesz drogę?

– Tak. Pajęczarko... dziękuję.

– Nie chwał dnia przed zachodem.

*

Znów kryłyśmy się w cieniach, wnękach, tunelach, znów skradałyśmy się prędko i cicho. Tu trudniej było już omijać strażę, zbyt często musiałyśmy wychodzić na światło, przebiegać przez stalowe kładki – aż przy kotłach wpadłyśmy niemal na strażnika. Nie miałam czasu na plany, zdałam się na instynkt: szarpnęłam nas obie w tył, w dół, wprost pod syczący parą zbiornik. Podkute buty olbrzymia przeszły tuż obok mej twarzy. Gdy kroki ucichły w oddali, pognałyśmy naprzód.

Wreszcie znalazłyśmy się u celu. Przyczajona za grubym filarem, wyjrzałam ostrożnie: szafy liczące, agentki, strażnicy, zaś w głębi, otoczone prostokątem biurek, coś jakby ogromne kościelne organy, w których zaraz rozpoznałam centralę poczty pneumatycznej. Kilka kobiet przykutych do maszyny pracowało tam bez wytchnienia, przyjmując i nadając listy. Przyjrzałam się krótko ostrzyżonym głowom i serce zabiło mi mocniej. Rozpoznałam.

– Jest.

– Sza! – syknęła Pajęczarka. – Dalej, ruszaj!

Nie było tu bezpiecznej ścieżki w cieniu. Przemknęłyśmy za kolejny filar w pełnym świetle, a potem, klucząc między modułami, w kilku susach dopadłyśmy wnęki przy centrali. Jeszcze moment – i znalazłam się przy Irze.

– Maryjka...!

Widok ścisnął serce. Jej złote loki ścięto tuż przy skórze, twarz nosiła ślady bicia, na najdroższych nadgarstkach zapięto kajdany. Tylko w oczach został dawny ogień. Nie było czasu na słowa ni czułość: od centrali rozchodziły się promienieście korytarze, w każdej chwili ktoś mógł nas spostrzec. Złożyłam na skroni Iry prędko pocałunek i przyklękłam przy okowach, drżącą dłonią wsuwając odpowiedni klucz w zamek. Palce ledwie mnie słuchały.

– Pamiętajcie, żeby zamknąć oczy! – dobiegł szept gdzieś z góry.

Zajęta uwalnianiem drugiej ręki Iry, spóźniłam się. Spojrzałam w stronę głosu, ale zdążyłam dostrzec tylko cień Pajęczarki, znikający wysoko w płataninie rur – a potem znienacka padł cios. Pociemniało mi w oczach. Runęłam na podłogę, zamroczona uderzeniem, otoczona krzykami agentek.

– Intruz! – wołał strażnik. – Alarm!

Zadudniły kroki. Posłyszałam wrzask Iry i szamotaninę: rzucono ją na ziemię obok mnie, brutalnie wykręcając ręce, choć wierzgała, szarpała i pluła. A potem zaczęli nas kopać i wszystko rozplynęło się w potwornym bólu.

*

Gdy wróciłam do zmysłów, wlekli mnie pod łokcie. Czułam smak krwi z rozbitych warg, ciało rwało przy najmniejszym ruchu. Świat przed oczyma pływał. Rozejrzałam się: dwóch barczystych drabów prowadziło Irę. Pajęczarki nie dostrzegłam nigdzie.

Wciąż byliśmy w Latarni, przy NESSAN, lecz wyżej, zza bariereki okalającej platformę widziałam przepaść wielopiętrową, bezdenną, dalekie światła jak miasta w dolinach, widziałam rozpiętą między maszynami pajęczynę kabli, czekającą cicho na ofiarę. Przed nami, rozjarzona padającym zza wysokich okien złotym światłem, wisiała na stalowych linach wielka sala,

umieszczona u szczytu wieży łoża władcy, do której wiódł powietrzny chodnik – a ja nagle rozpoznałam miejsce, które tak niedawno, w innym życiu, odwiedzałam co miesiąc, by na oczach doktorów poddać się badaniu. Oszołomiona, obolała, próbowałam znaleźć jakiś sposób ocalenia, obmyślić plan, lecz wszystko to na próżno. Unieruchomiona w potężnym uścisku, mogłam tylko biernie czekać, aż żołdacy miną strażę, otworzą mahoniowe wrota i cisną nas na dywan u stóp królów świata.

– Sir, zgodnie z rozkazem – oto one!

– Panna Joteyko – zawołał z końca sali Mann, powstając z miejsca, jakby witał z dawną spodziewanych gości. – I panna Kondratiuk, jak miło. Wiedziałem, że wystarczy cierpliwie poczekać.

Podniosłam głowę. Siedzący wzdłuż ciemnego, rzeźbionego stołu dygnitarze NESSAN, odziani w kosztowne fraki i surduty, patrzyli na nas w milczeniu. Na brodatych, dostojnych obliczach, uszlachetnionych somatologicznie, malowało się zaciekawienie pomieszane z pogardą. Wnętrze sali kapowało od złota. Ledwie musnęłam wzrokiem znajome lustra, kandelabry, papiery, wyrastające z blatu rury poczty pneumatycznej, stojącego dyskretnie z tyłu ordynansa; szukałam gorączkowo dróg ucieczki, lecz jedyne wejście miałam za plecami, a z okien można było tylko skoczyć w dół, runąć w stalowe szczęki lewiatana.

– Panowie wybaczą mi przerwę w obradach – rzekł Mann, kłaniając się uprzejmie. – Do pani Röntgen-Skłodowskiej, obiecuję, niebawem wrócimy. Tak się jednak składa, że te oto damy, bez wątpienia w ataku hysterii, dopuściły się morderstwa mego wielkiego przyjaciela i współnika, Augustusa Maxwella Bennetta. Jedną z nich zdołałem pochwytać od razu. Druga właśnie sama wpadła w me ręce.

Wybuchły podniecone szepty. Mann dał znak. Strażnicy poderwali nas do pionu.

– W pewnej części, panowie, sam poczuwam się do winy. Jako Opiekun obu tych kobiet popełniłem, niestety, klasyczny błąd w sztuce: zlekceważyłem symptomy choroby, choć miałem je przed oczami. Ja zawiodłem, nie somatologia. Ale więcej omyłki nie popełnię...

Urwał, bo wtem Ira, chociaż chwiała się na nogach, roześmiała się w głos.

– Milcz.

Pięść strażnika zgięła ją w pół. Krzyknęłam. Zachłysnęła się, ale oczy śmiały się nadal, pobita twarz tchnęła szyderstwem. Mann wyszedł za stołu i zbliżył się wolno, wsparty na swojej elektrycznej lasce.

– Puść ją – rzucił żołdakowi, a gdy ten usłuchał, smagnął na odlew, posyłając Irę na podłogę. – Milcz.

Łzy same pociekły mi z oczu. Chciałam rzucić się na Manna, uderzyć go, zniszczyć, ale trzymano mnie mocno i szarpałam się tylko bezsilnie.

– Ty nie płacze, Maryjka – wykrztusiła Ira, dźwigając się znów z trudem na czworaki. – Ból nie taki straszny.

I splunęła Mannowi na buty.

Sądziłam, że ugodzi ją ponownie, że zabije, ale on tylko odsunął się na parę kroków i skinął na ordynansa, który przyskoczył i starł plwocinę jedwabną chusteczką.

– Obląkana – rzekł ze smutkiem Mann, zwracając się znowu do członków zarządu. – Mógłbym przekazać te nieszczęsne kobiety policji, ale chyba wszyscy się zgadzamy, że dla dobra spółki lepiej w tej sprawie unikać rozgłosu. Zdecydowałem o zesłaniu ich do Bedlam.

Mężczyźni przy stole szeptali, kiwali głowami. Mann wsparł się na lasce.

– Skończmy już, panowie, tę żalosalną scenę. Sprawę śmierci Augustusa Bennetta uważam za

zamkniętą. Tymczasem wróćmy do tematu bomby. Wspomniałem, że pozyskanie Röntgen-Skłodowskiej otwiera przed nami nowe perspektywy wyprzedzenia Bismarcka w wyścigu zbrojeń. Konieczne będą jednak ogromne fundusze. Maszyna, którą zbudowałem, jeszcze kończy obliczenia, ale już widać...

– Nie ty zbudowałeś.

Słowa same wyszły z moich ust. Dygotałem z gniewu. Kamienna twarz Manna drgnęła wreszcie; wyglądał, jakby chciał zatopić we mnie kły. Dał znak i znów mnie ciśnięto na ziemię, ale ten ból już nie bolał. Patrzyłam na Irę, wyprostowaną, niepokorną, dumną.

– Straż! Wyprowadzić...

– Ty nic nie rozumie! – wpadła mu ze śmiechem w słowo. – Ty już przegrał! Może nas bić i bić, tylko czas traci. My zrobiły wyciek wiedzy z NESSAN. Pogasiły alarmy i ukryły zdradę. Plany spółki, księgi zysków, dokumenty, sekrety budowy maszyny, my wszystko to posłały w świat po drutach, a jeszcze kłamstw dodały, żeby większy zamęt... Pół godziny już nadają, a ty nie wie! Patrzył kto ostatnio na kurs NESSAN na giełdzie? Jaka panika? Ile milionów stracone?

Dygnitarze pobledli śmiertelnie. Mann aż się cofnął.

– Kłamiesz.

– Sam sprawdzi.

Przy stole podniosła się wrzawa.

– Dyrektorze, jeśli ona mówi prawdę...

– Wiarygodność spółki! Zdruzgotana!

– ...plany w rękach konkurencji... straty w milionach...

– Miliardach!

– ...krach giełdowy...

– CISZA! Podać mi pióro i papier.

Rozkaz spełniono. Wróciwszy na miejsce, Mann nakreślił szybkie zapytanie, włożył do kapsuły i nadał ją pneumą. Twarz miał znowu jak stalową maskę. Dyskusje powoli ucichły: oczy wszystkich spoczęły na wylocie poczty. Panika gęstniała w powietrzu. Ira patrzyła na mnie, a jej wzrok mówił wszystko.

Zabiją nas, pomyślałam z cichym żalem. A ja dopiero żyć zaczęłam.

W napiętej ciszy zabrzmiał stukot. Mann niemal wyrwał kapsułę z otworu.

– Jeśli ta wariatka kłamie...

Chwycił za zamknięcie przesyłki i szarpnął – a ja nagle, w ułamku sekundy, nim to nastąpiło, pojęłam, co znaczyło ostrzeżenie Pajęczarki.

Huknęło.

Zdążyłam zacisnąć powieki, lecz blask, który buchnął, tak był silny, że nieomal mnie oślepił. Białe fosfor, zapalony w kontakcie z powietrzem, eksplodował, rozsiewając wokoło płonące drobiny. Salę wypełniły krzyki.

Poczułam, że puszczają mnie żołnierskie ręce. Wstrzymując oddech, skoczyłam ku Irze.

– Maryjkaaa...!

– Jesteś cała?

– Tak, Maryjka, w nogi!!!

Odważyłam się otworzyć załzawione oczy. Gęsty dym przesłonił niemal wszystko, zmienił w cienie miotających się, płonących ludzi, na wpół zwęglone martwe ciała, poparzonych, co pełzli po podłodze, wyjąć. Stół obrad stał w ogniu. W pandemonium ktoś zaczął strzelać. Padłyśmy na płask: kule świsnęły tuż nad głową, roztrzaskały z przeraźliwym brzękiem jedno z okien.

Posypał się na mnie deszcz okruchów szkła.

– Prędko, tędy!

Pajęczarka wyrosła nagle jak spod ziemi, poderwała mnie do pionu, przydeptała płonący skraj sukni Iry. Rzuciło się ku nam dwóch roślących strażników – dojrzałam tylko prędko jak piorun błysk noża i pierwszy żołdak zwałił się na twarz.

– Uciekajcie!

Chwyciłam dłoń Iry, w blasku ognia rozglądając się za wyjściem, szukając w dymie mahoniowych wrót. I wtem poczułam uderzenie prądem, tak potężne, że runęłam znów na ziemię. Ktoś przygniótł mnie całym ciężarem, a poparzone, mokre od krwi palce zacisnęła na gardle.

– S-suka! Żmija!

Twarcz Manna była obliczem z koszmaru. Na pół spalona, tłąca się jeszcze, z jednym okiem całkiem wyżegany – lecz drugie, oszalałe, przekrwione, wbijał we mnie. Nie mogłam zaczerpnąć tchu. Nie mogłam walczyć. Znikła Ira, Pajęczarka, znikło wszystko. Czerń zaczęła zalewać mnie falą.

– Zwożą tu...! – charczał Mann. – Całe okręty...! Ś-śmierzące. Zapchłone. Trzeba było was wszystkich – potopić!

Kolba karabinu łupnęła go w skroń. Zwałił się z jękiem. Ira odrzuciła broń i wyszarpnęła mnie, roztrzęsioną, charczącą, spod cielska. Próbowwała podnieść mnie na nogi, lecz te nie chciały utrzymać ciężaru.

– Maryjka, no stanie, my muszą...

Huknął strzał. Ira krzyknęła. Mann dźwigał się na klęczki wśród odłamków szkła, wśród kałuż żaru, ściskając w drżącej dłoni dymiący rewolwer.

– Wyyy...!

Pajęczarka skoczyła nań z dymu, wytrąciła broń, pchnęła – i nim zdążyliśmy choćby krzyknąć, wypadli przez stłuczone okno, runęli w czarną otchłań NESSAN.

Włokąc się nawzajem, czołgając, kulejąc, roztrącając oślepionych drabów, wydostałyśmy się na powietrzny chodnik, w chłód i półmrok. Zachłysnęłam się tlenem, rozkaszałam. Suknia Iry przesiąkła z boku krwią. Gdzieś pod nami, w dole, tliły się małe ogniska pożarów, podnosiły się z ciemności krzyki. Pobiegłyśmy zgięte wpół, nie czując ran, skryłyśmy się w ciemnym tunelu technicznym. Straż zbiegała się zewsząd ku zniszczonej łoży, mijała nas, znikła w dali.

Skulone we wnętrznościach maszyny, objęte jak dzieci, płakałyśmy cicho z ulgi i zmęczenia. A potem, upewniwszy się, że nikt nie widzi, umknęłyśmy do domu.

*

Chromy chłopiec strzegący nadbrzeża na początku się opierał, lecz gdy wsunęłam mu monetę w dłoń, ochoczo wpuścił nas na pomost. Październik był nadzwyczaj ciepły, bryza muskała jezioro, marszcząc lśniąca odbicia światła miasta. Wspólnie złożyłyśmy torbę na dnie łódki, a potem wsiadłyśmy w nią same. Chwyciłam za wiosła. Wyłynęłyśmy na drżącą, ciemną wodę, pod gwiaździstym nocnym niebem, zmierzając ku jasnej pochodni Latarni.

Nie byłyśmy na jeziorze same. Tu i tam kołysały się w oddali cienie, wiatr niósł ku nam przytłumione śmiechy i głosy. Wiedziałam, że choć to ściśle zakazane, piękne miejsce przyciąga kochanków; w kieszeni strażnika co noc musiało dzwięczeć wiele monet. Wiosłowałam w ciszy i skupieniu, patrząc na Irę, a ona wsunęła dłoń w wodę, ciesząc się jak dziecko, gdy prędko

opływał ją nurt.

– Zdejmiesz chustkę?

Spełniła prośbę z ociąganiem. Blond włosy zaczynały dopiero odrastać, ledwie wschodziły, ciemne plamki oparzeń goiły się jeszcze. Czułość ścisnęła mi serce. Nie wypuszczając wiosła z rąk, wychyliłam się ku niej i złożyłam na wargach prędkie pocałunek. Ujęła mą twarz w dłonie i tak go oddała, że w ciemnościach aż spłoniałam się ogniście.

– Tu chyba wystarczy, Maryjka.

Pozwoliłam, by łódka wytraciła pęd. Znalazłyśmy się w połowie drogi przez jezioro. Latarnia Jutra wznosiła się przed nami wielka, jasna, lampą jak zawsze omiatając ciemność, lecz mniej okien niż niegdyś jarzyło się światłem, mniej statków cumowało przy iglicy. Zadrżałam na wspomnienie dni minionych. Miesiąc ledwie. Zarząd NESSAN zginął, krach zrujnował spółkę, kapsuły z fosforem, pneumatami rozesłane, uszkodziły poważnie maszynę, ale kolos wciąż się trzymał na glinianych nogach. Plan Pajęczarki nie w pełni się powiódł...

Ira też wzrok miała nieobecny.

– Ja martwi się czasem, czy to było warto... – szepnęła. – Ile dziewczyn zginęło, podkładając ogień, ile pracy już nie ma po krachu na giełdzie... My nie tylko złych ludzi wtedy ukrzywdziły.

– Wiem.

Odetchnęła głęboko i skinęła głową. Sięgnęła do torby, wydobywając z jej głębin maszynę.

– Rany, niech zadziała – szepnęła, gładząc stalowy cylinder, jakby pieściła grzbiet koci. – Te szkice Pajęczarki trudne bardzo, ja zrobiła, co mogła, ale chyba...

Dotknęłam jej dłoni.

– Po prostu spróbujmy.

Skinęła głową i poczęła kręcić korbą. Aparat ożył. Wzięłam głęboki wdech, złożyłam dłoń na przycisku i nadałam znaki Morse'a.

Powtórzyłam wiadomość pięciokrotnie, wsłuchana w stukot maszyny, w szum fal. Jeśli ryte w drewnie zapiski Pajęczarki nie kłamały, urządzenie tamtej nocy do NESSAN podpięte zdolne będzie świat odmienić. Lecz teraz nie było odzewu; tyle dni minęło, myślałam, a aparat, nawet jeśli bezpiecznie tam czeka, nie był przecież próbowany. Może nie działa, bo nie działał nigdy? Telegraf bez drutu... to brzmi wszak jak bajka.

Ira zakłęła pod nosem i spojrzała znad korby. Potrząsnęłam głową.

– Jeszcze raz.

Wystukałam wiadomość. Odczekałyśmy sto uderzeń serca. Nic, tylko szum wiatru nad wodą, noc i my, same pośrodku jeziora.

Lecz oto nagle coś się odmieniło, coś przerwało ruch blasku i mroku, od lat wojny królujący nad Londynem. Na naszych oczach lampa na szczycie Latarni krok zmyliła, przerwała swe niezmiennie obroty po niebie, a potem, z wolna nabierając tempa, rozpoczęła taniec inny, niespokojny, w którym ciemność i światło zawirowały w nowym rytmie. Rytmie wieści, którą ja jej nakazałam głosić.

ZBUDZCIE SIE. CMA.

Poczułam łzy na policzkach, lecz nim zdążyły obeschnąć, Ira scałowała wszystkie. Objęłam ją mocno, gorąco.

Mann miał rację. Małe zmiany prowadzą do wielkich.

Robert M. Wegner

Milczenie owcy

inspirowane legendą *Smok wawelski*

Pełen tekst opowiadania można pobrać za darmo ze strony projektu Legendy Polskie Allegro:

<http://legendy.allegro.pl/>

LEGENDY POLSKIE



RADEN RAK
ROBERT M. WEGNER
ELŻBIETA CHEREZIŃSKA

RAFAŁ KOSIK
JAKUB MAŁECHI
ŁUKASZ ORBITOWSKI

allegro

Drodzy czytelnicy fantastyki, w niniejszej publikacji zaprezentowaliśmy wszystkie opowiadania nominowane do Nagrody Zajdla za rok 2015.

Laureatów Nagrody wybiorą uczestnicy Polconu 2016 we Wrocławiu 18-22 sierpnia, <http://polcon2016.pl/>

Statuetki zostaną wręczone na uroczystej Gali.

Strona Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla [<http://www.zajdel.art.pl/>]

Publikacja ta jest wydawnictwem bezpłatnym o charakterze promocyjnym.

Serdecznie dziękujemy autorom i wydawnictwom za zgodę na umieszczenie nominowanych tekstów w niniejszej publikacji.

Wykorzystywanie zamieszczonych utworów w celach komercyjnych jest zabronione.

ISBN: 978-83-64384-57-8

Twórcy Internetowej Antologii Zajdłowej 2016: Marcin Zwierzchowski i Marzena Półgrabia (skład w systemie ZECER).